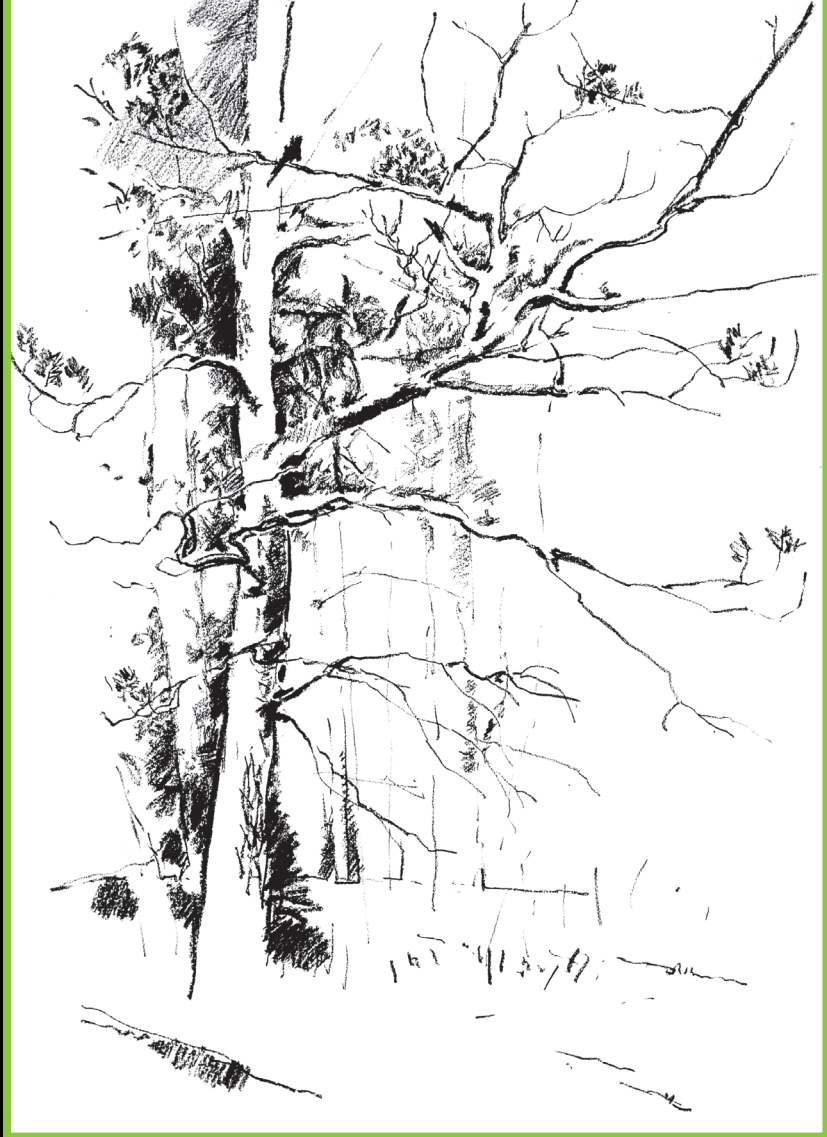




Czesław Parzych

Z odległości lat

Z odległości lat

Czesław Parzych

Z odległości lat

Wieś Durlasy we wspomnieniach



TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ OSTROŁĘKI

Ostrołęka 2016

Wydawca
Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki

Redakcja
Leopold Szwedowski

Korekta
Barbara Kalinowska

Opracowanie graficzne i skład
Tomasz Kalinowski

Rysunek na okładce
Zenon Kowalczyk

160. publikacja Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki

*Za pomoc w ukazaniu się drukiem tej książki wydawca składa serdeczne
podziękowanie Prezydentowi Miasta Ostrołęki*

ISBN 978-83-64200-22-9

Nakład: 300 egz.

Druk:
Drukarnia J. J. Maciejewscy, Przasnysz

Z odległości lat Czesława Parzycha to wspomnienia zniewalające Czytelnika pięknem swej treści, zrodzone z głębokich przeżyć, doznań i wzruszeń autora. Piękne zarówno w wymiarze historycznym, patriotycznym, religijnym, jak i w wymiarze tradycji kultury mieszkańców wioski Durlasy. Wśród nich autor przeżył dzieciństwo i wczesną młodość. Z nimi razem weselił się i smucił, oni trwale zapisali się w jego pamięci.

Stanowią świadectwo przywiązania do domu rodzinnego, do źródeł pochodzenia, do kultury i tradycji, wzór do naśladowania, jak cenić swą Małą Ojczyznę.

Ziemia kurpiowska – Durlasy – ziemia jego dzieciństwa i młodości, cała wspólnota wiejska, dom rodzinny, rodzice, rodzina są sercu jego najbliższe. Wyraził to autor najpiękniej w swoim wierszu:

*Durlasy – wioska bursztynowa –
tu serca mojego pierwsze uderzenie,
próg domu wydeptany stopami najbliższych
zapachy życia i przodków mych cienie.*

*Gościniec piaszczysty ogrzewał mi stopy,
jaskółki spod strzechy do snu kołysały.
Z odległości lat wciąż dokładnie widzę –
czas dni chłopięcych wciąż piękny i trwały.*

I proszę stwórcę by mi pozostawił
ten dar miłosierdzia swego
bym mógł powracać wspomnieniami
do tamtych lat, póki życia mego.

Tak może tylko pisać najwierniejszy syn, który z gorącym oddaniem pięknie mówił o matce i wciąż słyszy „jej serce śpiewające”, a ojca traktuje jako osobę niezwykłą.

Tyle w tej książce pięknych znaków wiary, tradycji i historii ludzi związanych z ziemią kurpiowską.

Czytam ten tekst i cisną mi się do oczu łzy wzruszenia. Bo jest to przykład miłości wielkiej do miejsca urodzenia, miłości bardzo pięknej i jakże niezwykle wyrażonej, miłości nazwanej przez autora wartością najwyższą.

Wspomnienia Czesława Parzycha o jego Małej Ojczyźnie-Ojcowiznie zasługują też na uwagę jako świadectwo czasu minionego i nowych przemian zachodzących na ziemi kurpiowskiej i w całym naszym kraju.

Te piękne, serdeczne wyznania, którym autor nadał tytuł *Z odległości lat*, w 1996 roku otrzymały wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie na „Pamiętniki nowego pokolenia chłopów polskich”. Należy podkreślić, że na konkurs wpłynęło bardzo wiele pamiętników i wspomnień. Nasz ostrołęcki pisarz został dostrzeżony i wyróżniony.

Oddajemy do rąk Szanownego i Drogiego Czytelnika książkę niezwykłą i bardzo wartościową.

Jadwiga Nowicka
Prezes TPO

*Żonie Danusi,
naszym Dzieciom i Wnukom,
by Ich życie i świat
były pełne pięknych
kolorów i smaków*

Czesław

(...) *Wiesz!... To me życie, to podarek Boży!
To kwiat co spada z anielskiego czoła,
Gdy go dłoń lekka lekko w sploty włoży.
O, wiesz, z początku cicha i smętnie wesoła,
Leży jak flet, co w sobie liczne pieśni tłumi,
Lecz weź ten flet do ust, pocałuj go szczerze,
A dopiero usłyszysz, co on śpiewać umie,
A dopiero on pieśni dla ciebie wybierze;
I będzie ciebie błagał – będzie ciebie prosił –
Abyś go przy ustach pałających nosił (...).*
(Fragment wiersza Cypriana Kamila Norwida
pt. *Wspomnienia wioski* ze zbioru
Lirnicy mazowieccy, Warszawa 1997, s. 80–81)

*Ten świat naszego dzieciństwa, języka i zabaw,
wydaje mi się ciągle prawdziwszy niż ten, w którym żyjemy.*
(Antoine de Saint-Exupéry)

Jest głęboka, grudniowa noc. Dziś dopełnił się kolejny dziesiętek lat, które dane było mi przeżyć. Siedzę więc w ciszy swego domu i otaczającego świata, zagubiony gdzieś między rzeczywistością a rozległą przestrzenią wspomnień, na skraju wyobraźni i snów, myślami wędruję daleko, aż do lat dzieciństwa, do rodzinnego domu, do mojej wioski Durlasy, na skraju Puszczy Zielonej, koło Ostrołęki położonej..., czuję delikatne dotknięcia tamtego czasu, jego zapach niesiony tamtym wiatrem... I tyle tęsknoty we mnie się budzi za domem rodzinnym, za latami, które zostały hen, na kresach życia, w zakamarkach wspomnień i serca... Za moją wioską Durlasy...

...Widzę tamten czas, z taśmy pamięci odtwarzam tamte dni...

Wioska Durlasy to moja Mała Ojczyzna. Jestem z tej ziemi i dla tej ziemi, bo to ziemia moja serdeczna, puszczańska, nasyciona potem ojców i dziadów, krwią okupiona. Jawi mi się jako miejsce mityczne (moja Itaka) i magiczne. W niej mój rodzinny dom – moja Ojcowizna. Ta Mała Ojczyzna-Ojcowizna pozostawiła we mnie niezatarty ślad do kresów mych dni. Jest to przecież miejsce mojego urodzenia, mojego poznawania życia i świata, pierwszych kroków i zabaw dziecięcych, pierwszego „Ojcze nasz...” i znaku Krzyża Chrystusowego, mych lat „chmurnych i durnych”, mej dojrzałości i zadumy pochylonej w jesień życia. Jest więc ta moja Mała Ojczyzna-Ojcowizna najpiękniejszą wartością jaką mam w sobie. Tam każda chwila zdaje się być wartością nieprzemijającą. Dom, rodzice, rodzeństwo, koledzy, pierwsze porywy chłopięcego serca, pierwsze zauroczenia, przyjaźnie – tyle tu ołśnień! Tyle słońca!

Z tej wioski, spośród tych ludzi, którzy ją zasiedlali, wśród których żyłem, z tej kultury, obyczajów, wyrosło moje widzenie i odczuwanie

świata. Tam są korzenie mojego życia, tam więc odnajduję siebie: swą wiarę, swą radość i smutek, swoją nadzieję.

Dlatego jest to miejsce tak bardzo ważne, do którego wracam i wracać będę wciąż, póki życia mego. Bo to miejsce, to właśnie pejzaż moich tęsknot i zauroczeń, gdzie rodziły się przepiękne barwy i wonia uczucia pierwsze, ulotne jeszcze, kruche i drżące, gdzie doznałem pierwszych wzlotów i upadków, gdy uczyłem się wchodzić w dorosły świat.

Bo tak już jest. Kiedy wracamy do miejsc naszego dzieciństwa, młodości, zauroczeń pierwszych, kiedy szukamy w otaczającym nas świecie tamtych chwil i zdarzeń, cieszymy się wówczas z wszystkiego, co nam tamten czas, tamte chwile przypomina; stareńka jabłoń w sadzie, kapliczka przy drodze, dawnych zabaw chłopców zaciszny kącik w ogrodzie czy nawet kołek w płocie. A – jak mówił Aleksander hrabia Fredro – z upływem lat przeszłość coraz bardziej kurczy się we wspomnieniach. Nietknięte zostaje tylko dzieciństwo na swych beztróskich obszarach, pod coraz promienniejszym słońcem.

Moje powroty do Durlasów – miejsca urodzenia, dzieciństwa i wczesnej młodości – są więc powrotami do źródeł. Bo ja wciąż tam jestem. Tam została częśćka mnie, żyją moi najbliżsi, bliscy i dalsi, koledzy od zabaw dziecięcych i od kawalerki z okresu wczesnej młodości. Tam jestem z nimi wszystkimi, razem wspominamy, martwimy się i radujemy, bawimy na chrzcinach, weselach i zabawach, smucimy na kolejnych pogrzebach. Jestem z tą wioską, z ziemią i ludźmi połączony pasmem życia, jego dramatami i doznaniem radosnymi, tradycją, historią, legendami...

A historia, tradycja, legendy – to elementy składające się między innymi na budowę ładu moralnego, stanowiące o tym, co w ludzkim życiu najważniejsze.

Siedzę więc, głęboką nocą, w ciszy domu i otaczającego świata, wędruję w głąb siebie, zagubiony gdzieś między rzeczywistością a rozległą przestrzenią wspomnień, na skraju wyobraźni i snów, w które zapada świadomość... i łączy w jedność moją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość... Gubię się w labiryncie zdarzeń i dni, lat całych, wielu wątków zapomnianych, wielu nie do końca zapamiętanych, w natłoku stawianych sobie pytań, po latach nie rozpoznanych wydarzeń, bo rozproszyły się wśród innych, utraciły swe kolory, barwy znaczeń...

Poddając się wspomnieniom przywołuję to, co zostało przeżyte, co odeszło w przestrzeń przemijania... Ciągłe poprzez turkot życia przebija się tamten czas... Chodzę myślami po szerokim, jeszcze piaszczystym gościńcu, stareńkimi wierzbami otulonym, którym przed laty odchodziłem ze swej wioski po raz pierwszy, by doświadczyć życia tajemniczo pulsującego gdzieś poza durlaskim horyzontem..., słucham radosnego, codziennego gwaru wioski, siarczystych przytupowań tancerzy podczas wesel i zabaw, porykiwania krów i rżenia koni, poszczekiwania Rekxa i Cygana, klekotów bocianich i świergotów jaskółek pod strzechami, odwiecznego szumu dąbrowy. Czuję zapach Puszczy Zielonej...

...Przy samotnej staruszce gruszy za dąbrową na miedzy przystaję, by posłuchać jeszcze wiatru wspomnień odległych... I dąbrowa, i grusza powitały mnie serdecznie, pięknie zaszumiały pieśń swą odwieczną, cienia użyczyły przed palącym słońcem południa... i niosły z głębi czasu całe naręcza wspomnień. Dąbrowa do ceremonii powitania dołączyła pukanie dzięcioła w pień sosny, grusza ulegalkami sypnęła pod nogi... A wiatr przybiegł ze wszystkich pobliskich pól, powolniaka pięknie z gruszą i sosnami w dąbrowie zatańczył. W tym jego powiewie, w tym tańcu wspomnień radosnym, słysząc było nasze dziecięce pokrzykiwania i śmiechy, tupot bosych stóp na miedzy... i świst kos żniwnych tnących dojrzące zboże i śpiew żniwiarzy wracających z pola o wieczornej porze, po rosie, i skrzypienie kół wozów żelaznych, drabiniastych, zwożących do stodół snopy zboża pełne słońca, płody ziemi naszej. Zapachniały też dymy snujące się z ognisk na kartofliskach i kartofle w tych ogniskach pieczone... i nagły skurcz serca na pożegnalny krzyk żurawi, zanikający powoli w październikowym turkotaniu cierlic, obrabiających z paździerzy lniane włókno... Ale już słyszę szepty wyznań pierwszych, nieskładnych jeszcze a żarliwych, czuję dłoni dziewczęcej dotyk, śpieszne motyle ust drżących... I od nowa chwytam sercem tamtą chłopięcą tęsknotę za światem, ukrytym przede mną wówczas gdzieś poza horyzontem wioski naszej, tamten lęk i wzruszenie, gdy piaszczystym gościńcem odchodziłem w przestrzeń nieznaną, tajemniczą...

I chociaż odszedł już tamten mój czas i świat, ja odnajduję w nim wciąż wartości trwałe, nieprzemijające. Szlachetność, prawość, miłość, wzajemny szacunek, kurpiowską honorność – to były główne

akcenty ówczesnego życia naszej wioski, naszego – chłopskiego – życia, główne życia tego prawa, obok wiary głębokiej, przywiązania do ziemi, do tej małej i tej dużej ojczyzny.

By jednak właściwie patrzeć na ten chłopski, wiejski świat, czuć jego pulsowanie, trzeba znać go od wewnątrz, narodzić się z chłopskiej matki, z jej mlekiem poznawać smak chłopskiej doli i niedoli. Trzeba umieć słyszeć trzask ognia i drżenie wody, czuć pulsowanie drzew i kamieni... Żaden zawód nie jest tak bliski natury, tajemnicy Boga, jak zawód rolnika. Tu tętno życia odczuwane jest o wiele mocniej niż gdzie indziej, bo rodzi się w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, z ziemią, ze zwierzętami i ptakami, ze światem drzew i traw, z niebem błękitnym i świętymi pańskimi, którzy z kapliczek strzegą powierzonej im przestrzeni. Chłop był i jest nierozłącznie związany ze swoją ziemią. Z potrzeby życia i potrzeby serca. Życia – bo daje jemu i jego rodzinie wyżywienie, utrzymanie, jest jego warsztatem pracy. Serca – bo to jego miłość, po Bogu największa. Jego świat przepełniony był cichą niedolą, pokorą i szarością, ciężką mozolną pracą od przedświt do późnego wieczora, w trosce o byt, o godne rodziny przetrwanie. Ale było tu też szczęście i radość. Była miłość, słoneczna promienność i piękno błękitnego nieba, muzyka świergotu jaskółek pod belką domu i bocianiego klekotu z gniazda na stodole. Była radość wiatru i pracy, śpiewu, zabawy i wesela. Była miłość Boga, bliźniego i miłość ziemi. A cóż może być jeszcze bardziej radosnego i pięknego, bardziej godnego każdej chwili życia jak miłość?

Dzi znaleźć można w szerokim świecie wielu pochodzących ze wsi, przedzierzgniętych w półpanków, którzy zapomnieli skąd wyszli, skąd ich życia korzenie. Na siłę pozują na mieszcuchów, obnoszą się manifestacyjnie ze swą „miejskością”. A ojciec święty Jan Paweł II mówił i z całą mocą podkreślał: „Naród jest tą wielką wspólnotą ludzi, którą łączą różne spoiwa, ale nade wszystko właśnie kultura. Naród istnieje z »kultury« i dla »kultury«”. Naród – wszystkie warstwy społeczne. Ale po II wojnie światowej nie było to takie oczywiste. Totalnie krytykowano okres międzywojenny, zaczęto kombinować przy polskiej tożsamości, poczynając od sojuszu robotniczo-chłopskiego, który miał służyć eliminowaniu rolnictwa indywidualnego. Obowiązywała nacjonalizacja (równie doktrynalna jak dziś, po 1989 roku, prywatyzacja).

A chłopci to przecież najstarsza i najliczniejsza, podstawowa grupa społeczna, której całe życie związane było i jest z przyrodą, z naturą i ziemią. Robotnikowi w fabryce czy innym zakładzie pracy, rzemieślnikowi, czy też urzędnikowi, rytm pracy wytyczają zasady kodeksu. Chłopu, rolnikowi, jego rytm pracy ustala natura: pory dnia i roku.

Polski rolnik, chłop polski słynął z tego, że zawsze był blisko Boga. Ten historyczny fakt niejako potwierdził ojciec święty, przemawiając w Tarnowie 10 czerwca 1987 roku i cytując Cypriana Kamila Norwida: „Rolnik jedną ręką szuka dla nas chleba, drugą zdroj świętych myśli wydobywa z nieba”.

Ponadto chłopci to nie tylko wytwórcy żywności dla tych co w fabrykach, zakładach pracy czy urzędach. To również troskliwi obrońcy ojczyzny, troskliwi opiekunowie jej suwerenności i niepodległości, którzy w licznych powstaniach i wojnach złożyli jej ogromną daninę krwi i życia swego w ofierze.

Już na polu grunwaldzkim cztery tysiące chłopów, jako piechota, w końcowej fazie bitwy wzięło udział w ataku na obóz krzyżacki, otaczając w kotle odwodowe hufce mistrza Ulricha von Jungingena.

Uczestniczyli też chłopci w wielu innych zwycięstwach oręża polskiego, między innymi pod Obertynem (1531 r. – zwycięstwo wojsk polskich pod dowództwem hetmana wielkiego koronnego Jana Tarnowskiego nad armią hospodara Mołdawii), Kłuszynem (w obwodzie smoleńskim, w 1610 r. zwycięstwo wojsk polskich, w liczbie siedmiu tysięcy, dowodzonych przez Stanisława Żółkiewskiego, nad 33-tysięczną armią rosyjską), Chocimiem (nad Donem, w XVII w. – miejsce zwycięskich bitew Rzeczypospolitej nad Turkami), w czasie potopu szwedzkiego (z udziałem Kurpiów!) czy też w pięknej victorii pod Wiedniem. Bronili kraju przed niszczycielskimi najazdami czambułów tatarskich.

Kosynierzy – żołnierze w sukmanach, akcentowali bohaterski udział w powstaniu kościuszkowskim, za co zostali uhonorowani przez naczelnika sztandarem „Żywią i bronią”.

Mimo dobrodziejstwa uwłaszczenia chłopów polskich, car nie pozyskał ich dla siebie. Zaraz po powstaniu styczniowym chłopci w tajemnicy przed strażą ziemską i donosicielami – szpiczlami, sypali mogiły powstańcom, pielęgnowali je i dawali schronienie ukrywającym się uczestnikom przegranych bitew, nieśli pomoc wracającym z zesła-

nia, przechowywali podania o bohaterskich czynach i przekazywali je kolejnym pokoleniom. Piękne tego przykłady dawał również lud kurpiowski, który brał udział w powstaniach i wspierał powstańców najlepiej jak potrafił, przeprowadzał ich przez rozległe, a im nieznanne, przestrzenie Puszczy Zielonej, bezpiecznie prowadził przez brody rzeczne, bagna i trzęsawiska, naprowadzał zbłąkanych wśród bezdroży na właściwe ścieżki, częstokroć żywił zgłodniałych, chował w swych leśnych chatach rannych, którzy bez pomocy niechybnie by zginęli... A udział chłopów w Cudzie nad Wisłą w 1920 roku! Wieś była też ostoją głębokiej wiary i patriotyzmu w czasie okupacji niemieckiej i dominacji sowieckiej.

Przez wieś zawsze biegły i biegną drogi naszej historii.

Tak więc chłopci to również troskliwi obrońcy ojczyzny, jej suwerenności i niepodległości. Oni też, dzięki trwałemu złączeniu z wiarą katolicką, pielęgnowali zwyczaje i obyczaje, tworzyli główny i trwały podmiot polskości, kultywowali polską mowę. I choć nie mówili językiem literackim, ale mówili pięknie gwarą, używali pięknych słów ludowych.

W drugiej połowie XIX wieku wielu z nich emigrowało za chlebem do Stanów Zjednoczonych, Brazylii, Kanady. Tam część wstąpiła do Błękitnej Armii generała Hallera i w jej szeregach szła ku zmartwychwstaniu Polski...

Teraz ja z tych chłopów, z samego wnętrza chłopskiego losu, z kurpiowskiego ludu, spod serca kurpiowskiej ziemi, w swych wspomnieniach wracam do korzeni, do mej wioski, mówię o niej i o tej ziemi, o swej ojcowiznie jako o matce. A czy syn potrafi opisać twarz matki bez wzruszenia, by nie uронić niczego z jej ciepła, dobroci, jej miodowo-chlebowego zapachu, słoneczności? Czy dziś potrafię godnie mówić o swym rodzinnym krajobrazie, w którym zaszło tyle zmian przez te lata oddalenia?

Wiem jednak, że chociaż tamten wiejski świat już odszedł, to jego odwieczne źródła wciąż pozostają trwałe. I ja u tych źródeł jestem, do dziś czerpię z nich obficie. Kraina dzieciństwa zawsze będzie mi słoneczna, pełna tajemnic, skrzatów i krasnoludków, modlitw żarliwych, ciepłego piasku gościńca szerokiego, gaiku przy sadzawce, Litanii Loretańskich przy wiejskiej kapliczce w majowe wieczory... A losy mieszkańców wioski splatać się będą w życziwej codzienności z trudami ich

dni całego tygodnia, które w niedzielę składali na sumie przed Najświętszą Panią w ostrołęckiej farze – swym kościele parafialnym. I mimo że los na inne ścieżki skierował moje życie, jednak tam, we wsi Durlasy, została częśćka mnie. Ziemia wioski Durlasy, ziemia kurpiowska, jest dla mnie wciąż pełna poezji, zapachu zbóż, traw soczystych i kwiatów wiosennych, zapachu żywicy leśnej i moich wspomnień... Bo:

*Jedna już tylko jest kraina taka,
w której jest trochę szczęścia dla Polaka:
Kraj lat dziecińczy! On zawsze zostanie
święty i czysty, jak pierwsze kochanie.
(Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*)*

Właśnie dziś, gdy dopełnił się kolejny dziesiątek lat mego życia, poddając się wspomnieniom, przywołując to, co minęło, co zostało przeżyte, sięgam myślami głęboko aż do lat dzieciństwa, do rodzinnego domu, do mej wioski Durlasy, do pól naszych, na których ojciec uczył mnie orać, siał i zbierać plony, gdzie uczyłem się szanować pracę, kochać ziemię, podnosić z niej i całować każdą okruszynę chleba, gdzie uczyłem się modlić przy pracy i pracować przy modlitwie.

Dziś wspomnienia te budzą tyle tęsknoty za latami, które ocalały w zakamarkach pamięci i serca. Bo czas lat dzieciństwa i młodości utrwała się w każdym na całe życie, gdyż zamyka w sobie smak niepowtarzalnych pierwszych doznań. W nim odnajduję głębokie wzruszenia..., czuję i rozumiem, dlaczego jest mi tak bardzo drogi nasz stary dom. Teraz też wiem, dlaczego starzy ludzie nie chcą opuszczać swych starych domów. Kochają w nich bowiem każdy kąt. Tyle tam wspomnień, tyle przeżyć, wydeptanych śladów, tyle wyszeptanych modlitw, szeptów serdecznych i wzruszeń... To cała przestrzeń ich bytowania, w której dopełniała się tajemnica ich losu i przeznaczenia, gdzie doznawali bogactwa wspólnych nadziei, marzeń i rzeczywistości, piękna życia i jego ułomności.

Podając się więc wspomnieniom słyszę szum przelewającego się przez historię tej ziemi czasu... Z taśmy pamięci odtwarzam tamte dni..., słyszę ich szmer odległy, wiatrem życia porwany... Teraz, z odległości lat, czuję ich delikatne dotknięcia i zapach, niesiony tamtym wiatrem...

Puszcza Zielona – jak podają powszechnie dostępne źródła historyczne – jeszcze w XV wieku stanowiła pierwotną, na wskroś dziką knieję, rozległą przestrzeń leśną północno-wschodniego Mazowsza, zlewającą się na północy z lasami pruskimi a na wschodzie z jaćwiesko-litewskimi. I gdy już na terenach zachodniego Mazowsza było ludno, gdy rozwijały się tam duże osady tętniące życiem, gdy na lewym brzegu Narwi istniały już poważne skupiska ludności, tu – w północno-wschodniej części Mazowsza – rozciągała się wciąż jeszcze niedostępna dla człowieka przestrzeń wiecznie zielonych borów sosnowo-świerkowych, z domieszką dębu, brzozy, buku, grabu, olchy... W borach tych, o bogatym runie traw, jagód, żurawin, wrzosów, kwiatów leśnych i mchów, przeróżnych krzewów, głównie jałowców, żyło sobie spokojnie wiele zwierząt: tury, żubry, niedźwiedzie, rysie, łosie, wilki, dziki, jelenie, sarny, borsuki, łasice, zające i inne, a przy ujściach dopływów Narwi – bobry. Także niezliczone ilości ptactwa przeróżnego, między innymi głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy. W dziuplach zaś starych pni drzew pszczoły swe barcie miały, a w nich miodu obfitość.

Puszcza Zielona stanowiła własność książąt mazowieckich – Piastów. A gdy w 1526 roku wygasła ich męska linia, Księstwo Mazowieckie zostało przyłączone do Korony, stanowiąc własność królów polskich. Puszcza zaś stała się miejscem ich wypraw łowieckich na grubego zwierza. Prawo polowania przysługiwało wyłącznie władcom i osobom przez nich upoważnionym, głównie dostojnikom państwowym. Z tej też racji utrzymywane były dwory myśliwskie nad rzekami Szkwą i Rozogą.

W wieku XVI nie było tu nadal stałych siedzib ludzkich. Proces osadniczy rozpoczął się w pierwszej połowie XVII wieku, a główna

jego fala przypada na czas około 1650 roku. Pionierami osadnictwa w Puszczy Zielonej byli bartnicy, rudnicy, smolarze, myśliwi i rybacy. Oni penetrowali knieję jako pierwsi. Wielu z nich, zwłaszcza bartników, było stałymi mieszkańcami Ostrołęki, a w lasach przebywali jedynie w okresie letnim. Mieli tam swoje budy – prymitywne szałas. Z biegiem czasu część z nich osiedliła się w puszczy na stałe, karczując kawałki lasu pod uprawę zboża, kapusty, grochu itp.

Zaludnianie puszczy trwało głównie do 1789 roku, co wykazała przeprowadzona wówczas lustracja. Od tamtego czasu ilość wiosek nie uległa większej zmianie.

Ziemia kurpiowska posiada w sobie olbrzymie bogactwo piękna, swą niepowtarzalną moc. Trzeba tylko to piękno oczyma duszy umieć postrzegać, trzeba tylko czułe serce do niej przyłożyć i wsłuchać się w jej pulsowanie. W jej odwiecznie trwające życie.

Jesteśmy świadkami tego jej piękna, rytmu, ciągłego trwania i gwałtownych przeobrażeń, wprowadzanych przez nas samych w jej żywą tkankę, jakże często nieświadomi lub lekceważący okaleczenia zadawane jej urodzie.

Powinniśmy słyszeć szept tej ziemi, a my jakże często głusi jesteśmy nawet na jej krzyk! Rozpaczliwy, pełen bólu i cierpienia krzyk!

Wieś Durlasy położona jest na terenie Puszczy Zielonej w odległości 8 kilometrów od Ostrołęki. Powstała przed 1752 rokiem, gdyż właśnie w tym roku jej mieszkańcy otrzymali od Augusta III przywilej, zwalniający ich od pańszczyzny. W 1754 roku zostało już ochrzczone w ostrołęckiej farze (kościół parafialny Durlasów od początku powstania wsi) pierwsze dziecko urodzone w Durlasach, a w 1755 roku ochrzczone już dwoje dzieci. Razem do roku 1762 ze wsi Durlasy ochrzczone (a więc przyszły w tej wiosce na świat) dzieci dziewięcioro.

Założycielami pierwszej osady – jak niesie wiejska legenda i potwierdzają źródła historyczne – było dwóch osadników, z których jeden na pewno, – a jeżeli byli to bracia, to obaj – nosił nazwisko Parzych. Dokonali oni krudunku (karczunku) drzew w głębi lasów, otaczających tę nową osadę rządową – stąd prawdopodobnie i nazwa Durlasy (Durlelasy – czyli wkoło, dookoła lasy) pochodzi¹.

¹ Ludwik Krzywicki: *Dzieła, Tom 6. Artykuły i rozprawy*, 1892, Kurpie, PWN, Warszawa 1962, s. 497–600; informacje przekazywane w rodzinach z pokolenia na pokolenie otrzymałem

Lustracja starostwa ostrołęckiego, przeprowadzona w 1765 roku – a więc w trzynaste lat po nadaniu przywileju przez Augusta III – wykazała, że mieszkało tu już czterech osadników – gospodarzy. W roku 1817 Durlasy razem z kolonią – Przewrotną Górą – miały 14 dymów (domów mieszkalnych, gospodarstw), w których mieszkało 24 mężczyzn dorosłych, 26 kobiet dorosłych i 14 dzieci (7 chłopców i 7 dziewczynek) – razem 64 osoby. W 1820 roku dymów tych było 17 i osada leśna, zaś w latach 1823–1824 w 16 domach w samej wsi Durlasy mieszkało razem 126 osób i na kolonii – w Przewrotnej Górze – w 5 domach osób 24. Rok 1849 zastał mieszkańców Durlasów w 24 domach, zaś w 1880 roku wioska liczyła 22 domy, a powierzchnia gruntów wynosiła 1038 mórg, w tym 320 mórg ziemi ornej².

Pierwsze pomiary gruntów na terenie osady Durlasy, położonych wśród karczowisk, przeprowadzono w 1822 roku. Ziemia uprawna poszczególnych gospodarzy była wówczas rozdrobniona, każdy zagon położony w innym miejscu, poprzedzielane zagonami innych gospodarzy, tak, że ich działki rolne układały się w zawiłane, nieregularne szachownice, a osada nabierała kształtu przypadkowego. Rolnicy karczowali las w różnych, wybranych przez siebie, dowolnych, dogodnych dla nich miejscach i czynili to kawałkami, rozrzuconymi po całym terenie osady. Utrudniało to bardzo uprawę roli i zbiór płodów. Ponadto liczba karczujących rolników stopniowo się zwiększała. Z czasem zaczął następować też podział ziemi już wykarczowanej pomiędzy spadkobierców, co czyniło układ pól jeszcze bardziej zawiłanym, grunta jednej rodziny były więc coraz bardziej porozrzucane i rozdrobnione, co czyniło duże uciążliwości w prowadzeniu gospodarki rolnej.

Względy gospodarcze, mające na uwadze usprawnienie pracy przy uprawie roli, przemawiały więc za przeprowadzeniem komasacji gruntów.

od kilku starszych mieszkańców wioski: Adama, Wiktora, Czesława Parzychów, Marianny Szewczykowej i jej córki Rozalii Wiktorkowej, Franciszka Marzewskiego, Józefa Szewczyka, Józefa Parzycha, Franciszka Parzycha, Gontarzowej i jej córki Marianny Chrostek, Czesława Szczubelka, Józefa Marzewskiego – wszyscy oni już nie żyją.

² *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, Warszawa 1881, s. 229.

Na oryginalnej mapy z pomiarów dokonanych w 1822 roku naniesionych jest 19 gospodarstw. Wydzielono też parcelę dla kowala wioskowego.

Po komasacji gruntów poszczególni gospodarze przebudowywali się stopniowo na nowe siedliska, położone na nowo wyznaczonych im skomasowanych gruntach, ułożonych prostopadle do nowej drogi głównej – gościńca, szerokiego i wygodnego. Przecinał on w poprzek wszystkie pola, zgrupowane w jednym obszarze i podzielone pomiędzy gospodarzy w układzie pasowym – każdy otrzymał swój przydział ziemi w jednym pasie – dziale o powierzchni odpowiadającej ogólnej powierzchni posiadanych dotychczas zagonów ziemi uprawnej jak i kawałków łąk. Pastwiska, tzw. Naddawy pozostały we wspólnym użytkowaniu. Ponadto władze leśne, chcąc uregulować granice lasów państwowych, wydzieliły z nich dla wioski obszary bezleśne lub słabo zalesione, biorąc w zamian te przestrzenie wiejskie, na których zachował się drzewostan w stanie jeszcze bardziej zwartym, nie naruszonym karczunkiem, a które przedtem pozostawały w użytkowaniu wioski.

Kolejne pomiary gruntów przeprowadzono w latach 1840–1850, a do roku 1870 wszyscy gospodarze przebudowali swe zabudowania na nowe siedliska. W takim kształcie układ wioski przetrwał do dziś.

W rezultacie tak przeprowadzonej regulacji gruntów i przebudowy zagród, pierwotna osada znikła całkowicie i jedynie nazwa piaszczystego uroczyska Stara Wieś, a także wyorywane tam skorupy gliniane i ceramiczne oraz skorodowane resztki drobnych narzędzi rolniczych i domowych wskazują miejsce, gdzie stały zabudowania pierwotnej osady – wioski Durlasy.

Przy dokonywaniu pomiarów i komasacji gruntów zachowano częściowo niektóre dawne drogi polne. Większość ich jednak skasowano, tworząc nowe³.

³ Adam Chętnik: *Warunki gospodarczo-kulturalne na pograniczu kurpiowsko-mazurskim*, Biblioteczka Pogranicza nr 3, Łomża 1927, s. 46; Adam Chętnik: *Jak Kurpie ze Szwedami wojowali*, LSW Warszawa 1986; Marek Kowalik: *Zabytki sepulkralne na terenie województwa ostrołęckiego*, Ostrołęka 1988; Zofia Niedziałkowska: *Kurpie. Bory Ostrołęckie*, wyd. II uzupełnione, LSW 1988; Franciszek Piaśnik: *Osadnictwo w Puszczy Kurpiowskiej*, Warszawa 1939 – mapa pomiaru gruntów z 1870 r.; Jędrzej Świącicki, *Opisanie Mazowsza*, Warszawa 1974; *Dzieje parafii i kościoła pw. Nawiedzenia NMP w Ostrołęce*, Praca zbiorowa pod redakcją Marii Przytockiej, seria Ecclesia Ostrolencensis, Ostrołęckie Towarzystwo Naukowe im. Adama Chętnika, Ostrołęka 2013, ss. 114, 118, 156; *Tabela miast, wsi, osad Królestwa Polskiego*, Warszawa 1827.

Każda działnica wioski, pole, las, łąki, każdy fragment terenu otrzymał od mieszkańców, i posiada ją do dziś, nazwę, m.in.: Nadlasek, Golenicha, Zagórka Kowalowizna, Przewrotna Góra (kolonia), Nad-dawy, Podwale, Podborze, Dąbrowa, Poręby, W Pałękach, Kulicha, Okręglicza, Zembrat, Oprzelicha, Kazimierzyska, Koźlicza, Strunicha, U Kozła, Starawieś, Morgi, Nowiny, U Sitkorza, W Jeżynach, Zalasek, U Strugi, Nad Lasem, U Wygonu, Posada, Na Gajówce, U Sadzwaki, U Kanału, U Bagna, Lasek, Gaj, U Miejskiej Drogi, U Łodziskiej Drogi, U Brzozowskiej Drogi, Za Autostradą, U Drewnianej Drogi, Pod Bo-rem, Za Dąbrową itp.

Główny Urząd Statystyczny na dzień 31 września 1921 roku wykazał, że we wsi Durlasy w 36 budynkach mieszkalnych zamieszkiwało 219 osób, w tym 90 mężczyzn i 129 kobiet.

Mieszkańcy Durlasów, jak wszyscy Kurpie, byli ludźmi zawsze wolnymi od pańszczyzny (wieś rządowa), uznający poddaństwo tylko wobec króla, dumnymi ze swych barwnych obyczajów, tradycji, wiary, z udziału w walkach niepodległościowych na przestrzeni dziejów wioski. Bez udziału Kurpiów nie obyło się żadne wydarzenie historyczne. Gdy potrzebna była ofiara życia i krew serdeczna dla obrony tego co nasze, Kurpie, a wśród nich mieszkańcy Durlasów, stawali zawsze w pierwszym szeregu. Młodzi mężczyźni (kawalerowie) z Durlasów – o czym niesie echo wspomnień wśród najstarszych mieszkańców wioski, przekazywane z pokolenia na pokolenie – stanęli w szeregach powstańczych 1831 roku (bitwa pod Ostrołęką) i partyzanckich 1863 roku. Podobno tylko kilku ich było (może kilkunastu?) ale i wioska cała była niewielka, kilkanaście dymów zaledwie licząca⁴. A kapliczka z Matką Boską Durlaską, stojąca w lesie na rozstaju dróg, miała być znakiem kontaktowym i rozpoznawczym dla oddziałów i grup powstańczych. Nie zabrakło też mieszkańców Durlasów w wojnach światowych ani w szeregach ZWZ-AK.

⁴ Wspominała o tym Gontarzowa oraz Rozalia Wiktorek, której, jako małej dziewczynce, opowiadała jej babka oraz stryjek Szewczyk, który 25 lat służył w carskim wojsku.

W czasie I wojny światowej na linii Narwi przez kilka miesięcy trwały walki artyleryjskie i różne utarczki w okolicznych lasach. Wieś Durlasy (jak i cała okolica) została wyniszczona, ograbiona z żywności, paszy, inwentarza żywego i wszelkiego innego dobytku. Rekwirowały zarówno wojska carskie jak i pruskie. Koniec I wojny światowej zaowocował odrodzeniem się państwowości polskiej po 123 latach niewoli. Stan euforii związanej z listopadowymi dniami 1918 roku zakłóciła jeszcze wojna z bolszewicką Rosją (1920–1921), ale po jej zakończeniu czas pokoju i umacnianie państwowości polskiej trwał do wybuchu II wojny światowej.

Lata międzywojenne to czas trudnej niepodległości i polskości, które stawały dopiero co na własnych nogach. A działo się wówczas wiele, trwał wysiłek wyzwalać umysłów, scalania i modernizacji kraju, budowanie ładu moralnego. Lata międzywojenne to też czas leczenia zadanych całemu krajowi, jak i mojej wiosce Durlasy ran, odbudowy zniszczonych działaniami wojennymi budowli i mozolnej pracy na roli. Chaty we wsi wszystkie były drewniane: małe, średnie, duże, ciasne i obszerne, nowo budowane i stareńkie, wrosnięte w ziemię, jedna przy drugiej ustawione wzdłuż gościńca, po obu jego stronach. Wszystkie słomą kryte, dwu- i trzyizbowe (duża i mała izba oraz alkierz), z sienią i komorą, w której stały żarna do mielenia zboża. Piece i ogrzewacze oraz kuchnie (z blatem – płytą żeliwną z fajerkami nad paleniskiem) były budowane z cegły i pojawiły się w chatach około lat 70. i 80. XIX wieku. Do tego czasu w domach znajdował się rozległy piec z otwartym paleniskiem, który był jedynym miejscem, przy którym dokonywano kuchennych zabiegów. Na rozległe pale-

nisko wstawiano trójnogi (drejfusy), utrzymujące nad ogniem garnki i sagany, odlewane z żeliwa. A ogień rozniecano za pomocą krzesiwa⁵.

Praca na roli była mozolna, a licha ziemia rodziła słabe plony. Jeszcze w pierwszej połowie lat 20. XX wieku używano we wsi drewnianych soch, które tylko zakończenie odkładni miały okute żelaznym pasem. Radła były drewniane, sprężynówek nie używano, a bronę stanowiły drewniane belki z wbitymi w nie metalowymi gwoździemi – zębami. Tu należy pamiętać, że rozwój rolnictwa w całym naszym kraju przypadł na przełom XIX i XX wieku, kiedy to w gospodarstwach wprowadzano ulepszone sposoby gospodarowania, żelazny pług zastępował sochę.

Pierwszym we wsi gospodarzem, który nabył nowoczesny w tamtym czasie sprzęt rolniczy był Czesław Parzych syn Józefa „Z Nadlasku”. Gdy w 1926 roku przyjechał z matką i siostrami na swą ojcowiznę i jako 19-letni młodzieniec przejął gospodarstwo po swym dziadku po mieczu, Wiktorze Parzychu, kupił pług cały metalowy, jednoskibowy i brony dwupolowe (rozkładane), parokonne oraz sprężynówkę. Kiedy pracował tym nowym sprzętem w polu, przychodzili rolnicy – sąsiedzi oglądać efekty tej pracy. Nieco później kupił kierat i ladę – sieczkarnię kieratową. Był to również pierwszy we wsi kierat i sieczkarnia kieratowa, napędzana przez zwierzęta (do tego czasu używano we wsi sieczkarni poruszanych ręcznie). Wszystkie ten sprzęt Czesław Parzych nabył w zakładzie ślusarskim Wołosza w Ostrołęce. W ogóle wprowadzał on w swym gospodarstwie, a tym samym we wsi Durlasy, nowoczesną na owe czasy uprawę ziemi, siew, pielęgnację i zbiór ziemiopłodów. Wiedzę na ten temat zdobywał u dziadka po kądzieli, Jana Gawrychowskiego, w jego obszernym majątku Filipki Małe koło Lachowa, u którego przebywał z matką i siostrami od lat dziecięcych (jego ojciec wyjechał za chlebem do USA i tam zmarł podczas operacji). Początkowo to jego gospodarowanie obserwowano jedynie z zaciekawieniem, lecz gdy efektem pracy były najlepsze we wsi plony, o wiele starsi od niego rolnicy – sąsiedzi korzystali z jego porad, podpatrywali i wprowadzali u siebie stosowane przez niego

⁵ Marianna Szewczyk (ur. w 1862 r.), babcia Stanisławy Parzych, pamiętała z opowieści matki o młodych mężczyznach z Durlasów, którzy walczyli w powstaniach. Pamiętała też jeszcze z lat dziecięcych odkryte paleniska kuchenne w niektórych domach, nad którymi ustawiano sagany z gotowaną strawą, a dym często rozchodził się po całym pomieszczeniu.

sposoby gospodarowania. Gospodarstwa ich były niewielkie, kilku-kilkunastu hektarowe, a zaledwie u kilku rolników przekraczały pół włóki lub włókę: Wiktora (później Czesława) Parzycha, Józefa Parzycha, Józefa Marzewskiego, Franciszka Szczubełka, Szymczyka⁶.

Te niewielkie gospodarstwa, słaba ziemia i liche plony nie czyniły mieszkańców Durlasów, jak i całej Kurpiowszczyzny, ludźmi bogatymi. Nadmiar rąk do pracy zmuszał do poszukiwań dodatkowych źródeł dochodu, o które nie było łatwo. Młodzież najmowała się więc do sezonowych prac w polu u większych i bogatszych gospodarzy za Przasnyszem, pracowano przy sadzeniu lasów (poniszczonych przez okupantów), zajmowano się drobnym handlem (np. końmi), wędrowano na saksy. Za uzbierane przez najbliższą rodzinę lub pożyczone pieniądze kupowano siwkartę i okrętami odpływano za chlebem do Ameryki. Z Durlasów jeszcze w czasie zaborów i w okresie międzywojennym wyjechali: Józef Szewczyk, jego syn Adam i córki: Wiktoria Parzych i Bronisława Olbrys (w okresie zaborów). Józef Parzych syn Wiktora (w 1908 r.) i jego brat Antoni (w 1911 r.). Dwóch Władysławów Marzewskich (obaj wyjechali do Urugwaju). Władysław Mrozek (okres międzywojenny). Antoni Marzewski (poszedł na wojnę w 1939 r. i przedostał się później do Ameryki). Franciszek Dębek (w 1939 r. również poszedł na wojnę, przedostał się do Kanady, do kraju już nie powrócił)⁷.

Po wojnie na pobyt stały wyjechali: Aleksander Kurpiewski z całą rodziną: żoną Zofią, synami: Aleksandrem, Franciszkiem i Andrzejem oraz córkami: Marianną, Danutą i Anną, Jan Parzych – syn Czesława i Stanisławy, Mieczysław Wiktorek – syn Stanisława i Bolesławy, Danuta Kurpiewska – córka Franciszka i Apolonii Wiktorków, Anna Wiktorek (wdowa po Konstantym) i jej dzieci z rodzinami: Barbara, Jadwiga, Józef i Benek. Dzieci Stanisława i Bolesławy Wiktorków z rodzinami: Mieczysław i Hanna, ich synowa Maria (wdowa po Adamie) z dwoma synami oraz ich wnuki: Kazimiera z dziećmi, Rafał z żoną i córką.

⁶ Informacje od Czesława Parzycha s. Józefa, Walentego Marzewskiego, Władysławy Parzych z Gawrychowskich, Rozalii Wiktorek, Józefa Wiktorka, Stanisławy Parzych, Józefa Marzewskiego.

⁷ Informacje od Czesława Parzycha s. Józefa, Stanisławy Parzych, Władysławy Parzych, Janiny Parzych, Wiktorii Parzych, Rozalii Wiktorek, Józefa Wiktorka, Marianny Chrostek, Cecylii Marzewskiej, Czesławy Dębek.

Przeważająca część mieszkańców wioski – mężczyźni młodych i w sile wieku – w czasie okupacji działała w konspiracji. Na partyzanckie ćwiczenia i szkolenia zbierali się grupami w okolicznych lasach. Wymykali się oni ze swych domów niepostrzeżenie: ten z koszykiem, że niby na grzyby idzie, tamten z siekierą czy piłą, że niby wybrał się po drzewo na opał itp. Zetwuzetowcy – akowcy to byli bohaterowie okupacyjnych dni. Na leśnych zbiórkach ćwiczyli musztrę, zapoznawali się z bronią, ćwiczyli strzelanie. A samo uczestnictwo w nich i partyzanckie wtajemniczenie było dużym wyróżnieniem i uznaniem. Współorganizatorem ZWZ, później AK, w naszej wiosce był Józef Wiktor (junior) i Czesław Parzych pseudonim konspiracyjny „Jaskółka”, współpracujący z konspiratorami z sąsiednich wiosek: Józefem Kaczyńskim „Jastrząb” z Gnatów, Toflem z Długiego Kątu, Baćławskim i Franciszkiem Kraską ze Szkwy⁸.

Wójtem gminy Durlasy z siedzibą w Lelisie (taka była pełna nazwa nadana gminie aktem prawnym po przeniesieniu jej z Nasiadek w 1931 r. – zapis w Dzienniku Ustaw RP za 1931 r., nr 2, poz. 9) podczas okupacji był Otto Pac (Mazur z Prus Wschodnich). Oboje z żoną mówili dobrze po polsku. Pac w początkowych miesiącach okupacji był komisarzem lasów państwowych w Wachu, potem krótko w Kadzidle, a następnie aż do końca okupacji niemieckiej, wójtem naszej gminy⁹.

⁸ Informacje od Czesława Parzycha z Zagórki, Czesława Parzycha z Nadlasku, Wacława Fidrycha z Olszewa-Borek, Józefa Wiktor (junior), Czesława Parzycha s. Franciszka, Zygmunta Parzycha, Franciszka Korzenieckiego, Walentego Marzewskiego, Józefa Parzycha (gajowego).

⁹ Informacje od Bolesława Peły ze wsi Grabowo (pochodził z Wachu i tam mieszkał w okupację), Czesława Parzycha s. Józefa, Józefa Marzewskiego, Stanisławy Parzych, Józefa Szewczyka.

Wójt Pac – co wspominali starsi mieszkańcy Durlasów – jak na warunki okupacyjne, nie starał się stwarzać sytuacji szczególnie niebezpiecznych, zapewne w trosce i o własną skórę i – jak mówiono – powstrzymywany od popędliwości przez swą żonę. Toteż mieszkańcy wioski poza wykonywaniem przymusowych dodatkowych prac, usług i różnych uciążliwych okupacyjnych obowiązków, raczej nie doznali większych tragicznych przeżyć i wstrząsów. Byli zresztą solidarnie z sobą zjednoczeni, czujni i przebiegli w omijaniu lub ignorowaniu narzuconych im praw okupanta. Pędzili samogon, bili świnie – robili wszystko, co było zakazane. Dyskretnie i przebiegle, zgodnie z zasadą, że „wszystko można, co nie można, byle z wolna i z ostrożną”. Gdy zbliżał się żandarm czy wójt do wioski lub jakaś inna niemiecka swołocz – cała wieś już o tym wiedziała i miała czas na ukrycie tego, co by rzuciło choćby maleńki cień podejrzenia. Słoninę czy kawałki mięsa na bieżący użytek trzymano na dnie kosza pod obierkami z kartofli, większe połcie oraz bimber chowano w strzechę na poddaszu (jeszcze jedna rola strzechy), w budynkach gospodarczych w specjalnych skrytkach, niejednokrotnie w dziuplach starych, próchniejących wierzb, stojących przy samym gościńcu. Żandarmi niejednokrotnie stawali przy tych wierzbach, ba, nawet wspierali się o nie, nie mając pojęcia, jakie „skarby” w swych wypróchniałych wnętrzach one kryją. A żandarmów ludzie pamiętali trzech: Sikorę, Werka i Franka (tylko imię). Sikora (mówił po polsku) i Franek w sumie byli podobno nie najgorsi, zaś z Werka było kawał sukinsyna (jak go określano). Czy ci żandarmi byli przez cały okres okupacji i ilu ich było, tego nie wiem, ale zapewne dużo więcej, gdyż obsługiwali całą gminę¹⁰.

Pamiętam też, jak przez mgłę, że bodajże o godzinie ósmej wieczorem rozpoczynała się godzina policyjna i należało po tym czasie być w domu. A po zapadnięciu mroku rodzice szczerlnie zasłaniali okna, by światło lampy naftowej nawet odrobinę nie wydostawało się na zewnątrz, gdyż groziły wysokie kary.

Wójta czy żandarmów odwiedzających wioskę wielekroć razy trzeba było nakarmić i напоić (oczywiście samogonem), a pijanych żandarmów nawet odwieźć furą do Lelisa i dopilnować, by nic im się nie stało, a ich karabiny nie zginęły. W ten sposób „kupowano”

¹⁰ Informacja od Czesława Parzycha, s. Józefa.

względny spokój dla wioski. Oczywiście, młodzi mieszkańcy nie uniknęli wywózek na przymusowe roboty do Prus Wschodnich (Stanisława Szymczyk – córka Aleksandra, Henryk Karczewski – syn Józefa, Adam Wiktorek – syn Józefa i inni) czy też przymusowych prac przy kopaniu rowów i okopów.

Prawdziwości wydarzenia, które niżej opiszę, nie udało mi się zweryfikować, dowiedziałem się o nim z „podśluchu” szeptanej informacji i na tej zasadzie je tutaj przedstawiam. Otóż późną jesienią 1942 roku (skoro jest tak dokładna data, więc jakiś załączek prawdy w tym musi być?) drogą wiodącą przez las między Durlasami a Łodziskami (dziś biegnie tamtędy szosa asfaltowa) jakiś niemiecki dygnitarz (leśniczy?, nadleśniczy? czy pracownik gminy? lub nawet z powiatu?) jechał bryczką. Po drodze wziął do podwiezienia idącą tą drogą Polkę, młodą kobietę (szła może do kolejki do Łodzisk, może od kolejki do domu?) i chciał ją zgwałcić. Ona wyjęła pistolet z jego kabury i go zastrzeliła. Poszła cicho szeptana wersja interpretowana przez Niemców w ten sposób, że on się upił i sam się zastrzelił. Kobieta, która dokonała tego czynu, miała pochodzić z Durlasów. Kim była?

Nadeszło lato 1944 roku. Wieczorami, gdy echo niesło się dobrze po rosie, wychodzono przed domy i z trwożnym niepokojem, ale i radością w sercach nasłuchiowano dalekiego, jeszcze groźnego dudnienia zbliżającego się frontu, przykładano uszy do ziemi, by posłuchać, jak boleśnie jęczy i drży. Budowano bunkry – schrony ziemne, w których gromadzono się całymi rodzinami w miarę jak zbliżał się front i coraz częściej odbywały się nocne naloty radzieckiego lotnictwa.

W 1944 roku późnym latem całą naszą rodziną na noc, kiedy najczęściej odbywały się radzieckie naloty i bombardowania gdzieś w okolicy Ostrołęki, chodziliśmy do bunkra – schronu zbudowanego na polu sąsiada Walentego Marzewskiego, gdzie mieliśmy schronienie razem z jego rodziną oraz z rodziną Aleksandra Szewczyka. Na dzień wracaliśmy do domów i do swych zajęć. Kryliśmy się w tym schronie przez dwa tygodnie. Z uwagi na panującą tam ciasnotę przenieśliśmy się, na krótko przed wysiedleniem, do schronu ojca mojej mamy, Józefa Wiktorka (na drugim końcu wioski). A front był coraz bliżej, nocne naloty i bombardowania coraz częstsze. Ludzie jak potrafili tak przygotowywali się i zabezpieczali na przetrwanie tych trudnych chwil. Rodzinne zasoby, lepszą odzież, zboże, trwalszą żyw-

ność itp. dobra zakopywano w dołach na polach, w lasach, w domach pod podłogami, w ogrodach i innych miejscach. Uważano, że to najlepszy sposób na przechowanie tego, co się posiadało i uchronienie przed rekwizycją czy zwykłym rabunkiem. Moi rodzice ukryli nasze mienie w trzech miejscach: odzież, wyjazdową uprząż, rodzinne pamiątki, zdjęcia, obrączki, mamy pierścionki itp. zakopano w dole na polu obok dąbrowy oraz razem z sąsiadem Aleksandrem Kurpiewskim w jego domu pod podłogą małej izby, zaś zboże w lesie za stodołą. Tak czynili wszyscy i, niestety, wszyscy niczego z ukrytego mienia nie odzyskali. Wszystko zostało odnalezione i zabrane oraz zniszczone przez wojska niemieckie i radzieckie podczas ponad półrocznego wysiedlenia wszystkich mieszkańców wioski. A dokonano tego wysiedlenia w ciepły, słoneczny, złoto-jesienny dzień 1 września 1944 roku. Niemieccy żołnierze krzykiem i poszturchiwaniem karabinowymi kolbami wypędzali z domów i bunkrów mieszkańców wioski na szeregi, piaszczysty gościniec i grupami prowadzili wszystkich „drewnianą drogą” przez Łodziska, a dalej w kierunku Dylewa, Baranowa, Piaseczni, Kadzidła, Myszyńca, Rozóg... Ja z bratem Jankiem siedzieliśmy na górze tobołów na furze Józefa Parzycha („Szymaniaka”). Opiekował się nami tato i pomagał mamie nieść za chustą najmłodszego, zaledwie miesięcznego, brata Staszka. Gdy umęczona mama przykucnęła na chwilę wytchnienia pod przydrożnym jałowcem, pilnujący ją niemiecki żołnierz kazał zostawić jej pod tym jałowcem to małe kłose, gdyż ono i tak zrobi kaput. Mama ze łzami w oczach i maleńkim bratem Staszkiem w ramionach podniosła się z trudem i poszła za wysiedleńczą kolumną.

Po drodze, korzystając z nieuwagi Niemców i z osłony leśnych drzew i krzewów, coraz więcej osób uciekało z kolumny. Nasza rodzina odłączyła się od niej we wsi Wach. Znaleźliśmy dach nad głową u państwa Bałdygów w tej wiosce (składałam im tu wszystkim jeszcze raz, w imieniu całej rodziny, gorące podziękowania za ich dobroć i czułe serca). Dziadkowie otrzymali schronienie w domu sąsiada naszego gospodarza (nazwiska nie pamiętam). Tam przetrwaliśmy czas wysiedlenia i, w schronie-bunkrze na podwórku Bałdygów pod świerkami, razem z nimi, przesuwający się, w końcu stycznia 1945 roku, front. Gdy złowrogi jęk armat i bolesny jęk ziemi przesunął się wraz z frontem znad naszego bunkra, razem z innymi ostrożnie wyszedłem z nie-

go. Obraz tamten, choć oglądałem go przez kilka krótkich chwil zaledwie, został we mnie na zawsze: porozrywana ziemia i porozrywane żołnierskie ciała. Kto by potrafił ustalić – niemieckie czy radzieckie? Ich fragmenty były ze sobą przemieszane. Śmiertelną ciszą ze sobą pojednane. Tuż za domem dopalała się radziecka tanka, na niej, głową w dół, zwisały zwęglone szczątki żołnierza, w pobliżu jakaś armata z przewieszonymi przez nią kolejnymi szczątkami żołnierskimi bez głowy, która nieruchomo leżała obok stalowej gąsienicy. Cały teren usłany był trupami żołnierzy, szczątkami rozbitych czołgów, armat, samochodów i innego sprzętu bojowego. Przerażonego tym widokiem mama szybko zgarnęła pod fartuch i zaprowadziła do schronu.

Uważam, że niezbędnym w tym miejscu jest przywołanie ku pamięci faktów, iż w krwawych zmaganiach II wojny światowej wzięło udział łącznie 61 państw na 62 państwa wówczas istniejące. Pośrednio lub bezpośrednio było w wojnie zaangażowanych 1700 milionów ludzi (prawie 80 proc. całej ówczesnej populacji – 2170 milionów), liczba zaś zmobilizowanych do wojska wynosiła około 100–110 milionów osób. Koszty wojny szacowano na astronomiczną sumę 3 bilionów ówczesnych dolarów, z tego na same działania wojenne – około 1,2 biliona. Straty, jakie poniosła ludność, wyrażają się liczbą ponad 50 milionów poległych i zamordowanych oraz 35 milionów rannych i trwale okaleczonych. Zniszczone dobra materialne w samych tylko krajach europejskich określa się na około 260–300 miliardów dolarów. A straty moralne tej wojny przekraczają skalę ludzkiej wyobraźni.

Polska znajduje się na pierwszym miejscu wśród krajów, które najbardziej ucierpiały gospodarczo w czasie II wojny światowej – ogół strat w tym względzie ustalono na równowartość dzisiejszych (2012 r.) ośmiuset miliardów dolarów. Straty biologiczne Polski ponad 6 milionów uśmierconych osób, 1,14 miliona osób dotkniętych ciężką chorobą, 590 tysięcy okaleczonych – dane te pochodzą z rachunku strat i zniszczeń, sporządzonego przez Biuro Odszkodowań Wojennych w 1947 roku. Rachunek ten dotyczył tylko tzw. ziem dawnych, które po 1945 roku znalazły się w granicach nowego terytorium Polski. Zostały więc z niego wyłączone zabużańskie tzw. ziemie utracone, a na zachodzie Ziemie Odzyskane.

Zniszczenia wojenne w naszej wiosce, jak i na całej Kurpiowszczyźnie, były ogromne. Ocalało zaledwie kilka domów: u Józefa i Walentego Marzewskich, Aleksandra Lenkiewicza, Franciszka Karczewskiego, Aleksandra Szewczyka, Józefa Wiktorka, Franciszka Marzewskiego, Aleksandra Kurpiewskiego, Józefa Marzewskiego i nasz. Były one mocno zdewastowane, stały jedynie same szkielety ścian, z wyrwanymi wnętrzami, bez okien, drzwi, kuchni, pieców, podłóg i sufitów. Pozostałe we wsi domy były całkowicie rozbite, rozwalone lub spalone, budynki gospodarcze również poniszczone. Brak było żywności, zwierząt, sprzętu domowego i gospodarczego.

A była już wiosna 1945 roku. Po długiej ciszy zimowej powietrze napełniało się szumem, szmerami przeróżnymi. Niebo nad Durlasami, nad Kurpiowszczyzną całą, podniosło się, oczyściło i zbłękitniało. W gaju przy sadzawce, w otaczających wioskę lasach, na rozległych rozlewiskach i przestrzeniach łąk, na uroczyskach i bagnach śródleśnych Zembratu, Kulichy, Okręgliczy, Oprzelichy, które niegdyś były jeziorkami, teraz zarośniętych krzewiną, sitowiem i trzcinami, kwiliły czajki, niósł się nieprzebrany świergot ptactwa przeróżnego, wesoły, świeży, zachęcający do życia, do radości, aż w duszy śpiewało. Przysiadają tu też, na krótki odpoczynek w drodze do swych gniazd lęgowych, dzikie gęsi i kaczki oraz inne stada tego skrzydlatego zwierzyńca, witające radośnie gęganiem, kwakaniem i klangorem swe rodzinne strony. Były słowiki i kukułki, skowronek w modlitewnym śpiewie nad polami, cała symfonia ptasich głosów i kolorów. Przestrzeń wioski wypełniało nagle radosne misterium odradzającego się życia. Rozlana po gaju i smugach wiosenna woda któregoś ciepłego, słonecznego dnia zazieleniła się od bijących w górę młodych traw,

trzciny i sitowia. Zaraz potem zakwitły żółte kępy kaczeńców. Żaby dawały przepiękne wieczorne koncerty, a bociany nie miały kłopotu ze zdobywaniem pożywienia dla siebie i piskląt, toteż chętnie zasiedlały gniazda na starych drzewach i kilku stodołach. Dawały radość patrzenia na ich urodę, pełną wdzięku i godności. Do dziś z tamtych gniazd zachowało się tylko jedno na stodole Franciszka Korzenieckiego, drugie, nowe, założyły bociany u Jana Parzyskiego. Spod strzech odbudowanych domów niósł się radosny świergot jaskółek, które – według ludowej tradycji – miały je chronić od pożarów i przynosić szczęście, tak jak i bociany. A na wysokich sosnach, podchodzącego aż pod gospodarskie obejścia lasu, krzykliwie uwijały się wrony. Cała natura radośnie witała odradzające się życie i leczyła wojenne rany.

Wiosna szła też przez wszystkie serca mieszkańców wioski. Wiosna – odrodzenie, poderwanie do nowego życia. I to nowe życie odradzało się w nas wszystkich.

Jak teraz zauważam, mieszkańcy wioski (a i sąsiednich też) także z radością witali tę wrzawę dzikiego ptactwa, zwiastującą wiosnę, chociaż przyjmowali ją jako wydarzenie, które miało się dopełnić. Swym obcowaniem z naturą na co dzień, przez całe swe życie, po prostu przywykli do tego przyrodniczego cyklu, przecież tak było każdego roku, przez wszystkie pokolenia. Zajęci codzienną pracą, zafrasowani potrzebą utrzymania rodziny w ten jakże trudny powojenny czas, gdy wszystko zniszczone, nie ma dachu nad głową i co do garnka włożyć, siłą rzeczy mniej zwracali uwagi na te wiosenne zapachy, uroki i ptaków śpiewanie.

A był to przecież czas, gdy wszyscy ściągali z wysiedleńczej tułaczki do swojej wsi, do swych siedzib. Wychodzili w pola, leżące ugorami, zarośnięte chwastami, naprawiali uszkodzone domy lub zbierali porozrywane, niedopalone resztki belek ze zniszczonych budynków i klecili z nich tymczasowe pomieszczenia, aby tylko kawałek swego dachu mieć nad głową.

Ślady wojny widoczne były na każdym kroku: poszarpane, porozrywane pociskami, zarastające już trawą, dzikim kwiatem i zielskiem okopy (transzeje), zapadające ziemianki, w których pełno było amunicji i pustych łusek po pociskach, prochu, sztabek dynamitu, lontów trotylu... Boże, ile tego było! A ile mogił pogubionych po lasach, po polach, przydrożach, pod leszczynowym krzakiem u Kurpiewskich,

przy wygonie... Później żołnierze radzieccy odszukiwali mogiły i ekshumowali szczątki swych kolegów, przewożąc je na cmentarz wojenny w Wojciechowicach.

Zagórką (część wioski nosząca tę nazwę) przy gościńcu, między posesją Mrozka i Zadrogi, znajdowało się 5 lub 6 mogił żołnierzy niemieckich, którzy zmarli od ran w wojskowych lazaretach niemieckich, urządzonych w stodołach Mrozków, Głazewskich i Jana Parzycha, a których przywożono tu z frontu. Było to lato i jesień 1944 roku, gdy front zbliżał się do Narwi. Razem z Niemcami pochowano Polaka, który leżał ranny w stodole Jana Parzycha i tam zmarł. Po wojnie przyjechała jego żona z okolic Białegostoku i zabrała ciało. Mogiły te znajdowały się tam jeszcze do 1960 roku, mocno już zarośnięte – wspomina Regina Plaga z domu Mrozek, która potem wyjechała z Durlasów. Nie było na nich krzyży ani innych oznakowań, jedynie były z ziemi usypane, mogilne kopczyki, porośnięte trawą, ustawione w jednym rzędzie. Matka Reginy, Czesława Mrozek, wspominała, że z lazaretów słyszać było jęki rannych i konających.

*

W moich wspomnieniach wioskę Durlasy, z tych bezpośrednich powojennych lat, widzę ze studniami na podwórkach i żurawiami przy nich, z dzikimi gruszami na miedzach, otoczoną borem, z błękitnym niebem nad nią, czasem zasnutym szarym ciężarem chmur, czasem grzmiącym, rozdzieranym trzaskiem błyskawic, zawsze jednak kurpiowsko-durlaskim, najmielszym.

Między drewnianymi płotami biegła piaszczysta droga – szeroki, wygodny gościniec, noszący nasze dziecięce stopy w biegu za krążkiem fajery albo za starą rowerową obręczą. Miał on w sobie tyleż uroku co i utrudzenia. Sypki jego piasek miękko i przyjemnie obejmował bosc stopy, z usypiającym szelestem przesypywał się przez szprychy kół żelaznych wozów, grzęznących w głębokich koleinach. Wzdłuż gościńca drzemały leniwie zawsze stare – jak pamiętam – próchniejące wierzby, którym zwichrzone łby czochoła ciągle wiatr. Wiosną w ich niezliczonych dziuplach ptaki gniazda wiły, a my, dzieci, z kory ich młodych gałęzi i pędów robiliśmy gwizdki i fujarki, biegając po pastwiskach.

Gościniec, tuż przed wsią, wyłaniał się z rozległego lasu, płynął dwa i pół kilometra przez gęstą zabudowę wioski i znów znikał w lesie za „Drewnianą drogą”. Dźwigał ciężar skrzypiących wozów, wiozących do stodół słoneczne snopy zboża w żniwne południa, radośnie kurzył za galopującymi zaprzęgami, wiozącymi na żelaznych wozach młode pary do ślubu i ze ślubu, który brali w kościele parafialnym – ostrołęckiej farze. Ze smutkiem osypywał piachem głębokich kolein koła wozów, na których odjeżdżali w swą ostatnią drogę mieszkańcy wioski. Wszyscy, którzy tu mieszkali, podążali tym gościńcem ku nowemu życiu (nowonarodzeni) albo ku wieczności – pośrodku były wszystkie dni ich bytowania.

Z tyłu naszej zagrody ciągnął się wiejski las sosnowy na przemian ze smugami pastwisk, dalej był las liściasty i rozległa przestrzeń łąk. Po drugiej stronie gościńca, za niewielkim pastwiskiem rozłożonym w cieniu olch i brzoź, dającym zwierzętom ochłodę w dni upalne, pradziadek Wiktor Parzych założył sadzawkę (łowiliśmy w niej karaśki, piskorze, płotki, czasem szczupak się trafił po wiosennych przyborach wód i inne ryby), ukrytą w liściastym lasku, gajkiem zwanym, za którym ciągnęły się zielone wiosennym zbożem pola, spięte klamrą dąbrowy, by za nią znów rozłożyć się szeroko i wygodnie na przestrzeni sięgającej rządowego lasu, przeciętej „Miejską Drogą”.

Położenie naszego domu w tak ukształtowanym terenie wioski stwarzało wspaniałe warunki dla chłopięcych zabaw. Stodoła nasza wprost „dotykała” sosnowego lasu, dlatego też ona i ten las stały się szczególnie cennym taktycznie terenem zabaw; do rozgrywania naszych – moich, młodszych braci Jaśka i Staszka oraz chłopaków z sąsiedztwa – „partyzanckich” i „wojennych” działań. Uzbrojeni w łuki, zrobione z jałowcowej gałęzi i sznurka, w karabiny, wystrugane z kawałka deski, w podziurawionych pociskami hełmach, których wszędzie było pełno, toczyliśmy zawsze zwycięskie potyczki i bitwy z wrogiem. Ze znieprawdzonymi hitlerowcami. Nie stawiali nam żadnego oporu, byli bowiem tylko w naszej chłopięcej wyobraźni, gdyż żaden z chłopaków nie chciał udawać niemieckiego żołnierza. Wszyscy byliśmy partyzantami i wojskiem polskim.

Te niewinne, dziecięce zabawy, padły któregoś dnia cieniem, potwierdzającym niejako podejrzenia funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, dotyczące naszego taty. Pamiętam jak dziś



Okolo 1920 roku. Rodzice mamy Czesława: Rozalia i Józef Wiktorkowie
z mamą Rozalii Marianną Szewczyk (siedzi)



Rok 1934. Rozalia Wiktopek z szesnastoletnią córką Stanisławą
(przyszła mama Czesława)



Lato 1946 roku. Rodzice Czesława oraz dziadkowie ze strony jego mamy i jej rodzeństwo. Od lewej: mama Stasia trzyma na ręku syna Staszka, tata Czesława, a przed nim mały Czesiek, babcia Róża i przed nią najmłodszy jej syn – Czesiek, Henia – żona Józefa-juniora, Brońcia, dziadek Józef senior, Józef junior, Kostek, Staszek – trzyma na ręku Jasia – brata Czesława



Okolo 1950 roku (koniec lat 40.) Babcia Czesława, Rozalia Wiktorkowa (siedzi z prawej), jej siostra Bronisława Olbryś (z USA) oraz babci dzieci: siedzi Adam, z tyłu stoją od prawej: Broncia, Staszek, Kostek, Franek i Polcia (żona Franka)



Rok 1950. Klasa VI Szkoły Podstawowej w Lelisie z wychowawcą klasy
Aleksandrem Gontarzewskim i nauczycielką Janiną Wołosz. Czesiek siedzi
pierwszy z lewej



Okolo 1950 roku. Rodzice Czesława – Stanisława i Czesław oraz ich dzieci:
Alina, Henryk, Stanisław, Czesława, Jan (z królikiem)



20 czerwca 1956 roku. Klasa Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Stanisława Leszczyńskiego na wirydażu kościoła poklasztornego – ostatnia lekcja religii przed wakacjami.

W pierwszym rzędzie w środku katecheta ks. Bolesław Batoszewicz. Czesław stoi w górnym rzędzie drugi od lewej



Lato 1960 roku. Kapral Czesław (stoi z prawej z notatnikiem), dowódca działonu w Podoficerskiej Szkole Artylerii Haubic ze swym działonem w czasie ćwiczeń taktycznych na poligonie

tamten grudniowy przedświt ostatniej przed Bożym Narodzeniem niedzieli. Bracia i ja zerwaliśmy się raniutko z łóżek, jak tylko mama wstała rozniecać ogień w kuchni, a tato karmić inwentarz. Mieliśmy właśnie poprzedniego dnia wieczorem zrobione nowe łuki z jałowcowych pędów, o większym zasięgu lotu strzały od dotychczasowych. Nie mogliśmy więc spać z urażenia i uzbrojeni „po zęby” (łuki przewieszone z przodu przez piersi, karabiny wystrugane z deski, na sznurkach, przewieszone przez ramie) siedzieliśmy rzędem na ławie przy piecu i niecierpliwie czekaliśmy świtu, by znienacka i skutecznie zaatakować przeciwnika, czyli znienawidzonych przez nas hitlerowców. I właśnie w tamten grudniowy przedświt załomotali do drzwi funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (ubowcy), wzmocnieni grupą żołnierzy (Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW)). Mama wyjrzała przez okno. Pełno ich było na gościńcu, na podwórku i wokół domu. Otoczyli całe nasze gospodarstwo, wszyscy z karabinami gotowymi do strzału, na wypadek, gdyby ktoś próbował ucieczki. Obławą objęta była cała wieś. Poszukiwano „bandytów” z Armii Krajowej, „zapłutych karłów reakcji”. A głównie chodziło im o jednego, Czesława Parzycha ps. „Jaskółka”, który był dowódcą pewnej grupy partyzantów na tym terenie w czasie okupacji hitlerowskiej. Ponieważ w wiosce Parzychów było kilkunastu, a Czesławów Parzychów bodajże sześciu czy dziewięciu – aresztowano wszystkich.

Gdy funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego z Ostrołęki wtargnęli wówczas do naszego domu i zobaczyli nas, mnie i obu moich braci, tak uzbrojonych, nabrali głębokich podejrzeń i niemalże pewności, że o tego Czesława Parzycha im chodzi, czyli o naszego tatę. Bo skoro nawet jego mali synowie bawią się w partyzantów walczących z władzą ludową, bo przecież wojna już się skończyła!... Mama, słysząc ich uszczypliwe uwagi i widząc zainteresowanie naszym „uzbrojeniem”, chciała nas rozbroić, lecz ze zdenerwowania sznurki tak jej się splątały, że chcąc nie chcąc musieliśmy pozostać w pełnej „gotowości bojowej”. Dziś widzę w tym wydarzeniu pewną symbolikę i przesłanie. I rozbawienie, choć wtedy nikomu nie było do śmiechu.

Siedzieliśmy więc, wtuleni w kąt izby, z płaczem i przerażeniem patrzyliśmy jak zabierają zakutego w kajdanki tatę, odrywając uwieszoną u jego szyi rozpaczającą mamę. Gdy odjechały samochody

mama poprzecinała sznurki i zostaliśmy bez broni, zropaczeni, bo ubowcy zabrali tatę i nie było wiadome na jak długo go utraciliśmy, a ponadto uzbrojenie nasze zostało zniszczone. Potem mama przypiliła nam, byśmy nigdzie nie mówili nic o tym, co robiło się i o czym mówiło w domu, w przeciwnym razie tatę mogą zatrzymać w więzieniu na bardzo długo. A w domu nocami słuchało się właśnie radia „Wolna Europa”. Początkowo mężczyźni – sąsiedzi schodzili się w długie jesienno-zimowe wieczory do domu Aleksandra Szewczyka. Jego syn, Czesław, miał, bodajże jako pierwszy we wsi, własną przedsięwzięciem skonstruowane radio na słuchawki. Jeden z sąsiadów siedział z tymi słuchawkami na uszach i spośród trzasków, szumów i pisków wyłuskiwał nadawane wieści. Pozostali ćmili machorkowe skręty, czasem wypijali po kieliszeczku „durlaskiej – księżycowej” i przyciszonymi głosami, mimo że „warta” czuwała przed domem, rozprawiali o tym, co przekazywał im dyżurujący przy słuchawkach. Potem tato kupił „Pioniera” z głośnikiem, na baterie, bo prądu we wsi nie było. Od tego czasu schodzili się do naszego domu sąsiedzi z Nadlasku (dzielnicy, w której my mieszkaliśmy), starzy rolnicy, koledzy taty i młodszy. Rozsiadali się na ławie przy piecu, na stołkach, taboretach i krzesłach, znoszonych przez mamę z całego domu, znów ćmili machorkowe skręty aż od dymu przygasał płomień lampy naftowej. Czasem też wychylali po jednym, czasem i po drugim kieliszku, toczyli dysputy, wymieniali zasłyszane informacje. A gdy nadchodził czas nadawania wiadomości – milkli, nawet skręty gasili i wsłuchiwali się w zanikające, to znów nauracające fale „Wolnej Europy”, wyłuskując – spośród charczeń i trzasków nadawanych przez polskie stacje zagłuszające – tak ważne dla nich informacje. Słuchano tylko wiadomości i co ważniejszych komentarzy oraz innych wybranych audycji, gdyż bardzo trudno było kupić baterie. W ten sposób oszczędzano, by na dłużej starczyły.

Po wysłuchaniu wiadomości i interesujących audycji rozpoczynano dyskusję nad usłyszczanymi informacjami, wypowiadano komentarze i uwagi. Czasem dochodziło do spórów i różnicy zdań w dyskusjach. Ale emocje zaraz wyciszano w sobie, kopiąc kolejne machorkowe skręty, lub wychylając po „kuśtycku”, jednym i drugim. Potem, gdy tematy radiowe wyczerpały się, opowiadano sobie różne przeżycia i przygody własne oraz od starszych osób niegdyś zasłyszane. Sie-

działem wtedy czasem (jeśli tato zapomniał do spania mnie wygonić) przy piecu, wtulony w ciepły kąt, ukryty w półmroku i z zapartym tchem wysłuchiwałem tych wszystkich niesamowitości.

Kobiety na te radiowe spotkania nie przychodziły. Jedyłą była mama, pani domu, chociaż i ona, na długo przed rozejściem się sąsiadów, szła spać do alkierza, stanowiącego sypialnię. A oni rozchodzili się do swych domów głęboko po północy, podając sobie dłonie na pożegnanie, żegnając gospodarza, czyli tatę, powszechnym „Zostajta z Bogiem” a tato odpowiadał niezmiennie „Idź (idźta) z Bogiem” (gdy przychodzili, na powitanie mówili zawsze tylko „pochwalonkę” i podawali sobie dłonie w uścisku).

Na drugi dzień, po wieczornym gospodarskim obrządku, znów schodzili się do naszego domu, siadali wygodnie, zapalali skręty i cała ceremonia zaczynała się od nowa. Tak działał niezawodny system sąsiedzkich spotkań. Był to jeszcze czas, kiedy ludzie żyli ze sobą a nie obok siebie, patrzyli szczerze w oczy bliźnich a nie w okienka telewizorów. Potrafili ze sobą razem przebywać, rozmawiać, a dzieci potrafiły bawić się zwykłymi zabawkami, często przez nie same lub dorosłych członków rodziny zrobionymi. Czas wolny od pracy w polu czy gospodarstwie w długie jesienne i zimowe wieczory był zgoła czymś innym niż dziś. Nie było elektryczności (izby oświetlano kagankami, karbidówkami, lampami naftowymi), telewizji, ba, nawet radio było rzadkością (o czym wyżej wspominam). Ale byli gawędziarze i gawędy, pełne podań i legend, mistyki i niesamowitości, a mroczne zamczyska, stare bastiony, puszczańskie ostępy i bitewne pola, a nawet nasza czy sąsiednie puszczańskie wioski lub poszczególne ich zagrody, stawały się miejscami zapierających dech w piersiach wydarzeń, które na trwałe wpisywały się w naszą pamięć i psychikę chłopięcą.

Ludzie ze wsi posiadali wielką mądrość i umiejętność nie komplikowania sobie życia, jakże pięknego, zwyczajnego. Życia we wzajemnej przyjaźni i pomocy. Najważniejsze było to, co podstawowe, najprostsze: rodzina, wspólnota sąsiedzka, cało-wioskowa, kultywowanie tradycji, które przejawiało się we wspólnym działaniu zarówno w kręgach rodzinnych, jak i na rzecz całej społeczności: praca, zabawa, nawet pożegnania te ostatnie, też były zwyczajne, cało-wsiowe. Bo wszyscy razem wspomagali się pracą wzajemną (dożynki, dokopki, docierki, dokrajki, doprządki, darcie pierza itp.), bawili się (zabawy,

wesela), żegnali (cała wieś schodziła się na modlitwę i śpiewy pobożne, pożegnalne za duszę zmarłego, odprowadzając go całą wioską z domu żałoby do wiejskiego krzyża, stojącego na skraju wioski, obok domu Marzewskich). To takie było normalne: troska o przyszłość, ale olbrzymi szacunek dla tradycji i przeszłości, dla ojców i dziadów. Troska o chleb, o każdego, kto tworzył tę społeczność, ale też i o to, co przekazały w spadku pokolenia poprzednie. Tak więc wzajemna współpraca i zaufanie tworzyły spójną społeczność wiejską. Oczywiście, ludzie nie anioły, były i kwasy, czasem chwytywanie za orczyki albo sztachety z płotu i zwykłe pyskówki a to za kury sąsiada, co na polu za miedzą ziarna ledwie co zasianego zboża wydziobywały, a to znów krowa sąsiada kęs koniczyny chytrze zagarnęła... Ale ogólnie ujmując, więzi sąsiedzkie, przyjaźń, życzliwość wzajemna wobec siebie, to były trwałe elementy życia durlaskiej społeczności wiejskiej.

Po wojnie był wielki niedostatek wszystkiego. Mieszkańcy nieśli sobie wzajemną pomoc, we wszystkim się wspomagali. Był to również jakiś spójnik i naszej rodziny. Było biednie, czasem głodno, ale ciepło, serdecznie, rodzinnie. Nie zawsze starczało chleba, ale nigdy nie brakło rodzinnej miłości, wzajemnego zaufania, szacunku i troski wzajemnej.

Dziś na wsi, jak i w mieście, ogląda się kolorową telewizję oraz wybrane przez siebie filmy z kaset wideo (zastąpionych już przez dyski), nagrywa własne programy, poprzez internet i telefony komórkowe łączy z całym światem. Każdy w swoim domu. Zamknięci sami z sobą. Bez sąsiedzkiej schadzki – bo kto dziś tłukę robi na dokrajki, doprządki, darcie pierza czy też idzie do sąsiada radia posłuchać? Bez kontaktu, wzajemnej pogawarki, bez zapalenia wspólnie machorkowego skręta (bo i kto dziś pali machorkowe skręty?!), wychylenia wspólnie jednego, drugiego... Wtedy mogliśmy przekazywać sobie z pokolenia na pokolenie stare tradycje i obrzędy, naszą ludową kulturę kurpiowską, spotykać się w drewnianych, strzechami krytych domach, ustawionych przy piaszczystym gościńcu, starymi wierzbami obrosłym. Teraz na miejscu tamtych chat stoją nowe, murowane domy, z zagospodarowanymi poddaszami, nierzadko piętrowe, z łazienkami i wygodkami, z centralnym ogrzewaniem. Telewizor kolorowy, kamera video, magnetowid, telefon komórkowy, pralka, lodówka, zamrażarka, komputer i inny sprzęt – wywołują zdziwienie, jeśli

ich w którymś gospodarstwie brak. Kaganki o słabym, mocno kopającym światelku z trudem rozgarniającym mrok, jakich używano tuż po wojnie, nieco późniejsze karbidówki (tato robił je z łusek po pociskach i z drewnianych szpuntów), o jaśniejszym świetle i już wcale luksusowe, jak na tamte czasy, lampy naftowe, ze szkłem i regulacją płomienia światła, zastąpiła wszechwładna elektryczność. Kto dziś pamięta tamte mroczne wieczory? A wspominając o tym wszystkim przedstawiam tylko fakty i skalę przeobrażeń, jakie zaszły w mojej wiosce, ba, na całej Kurpiowszczyźnie, w całym naszym kraju. Przeobrażeń świadczących o wielkim postępie, przyspieszeniu rozwoju całej infrastruktury technicznej, służących bardziej wygodnemu i kulturalnemu, mniej mozolnemu życiu mieszkańców. Dziś olbrzymi postęp techniczny niejako „uwolnił” kobiety od tradycyjnych zgromadzeń na te wyżej wspomniane tłuki w jesienne i zimowe wieczory. Sąsiadki nie zbierają się już na docierki, dokrajki, doprzążki, darcie pierza i tym podobne spotkania. A skoro zanikły te piękne sąsiedzkie schadzki, zamilkły również śpiewy starych pieśni przy tych pracach, zamilkły przeurocze gawędy ludowych gawędziarzy, opowiadających a to o ciekawych wydarzeniach z naszej historii, a to o przeróżnych niesamowitościach, że aż ciarki po plecach chodziły gdy się ich słuchało, a to o wielu ludzkich tęsknotach i marzeniach...

Wszystkie te wydarzenia stały się już historią. A jeśli któraś starsza gospodyni ma w domu jeszcze cierlicę, kołowrotek, snowadło czy krosna, trzyma je z sentymentu, zapewne gdzieś w komórcie ukryte.

A nasze czasy, pierwszej dekady XXI wieku, to czasy nerwowe, pełne lęków, chaosu i ogólnego niepokoju, niestabilne, właściwie bez klimatu i trwałych wartości, zagonione, chociaż nie wiemy dokąd i po co. Czas otacza nas i wciąż popędza nieubłaganie. Żyjemy w niewoli jego nieustannego odmierzania. Co minutę jesteśmy starsi o 60 sekund, co dobę aż o ich 86 400. Czas precyzyjnie wyznacza nasze życie, zmusza do ciągłego pośpiechu, coraz prędzej i prędzej i... „co-rzaz mniej mamy czasu”. A pamiętam, że po wojnie ludzie na wsi też dokładnie wiedzieli, że świat i życie nie stoi w miejscu. Ale wcale nie byli zakładnikami czasu. Dostrzegali i rozumieli działanie woli Bożej, niezmiennej. Żyli więc bez pośpiechu, a przyroda, otaczająca natura też bez pośpiechu wyznaczała im upływ czasu: a więc wschody i zachody słońca, fazy księżyca, pory roku. Nie interesowały ich w ogóle

minuty i godziny. Ważne było światło dnia i mrok nocy, ciepło i zimno. Wtedy też ludzie rozmawiali ze sobą, dziś tylko słuchają, a za nich i do nich mówi telewizor.

Ale powróćmy do głównego nurtu wspomnień.

Otóż tato, gdy został zabrany w tamten przedświt grudniowej niedzieli przez UB, wzmocniony grupą żołnierzy KBW, przetrzymywany był w areszcie Urzędu Bezpieczeństwa. Sam urząd mieścił się wówczas w kamienicy Ostaszeńskiego przy ul. 11 Listopada (wtedy Waryńskiego), zaś aresztanci przetrzymywani byli w piwnicach budynku i w komórkach, stojących w podwórku, w których przetrzymywany był i tato. Przesiedział tam kilka tygodni i w jakiś czas po Nowym Roku wrócił do domu (mama czyniła o to wiele starań). Kiedy przyszedł, mama i my, dzieci, w pierwszej chwili nie poznaliśmy go. Twarz miał zarośniętą i mocno mizerną. Dopiero gdy się odezwał rzuciliśmy się wszyscy ku niemu z uściskami i radością wielką. A tata tulił nas do siebie i płakał. My też wszyscy, razem z mamą, płakaliśmy. Z wielkiej radości.

Już wiele lat później tato opowiadał mi, że siedzieli w okropnie zatłoczonej komórcie, na mokrej betonowej posadzce, bez jednego choćby materaca czy stołka. Karmieni byli śmierdzącą zupą-lurą, do której wprost przy studni dolewano zimnej wody, by starczyło porcji dla wszystkich. Rozdawano ją im w zardzewiałych blaszanych puszkach po konserwach, leżących pod ścianą komórki, gdzie pracownicy tego urzędu często chodzili sikać (aresztanci wszystko to widzieli przez zakratowane okienko celi).

Tato i inni aresztanci nocami wzywani byli po kilkakroć na przesłuchania, zawsze wulgarne w stosunku do przesłuchiwanego, często także brutalne. Stawali też do konfrontacji z innymi więźniami. Nikt na nich nie wskazał, niczym nie obciążył, sami też do niczego się nie przyznali i zostali zwolnieni. A tego Czesława Parzycha, o którego konkretnie w tym przypadku chodziło, i tak nie udało się im aresztować. Wiedząc co go czeka ukrywał się w lasach kurpiowskich i mazurskich, a 7 kwietnia 1947 roku ujawnił się.

Wolno, z olbrzymim trudem i wysiłkiem wieś podnosiła się z wojennych ruin. Remontowano chaty, te częściowo zniszczone w czasie przechodzenia frontu, budowano nowe na ruinach i zgłiszczach. Wszystkie były drewniane, wszystkie słomą kryte. Pamiętam jak te

świeżo kładzione strzechy złociły się w słońcu. Z czasem złocistość ta szarzała, gasła, smagana wiatrem i deszczem, palona słońcem, czar-
niała, z wolna pokrywała się delikatnej zieleni nalotem mchu, który
z biegiem czasu szarzał i robił się gruby jak kozuch. Pod okapami
strzech gniazda lepiły jaskółki, a na poddaszu – wróble. W wiosenne
i wczesno letnie wieczory chaty były pełne ptasiego świergotu.

Piękno i czystość krajobrazu (woda, powietrze) były nieskażone.
Jedynym publicznym środkiem lokomocji była kolejka wąskotorowa
– ciuchcia, oddalona o kilka kilometrów drogi przez las do przystanku
w Smolarni (Szwendrowy Most) lub w Łodziskach. Toteż wóz żelaź-
niak (na drewnianych kołach okutych żelazną obręczą) był podsta-
wowym środkiem lokomocji, bo nawet rowery, i to głównie składa-
ki (składane z różnych starych części), miało we wsi zaledwie kilku
kawalerów, z tej racji wysoko notowanych w społeczności wiejskiej
kawalerki (młodzieży). Taki rower to był już luksus podróżowania.
Z zasady młodzież i starsi w niedzielę do kościoła, około osiem kilo-
metrów do ostrołęckiej fary, szli pieszo przesypującymi się przez bose
stopy piaszczystymi gościńcami, półdrożkami i ścieżkami, na przełaj,
przez lasy i pola, łąki i pastwiska. Tuż pod Ostrołęką, na tak zwanych
„Przerwach”, przy drewnianym jeszcze wówczas moście (stojącym
w miejscu obecnego nowego – wiszącego), obmywano z kurzu stopy
w płynących tam strużkach – staro-rzecznych rozlewiskach i zakła-
dano niesione dotąd w ręku lub przewieszone przez ramię obuwie.
Ludzie starsi, którym sił brakowało na piesze wędrówki, i gospodar-
rze, jechali furmankami. Z przodu siedział zawsze powożący gospo-
darz z żoną, tyłem do nich (plecami do ich pleców) siedziały ich dzie-
ci, z tyłu wozu, na oddzielnym siedzeniu, rodzice gospodarzy, krewni,
sąsiedzi, dla kogo starczyło miejsca.

Dziś drewniane domy we wsi policzyć można na palcach jednej
ręki, strzech nie ma w ogóle, o żelaznych wozach już dawno zapo-
mniano (po nich były wozy na kołach ogumionych), a i konia trudno
spotkać.

Przez wiele lat po wojnie rodzice moi, jak i inni jeszcze rolnicy
w naszej wiosce, ba, całej okolicy i w kraju, mieli bardzo trudne życie.
Starła się o to bardzo ich władza – władza ludowa. Otóż po wojnie
Polacy sądzili, że wygrane wybory odsuną mało znaczące ugrupo-
wanie komunistyczne od władzy. Tymczasem referendum i wybo-

ry – dziś to już wiemy – zostały sfałszowane. Komuniści „legalnie” przejęli władzę. Przy pomocy Armii Czerwonej, NKWD i radzieckich „doradców” likwidowali polskie podziemie, walczące o inną, wolną ojczyznę, wprowadzali ustrój „sprawiedliwości społecznej”. „Triumf” wyzwolenia gloryfikowano nad miarę, w całym PRL-u, ale szczególnie mocno we wczesnym okresie totalitarnego reżimu. Faktem niezaprzecalnym jest, że kraj nasz doczekał się wyzwolenia spod hitlerowskiej okupacji, bezprecedensowej w swym okrucieństwie. Ale bardzo szybko po euforii wyzwolenia przyszło kolejne zniewolenie, wyłapywanie członków niepodległościowego podziemia przez NKWD, prześladowania, wywózki, więzienie, katowania i rozstrzeliwania. A jedyną winą tych gnębionych było to, że odrzucili komunizm, podjęli opór w imię prawdy i pamięci. Pamięci, która jest bronią naszego narodu. W ten sposób, aby uniknąć tortur i wywózek, częstokroć ocalić swe życie, „Leśni” znów powracali do lasu. I był to dla nich najtrudniejszy okres życia. Ci zaś, którzy na Zachodzie – pod Monte Cassino i na innych bitewnych polach złożyli daninę krwi dla swej ojczyzny, też zostali upokorzeni przez komunistyczną władzę w różny sposób, łącznie z pozbawianiem polskiego obywatelstwa i możliwości powrotu do kraju (dowódcy), także szykanowaniem. Przyznać trzeba ze smutkiem, że i Zachód potraktował ich nie lepiej, pozbawiając kombatanckich świadczeń. Po prostu, po zakończeniu wojny stali się już nikomu niepotrzebni.

Z tamtych czasów zapamiętałem też jak pewnego marcowego dnia mojego tatę i sąsiadów ogarnął dziwny radosny niepokój. Schodzili się, wymieniali między sobą jakieś informacje, ściskali sobie dłonie i odprężenie mieli w swych twarzach, jakby wzmocnieni dziwną siłą rozchodzili się, by w niedługim czasie znów się spotkać i szeptać coś między sobą, potem szli do dużej izby, gdzie stało radio i wsłuchiwali się w jego trzaski i piski, po czym mogłem się domyśleć, że wsłuchują się w „Głos Wolnej Polski”. A zmarł Józef Stalin i wiadomość tę „Wolna Europa” przekazała chyba sporo wcześniej, niż uczyniły to nasze władze, stąd ta konspiracja i ściszone głosy – wieloletni lęk zrobił swoje – i to dziwne odprężenie w twarzy taty i w twarzach sąsiadów. Potem już wszyscy we wsi byli pełni radosnej nadziei, że może wszystko zmieni się na lepsze i to uczucie było powszechne. Ale jak po latach opowiadał mi mój starszy przyjaciel – ostrołęczanin, który

w czasie śmierci Stalina pracował już w jednej z ostrołęckich instytucji związanych z oświatą – po ulicach miasta i zakładach pracy rozlewał się smutek i rozpacz. – I wierz mi – mówił szczerze – nie płakali ubecy ani inna stalinowska swołocz, ale płakali skądinąd przyzwoici ludzie. A czynili tak głównie z lęku i na pokaz, choć byli i tacy, którzy swój żal okazywali ze szczerego serca. Umarł Stalin! Polskę Ludową ogarnęło szaleństwo okazywania smutku i żałobnej czci: Katowice przemianowano na Stalinogród, Pałac Kultury i Nauki otrzymał imię wodza, czołówka polskich pisarzy (nawet tych z późniejszą Nagrodą Nobla), krytyków i uczonych składała poddańczy hołd „Genialnemu Wodzowi postępowej ludzkości”. Powstał jeden wielki chór żałobnych łkań.

I tak to się kształtowało, tak umacniano władzę „ludu pracującego miast i wsi”. Realizowano też utopię gospodarczą. Główne środki finansowe szły na industrializację kraju, co spowodowało ogromny wzrost obciążeń podatkowych wsi. Należały do nich obowiązkowe dostawy produktów rolnych. A obciążenia te dotyczyły głównie „kułaków”. Gospodarze, którzy posiadali gospodarstwa bodajże ponad 18-hektarowe, zaliczani byli przez władzę ludową właśnie do nich, a to świadczyło już samo za siebie.

Dużym, jeżeli nie największym utrapieniem dla moich rodziców, zaliczonych do tej kułackiej grupy, były tak zwane obowiązkowe dostawy. Pamiętam, że w naszej wiosce do kułaków zaliczony był również Aleksander Szymczyk i może jeszcze paru gospodarzy, pozostali to średniacy i małorolni, którzy od kułactwa się wymigali i żyli trochę spokojniej, przynajmniej te obowiązkowe dostawy ich nie trapiły. Bo kułaków władza ludowa mocno napiętnowała. Tato przez lata całe corocznie musiał dostarczyć do punktu skupu kilku wieprzów (razem sporo ponad pół tony mięsa), około 20 kwintali zboża, ponad 20 kwintali kartofli oraz kilka tysięcy litrów mleka. Niewiele zostawało go dla nas, dzieci, a czasami w ogóle nie zostawało, bo krowy dały go mniej a wyznaczoną ilość trzeba było oddać. Przy jego odstawie bardzo duży kłopot sprawiał brak konwi czy też innych kanek. Mleczarnie ich nie zabezpieczały a nigdzie kupić nie było można, po prostu ich nie było. Noszono więc mleko w wiadrach, pieszo, kilka kilometrów do zlewni w Lelisie, świętek i piątek, przez cały rok. Furmanką – żelaźniakiem wozić go nie było można, gdyż wylewało się

z wiader. Ponieważ od własnych krów, które rodzice posiadali (tyle sztuk, dla ilu starczało paszy na ich wykarmienie), mleka nie starczało na pokrycie nałożonej ilości obowiązkowych dostaw (naliczano je od hektara), hodowano ponad 20 owiec. Mama strzygła je dwa razy do roku i wełnę z nich oddawała jako zamiennik za mleko. Kułak, który nie wywiązywał się wobec władzy ludowej z nałożonych na niego obowiązków, był zamykany w więzieniu jako oporny, celowo ukrywający przed władzą wszelkie dobra i nie chcący się nimi z tą władzą ludową podzielić. Tak odsiedział swoje – jak pamiętam – Aleksander Szymczyk. Był inwalidą (miał chyba chorą jedną nogę lub w ogóle miał tylko protezę?) i nie był w stanie podołać nałożonym na niego ciężarom, a tych dóbr, którymi to rzekomo nie chciał dzielić się z władzą ludową, miał tyle, że nie zawsze miał kawałek suchego chleba na stole dla siebie i rodziny, dla gromadki swoich dzieci. Tato mój, by nie być „opornym” i nie siedzieć w więzieniu (co dodatkowo niszczyłoby i prowadziło ku ruinie całe gospodarstwo, gdyż zabrakłoby gospodarza, a my, dzieci, byłśmy małe) po prostu kupował produkty rolne (własnych nie starczało) od małorolnych, a nawet bezrolnych, i oddawał państwu. Oczywiście, kupował na rynku, po cenach wolnorynkowych, a oddawał za darmo, bo otrzymywał za to symboliczną złotówkę. Był to olbrzymi ciężar, którego wielu kułaków nie mogło udźwignąć, popadając w gospodarczą ruinę i w konflikt z ludową władzą, która przecież była również ich – kułaków – reprezentantem. Piaszczysta ziemia, której po wojnie nie było czym nawozić (wyniszczony inwentarz), dawała mizerne plony. W miarę „postępu budownictwa socjalistycznego”, czyli – jak mówili chłopci – „na zakrętach”, obowiązkowe dostawy były stopniowo znoszone (w 1956 r. na mleko, w 1971 r. – na mięso, zboże i ziemniaki).

Poza obowiązkowymi dostawami kułacy, a więc i rodzice, musieli płacić mocno zwiększone podatki i odrabiać szarwark. Wysłannicy partii i władzy ludowej, nazywani „prelegentami z powiatu”, nękali naszą wieś, jak i sąsiednie, częstymi zebraniem wiejskimi, na których starali się przekonać chłopów o wyższości gospodarki społecznej nad indywidualną. Chodziło po prostu o zakładanie spółdzielni produkcyjnych, przez chłopów nazywanych „kołchozami”. Gospodarze w naszej wiosce (i nie tylko w naszej) bali się ogromnie tych kołchozów i, chwala Bogu, godnie przetrwali ten napór solidarnie, kułacy,

średniorolni i małorolni, a nawet bezrolni słyszeć nie chcieli o życiu w kołchozach, chociaż obiecywano, że dopiero w takiej wspólnocie znaleźliby godne dla siebie i szczęśliwe życie. Zresztą, wszyscy solidarnie przetrwali wiele jeszcze innych naporów, temu podobnych.

Jako kułak, tato, jak i inni kułacy, nie mógł nabyć żadnego materiału budowlanego ani otrzymać bankowej pożyczki na rozwój gospodarki ani żadnej innej. Był pomijany w życiu społecznym a nawet publicznie lekceważony i spychany na margines. Gdy podczas zebrania wiejskiego, dotyczącego spraw ważnych w życiu wioski, był krytyczny w swej wypowiedzi w stosunku do wypowiedzi „prelegenta z powiatu”, ten po prostu odebrał mu głos stwierdzając, że kułacy są wrogo nastawieni do władzy ludowej, więc władza wysłuchiwać ich nie będzie. Toteż tym większe było jego zdziwienie i do końca swych dni nie wiedział, czy za karę, że był kułakiem, czy po prostu władza w majowe święto chciała się propagandowo publicznie pochwalić, bo tato był jednym z najlepszych gospodarzy we wsi – miał już bowiem wtedy parę pięknych koni i dobry „żelazny” wóz (konie niezbędne były do pracy w polu i na łąkach, a wozy wtedy wszystkie były „żelazne”) – wyznaczony został przez władzę ludową (a właściwie dostąpił zaszczytu, gdyż – jak tłumaczono – mógł w ten sposób zmanifestować swoje poparcie dla przewodniej siły narodu i dla rządu, oraz wesprzeć sojusz robotniczo-chłopski) do udziału w pierwszomajowym pochodzie – defiladzie, odbywającej się w Ostrołęce, na placu dziś noszącym imię Generała Józefa Bema, który wówczas był jeszcze cały wybrukowany. Wozy – jak opowiadał mi tato po latach i jak sam co nieco zapamiętałem, bo siedziałem obok niego na wozie, manifestując również, razem z tatą, swoją solidarność – ruszyły w manifestacyjnym galopie z południowej pierzei placu (ryнку), by przededefilować, czyli przejechać, przed trybuną ustawioną wzdłuż wschodniej pierzei rynku, przed ratuszem i budynkiem władz powiatowych. Z trybuny, gęsto na niej ustawieni, machali nam różni oficjele, pozdrawiając i bijąc brawa. Tych wozów było kilkadziesiąt, ustawione jedne za drugimi, wzdłuż zachodniej pierzei z przedłużeniem w ulicę Farną, gdzie oczekiwały na swój udział w manifestacji. Tato pamiętał, że z gminy Lelis byli m.in. „delegaci” ze wsi Olszewki, Obierwi, Nasiadek, Lelisa (tych znał i zapamiętał). Wszyscy oni – tak jak i tato – byli – jeżeli dobrze pamiętam – zaliczani do grupy ku-

łaków i zostali wyznaczeni przez władzę robotniczo-chłopską, czyli dostąpili zaszczytu udziału w tej uroczystości i nie mogli – w dosłownym znaczeniu tego słowa – odmówić sobie tego „zaszczytu” uczestniczenia w niej (a niech by któryś odważył się odmówić!). Ja zaś zapamiętałem grupę młodych dziewcząt i chłopców, wszyscy w zielonych koszulach i czerwonych krawatach, jak aktywnie i z ideologicznym oddaniem wrzeszczeli bez końca: „Niech żyje Związek Radziecki – nasz niezawodny sojusznik i brat!”, „Niech żyje partia (już nie pamiętam która) – przewodnia siła narodu!”, „Niech żyje...!”, „Niech żyje...!”, „Niech żyje...!”, „Niech się święci...!”.

Pierwszą maszynę do młócenia zboża, kieratową, sprowadzono po wojnie do Durlasów ze wsi Gnaty. Kierat do niej był od mojego taty (nabył go jeszcze przed wojną w zakładzie Wołoszów w Ostrołęce), który do jego napędu dawał również parę swych koni. Razem z drugą parą koni innych gospodarzy chodziły one w zaprzęgu przy „śnidze” wokół kieratu i za jego pośrednictwem napędzały młocarnię, którą młócono zboże u kolejnych rolników. Przed wojną i w czasie okupacji, oraz zaraz po wojnie, młócono zboże cepami przez całą zimę. Nieco później młocarnię kupił Józef Szewczyk, a kierat do niej dalej był ten mojego taty. Młocarnie te jedynie młóciły zboże, potem trzeba było wygrabić z niego zgoniny a następnie oczyścić ziarno z plew ręcznie napędzaną wialnią. Następną młocarnię – danfę – która młóciła i czyściła zboże (oddzielała je od zgonin i plew), nabył Antoni Parzych, a drugą Jan Parzych – syn Czesława. Młocarnie te były napędzane silnikami spalinowymi. Pierwsze kosiarki konne do koszenia zbóż i traw nabyli równocześnie (w tym samym dniu), w składnicy maszyn PZGS „Samopomoc Chłopska” na Goworkach, Franciszek Korzeniecki i Czesław Parzych „Z Nadlasku” (mój tato).

A do szkoły po wojnie chodziliśmy do Lelisa (w naszej wiosce wybudowano szkołę wiele lat później). Mieściła się w obszernym, drewnianym domu Władysława Pyskły, człowieka bardzo życzliwego i pogodnego, domu położonym przy rozwidleniu dróg, naprzeciwko budynku gminy, w którym mieścił się również posterunek milicji. Z pomieszczeń klasowych wychodziliśmy przez ganek prosto na szeroki piaszczysty gościniec (wtedy wszystkie gościńce były piaszczyste), na którym w czasie przerw graliśmy w piłkę, głównie w „dwa ognie”, gdyż w tej grze mogła brać udział duża ilość uczestników. A zimą?

To była wielka frajda! Zjeżdżanie z wysokiej góry! Prosto na drogę w kierunku Dąbrówki. Zjeżdżało się na czym kto mógł: przy kijach, na sztachecie okraczonej przykucniętymi nogami, na kawałku deski, płyty, blachy po zużytych sprzętach czy naczyniach kuchennych (np. blacha do pieczenia chleba), najczęściej w „kucki”, tzw. węzem, doczepiając się jeden za drugim, a gdy „wąż” przewrócił się dalszą trasę pokonywano na tyłku i innych częściach ciała, w jednym ogromnym kłębowisku. Ważne było, aby zjechać i dojechać jak najdalej.

Pamiętam też zabawy choinkowe i na zakończenie roku występy na scenie z desek, ułożonych na podstawionych pod nie stołkach. W repertuarze zawsze była *Sulika*, *Uptywa szybko życie* i piękna piosenka, z której zapamiętałem tylko zakończenie, że „...wszyscy jak ptaszki do gniazdek, do swojej szkoły wrócimy”. A w okresie tuż przedwakacyjnym, gdy słońce nagrzało już dobrze ziemię i wodę i była piękna pogoda, starsze klasy chodziły kąpać się do pobliskiej rzeki Rozogi. Oczywiście pod nadzorem kierownika szkoły pana Henryka Szczepanka (który pływał wyśmienicie) – wspaniałego nauczyciela, człowieka wszystkim życzliwego, godnego szacunku oraz pod czujnym okiem innych nauczycieli. Zawsze szliśmy i wracaliśmy czwórkami i zawsze ze śpiewem.

Pamiętam i wciąż mile wspominam panie nauczycielki: Zofię Szczepanek (siostrę pana kierownika) i Janinę Wołosz oraz pana Aleksandra Gontarzewskiego – to byli wspaniali nauczyciele.

Tuż po wojnie do szkoły chodziło dużo starszej młodzieży, gdyż czas wojny i okupacji odebrał im możliwość nauki we właściwym czasie. Razem wszyscy uczyliśmy się. Pamiętam uczniów z Durlasów: Szymczyków, Szymczykówny, Parzychów, Czeska Wiktorka, Staszka Marzewskiego, Jadzię Marzewską, Annę i Jadzię Mrozkówny, Jadzię Suchecką, Irenę, Wandę, Henrykę Zadrogówny, Szczubełkówny (wiekiem młodsze, było ich kilka siostr: Irena, Halina...), Staszka Pierse, dwie Zosie Parzychówny, Czeska Szewczyka, Marzewskich oraz Zosię Woźniakównę, Sabinę Mrozkównę, Wacka Parzycha, Stasię Trzcińską, Czeska Trzcińskiego, Czeska Marzewskiego, Zosię Szewczykównę, Czesię Porębównę, Czesię Karczewską, Zosię Mikołajczykównę, Zosię Marzewską, Julkę Parzychównę, a także z Lelisa: Helę Partównę, Heńka Parta, Stasię Pyskównę, Geńka Pyskę, Czesię Prusaczykównę, Jurka Bałdygę, Halinę Bałdygównę, Stefana Waśkiewicza, Czeska

Prusaczka, Janusza Zielińskiego, braci Marzewskich, z Gibałki: Zosię Prachniakównę, Edmunda Próchniaka, z Łodzi: Czesię Bałonównę, Helę Zerównę, Irkę Dymerską, Władzię Chrostkównę, Henię Staśkiewiczównę, Helę Majkównę, Adama Kulasa, Staszka Kulasa, Kostka Mąkę, z Długiego Kątu: Gieńka Aptacego, Kostka Bednarczyka, Edka Krystiana, Czesię Puchalską (chyba też z tej wioski), ze Szkwy: Zosię Kraskówną i Helę Sobotkówną i chyba z Nasiadek Sabinę Parzychówną. Pamiętam też Marysię Bakulównę, Marysię Prusaczykównę i Marysię Mrozkównę, ale nie pamiętam z jakich były wioski.

Do naszych chłopięcych – dziecięcych rozrywek – poza umiłowaniem sobie czasu różnymi grami i zabawami podczas pasionki krów oraz poza zabawą w wojnę, o której już wspominałem – należało też bieganie za fajerą (taką zwyczajną, wykradzioną w domu z blatu kuchennego). Dużym luksusem była obręcz koła rowerowego. Gdy taką ofiarował mi wujek, koledzy zamawiali u mnie do niej kolejkę, by móc się „przejechać”. Zimą zaś, gdy zamarzły rozlane po gaju – lasku i smugach jesienne wody, mieliśmy wspaniałe lodowisko do jazdy na łyżwach. Właściwie na jednej łyżwie, którą stanowił wystrugany odpowiednio kawałek drewna, okuty metalowym prętem (od starego wiadra) lub nieco grubszym drutem. Taką łyżwę wiązało się sznurkami do buta (przeważnie był to drewniak) prawej nogi, kneblowało mocno kawałkiem patyka, by była dobrze przymocowana i... odbijając się lewą nogą od lodowiska pędziło przed siebie. Fajną też zabawą zimową było zjeżdżanie z góry naprzeciwko domu Aleksandra Szewczyka. Co prawda nie była ona aż tak wielka jak ta przy szkole w Lelisie, ale zawsze było tam tłoczno, a rodzice nie mogli zwołać nas do domów.

Mieszkańcy mojej wioski Durlasy zawsze byli mocno wrośnięci w tę kurpiowską piaszczystą ziemię, jak sosny: każda osobno – razem tworząc las, tak i oni: każda rodzina osobno, a jednak razem tworzyli zwartą społeczność wioski. Ileż to już lat, jak po raz ostatni widziałem wielu z tych, których tu wspominam, których widzę teraz swą wyobraźnią bardzo wyraziście, jakby byli tu ze mną? Wokół mnie pełno ich twarzy i głosów, zdarzeń z nimi związanych, dotknięć i uścisków dłoni. Większość z nich już odpoczywa po trudach życia na parafialnych cmentarzach w Ostrołęce i w Lelisie, a gospodarstwa po nich przejęły kolejne pokolenia. Pełno we mnie serdecznego o nich wspomnienia... Teraz, po latach, wydobywam z odległych przestrzeni pamięć moją o nich, rozpoznaję twarze, słyszę ich głosy, słyszę szum tamtego wiatru pośród tamtych drzew. Wśród nich odnajduję siebie, tamtego chłopaka z durlaskiego gościńca, z durlaskich pól, łąk i borów. Po tylu latach zmagania się z życiem jestem znów razem z nimi wszystkimi, w wymiarze tamtej przestrzeni czasu, tamtych dni i lat...

Znałem ich wszystkich. Byli częścią mojego dziecięcego i chłopięcego świata. Potem, jak to w życiu bywa, piaszczysty wówczas gościniec wyprowadził mnie z rodzinnej wioski poza jej horyzont. Zniknęły mi z oczu ich twarze, sylwetki, radości i smutki, ich dalsze codzienne bytowanie. Ale pozostali w mej pamięci do dziś, żyją i żyć w niej będą.

I we wspomnieniach moich.

Poniżej o nich wszystkich zapisu dokonałem w kolejności ich zamieszkania, poczynając od „Drewnianej Drogi” (od strony Lelisa), idąc gościńcem w kierunku Ostrołęki:

– Parzych Józef – długoletni gajowy, po wojnie mieszkał w budynkach Baczewskich, swych teściów, później przeniósł się z żoną Zofią (pięknie śpiewała i знаła bardzo wiele dawnych piosenek) i dziećmi do leśniczówki, stojącej w pobliżu „Drewnianej Drogi”, w której przed wojną i w okupację mieszkał leśniczy Władysław Laskowski z żoną Marią z Dudów i córką Grażyną, a po wojnie leśniczy Prusaczyk (później wyjechał z rodziną). Obecnie mieszka tam córka Józefa i Zofii – Krystyna ze swą rodziną. Syn ich, Stanisław (już nie żyje), mój kolega, ukończył szkołę dla leśniczych i był leśniczym. Drugi ich syn, Edek, ukończył Zasadniczą Szkołę Leśną w Męckiej Woli, w powiecie Męka, województwo łódzkie, przez 22 lata pracował w kopalniach i cztery lata jako gajowy w Leśnictwie Pasieki, Nadleśnictwo Ostrołęka, obecnie na emeryturze.

– Taradejna – przybył do wioski ze swą rodziną przed wojną zza Kadziła i zmarł. Wdowa po nim, Rozalia, wraz z trojgiem dzieci (Stachem, Zosią i Geńkiem) borykała się z trudami codziennego życia. Mieszkali obok leśniczówki, na kolonii, potem wyjechali chyba na Mazury do Mrągowa.

– Parzych Daniel – mój bratanek i chrześniak, syn Staszka i Zosi, ożeniony z Edytą Szymczykówną, mają dwóch synów, oboje pracują poza gospodarstwem.

– Woźniak Franciszek (jego żona Weronika z Chrostków) – palił fajkę, ale do przypalenia jej nigdy nie używał zapalek. Rozniecał ją krzesiwem (w wyjątkowych sytuacjach korzystał z drzewnego węgielka z kuchennego paleniska) i – jak pamiętam – nie tyle palił tę fajkę, co ją ciągle przypalał. To był cały rytuał: wyciągał z przepastnej kieszeni kapciuch (specjalnie przez niego samego odpowiednio wyprawiony wieprzowy pęcherz), pełen drobno rżniętej i przyprawionej tabaki z dodatkiem cienko pokrojonych młodych pędów głąba (by była „sporsza”) oraz jemu tylko znanych przypraw (zioł?) „uszlachetniających” samosiejkę (to była również cała ceremonia jej przyrządzania), wkładał do środka tego kapciucha fajkę, nabijał ją długo i starannie. Potem trzymając ją w kąciku ust, wyjmował mieśzek, a z niego kawałek krzemienia i metalu w formie grubej blachy oraz blaszane pudełeczko, w którym znajdował się pulwer – spalona szmatka. Ten pulwer nakładał na krzemień i uderzając o niego metalową sztabką wywoływał iskrę. Ta padając na pulwer powodowa-

ła jego żarzenie się. Od niego przypalał fajkę. Franciszek dokonywał karczunku drzew, robił też obuwie, tak zwane drewniaki (kląpy), które po wojnie były w powszechnym użytku. Dawało mu się wierzch (cholewki) jakichś starych kamaszy, z całkiem zdartymi zelówkami, a on dorabiał cały spód z kawałka drewna, odpowiednio przez niego ostruganego i wyprofilowanego. Na tamten trudny czas było to wcale wygodne i ciepłe obuwie.

Córka Woźniaków, Zosia, moja koleżanka szkolna, razem ze swym mężem, Staszkiem Szymczykiem (też z Durlasów), piękni i zakochani w sobie, odeszli bardzo młodo z tego świata, ku rozpaczy rodziny, pozostawiając dwoje maleńkich dzieci (chłopca i dziewczynkę), którymi zaopiekowała się najbliższa rodzina Zosi (siostra Władzia Wilgowa z mężem Henrykiem). W ich pogrzebach uczestniczyli wszyscy mieszkańcy wioski, pełni żalu, ze łzami w oczach.

– Majk Stefan – bardzo pogodny, życzliwy, o dużej dobroci serca, w czasie okupacji przeżył piekło hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, był w jednym baraku razem z bardem warszawskim Stanisławem Grzesiukiem, który śpiewał „Komu dzwonią temu dzwonią...” i po wojnie był autorem książek wspomnieniowych: „Boso ale w ostrogach”, „Pięć lat kacetu”. Stefan boleśnie odczuł tragiczną śmierć swych synów, Henryka i Ryszarda, jak również śmierć żony Czesławy. Trzeci jego syn, Kazimierz, mieszka ze swą rodziną w wybudowanym obok domu. Stefan mieszka przy rodzinie córki Jankowskiej.

– Marzewski Stanisław („Z Golenichy”), miał wolant i woził nim młode pary do ślubu (m.in. moich rodziców, w taty konie, bo były bardzo piękne i ostro galopowały). Jego synowie: Franciszek (po wojnie wyprowadził się z rodziną do Wojciechowic) i Aleksander. Teraz mieszkają tu z kolei ich synowie.

– Poręba Aleksander i jego żona Marianna z Choroszewskich (pierwsza jego żona zmarła w młodym wieku) – miał dwóch synów, Aleksandra (wyjechał z Durlasów) i Czesława (nie żyje) oraz córkę Czesławę, moją koleżankę. Ja i moi koledzy, jako młodzi chłopcy, mieliśmy dla jego żony (bardzo miłej i pogodnej) i dla niego wiele szacunku, gdyż traktowali nas – wchodzących w dorosłe i „kawalerskie” życie a nie opierzonych jeszcze – z całą powagą. Ich córka, Czesia, była w naszym wieku i stąd często spotykaliśmy się w ich domu w długie jesienno-zimowe wieczory. Czesia wyszła za mąż za Fran-

ciszka Szymczyka (już zmarł), mieli dziewięcioro dzieci, które już się usamodzielniały. Starszy brat Czesi, Czesiek, mieszkał ze swą rodziną w Przewrotnej Górze (kolonia Durlasów), pewnej wczesnojesiennej nocy księżycowej spotkał na gościńcu (na jawie, nie we śnie!) swą nieżyjącą już ciotkę Antoninę Marzewską i zamienił z nią kilka słów, która przekazała mu swoją prośbę.

– Marzewski Jakub (i żona Marianna z Florków} – został zabity na własnym polu pod dąbrową przez żołnierzy Armii Czerwonej w 1920 roku, w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Gospodarstwo po nim przejął jego syn Józef, dla odróżnienia od innych Marzewskich nazywany „Po Jakubie” (od imienia ojca). Służbę wojskową pełnił w 5 Pułku Ułanów Zasławskich w taborach, stacjonującym wówczas (okres międzywojenny) w Wojciechowicach. Józef – był to człowiek wszystkim życzliwy, uczynny, o szlachetnym gołęmbim sercu, z natury wesoły, zawsze pogodny i uśmiechnięty, skory do psot i żartów, chociaż życie nigdy go nie rozpieszczało i nakładało na jego barki różne krzyże, dźwigał je z godnością. Jego pierwszą żoną była Marianna z Kaczyńskich z Dylewa. Ich jedyne go syna, Czeska, mojego kolegi z lat i zabaw chłopięcych, który przejął gospodarstwo, też dawno już nie ma wśród żywych, pozostała po nim żona Kazimiera i pięciu synów. Józef po raz drugi ożenił się tuż po wojnie z Antoniną Marzewską z Bałonów, wdową po Aleksandrze Marzewskim.

Brat Józefa, Aleksander Marzewski (ożeniony z Marianną Goc), był znanym ostrołęckim furmanem, cieszącym się szacunkiem swych sąsiadów i kolegów po fachu, wyróżniał się nieprzeciętnie wysokim wzrostem. Mieszkał z rodziną w Ostrołęce, we własnym drewnianym domu „Na Piaskach”.

– Kurpiewski Franciszek – poza gospodarstwem był kowalem. Prowadził kuźnię, świadcząc mieszkańcom wioski kowalskie usługi (stąd przydomek „Kowal”). Miał kilkoro dzieci. Gospodarstwo po nim przejął i prowadził syn Aleksander, który po wojnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki (stan Pensylwania) z całą swoją rodziną (żoną Zofią z Mielnickich, trzema synami i trzema córkami). Drugi syn Franciszka, Czesław, we wczesnych latach okresu międzywojennego, po ukończeniu wiejskiej szkoły powszechnej, dostał się do gimnazjum w Ostrołęce (obecnie I LO), które ukończył jako prymus i ku radości rodziców wstąpił do seminarium duchownego. Jednak na

trzy miesiące przed święceniami wystąpił z niego, przeniósł się na Uniwersytet Jagielloński, ukończył studia i pracował na uniwersytecie jako wykładowca. Ożenił się z Ireną – córką swego profesora z seminarium. Potem wyjechał do Warszawy, gdzie został naczelnikiem Poczty Głównej i wszystkie poczty w kraju były mu podległe. Kupił własny dom na Grochowie. Miał dwie córki. Brał udział w powstaniu warszawskim, po upadku powstania w 1944 roku był wywieziony do Oświęcimia. Po wojnie wrócił do domu, żona w pierwszej chwili go nie poznała: był brudny, mocno zarośnięty i wychudzony. Miał połamane żebra. Żona zawiozła go do szpitala gdzie zmarł na stole operacyjnym. Był pierwszym – w dziejach wioski – mieszkańcem Durlasów, który zdobył tak wysokie wykształcenie (i jedynym przez długie jeszcze lata po wojnie).

Obecnie na siedlisku Kurpiewskich mieszkają w wybudowanym przez siebie domu małżonkowie Aleksandra (Ola, córka Czesława Szewczyka) i Henryk Gersowie ze swą rodziną. Ola pracowała w administracji powiatowej i gminnej, była długoletnim kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego w Lelisie, obecnie na emeryturze.

– Szewczyk Aleksander i żona Stanisława z Majewskich – mieli cztery córki (Zosię, która była moją koleżanką, Czesię, Genię i Krystynę) oraz syna Czesława, grzybiarza nad grzybiarze, który już dziś wiedział pod którym jałowcem, przy której sośnie w lesie jutro grzyb wyrośnie (on właśnie po wojnie miał to pierwsze radio na słuchawki, z którego sąsiedzi słuchali Wolnej Europy, co wyżej opisałem). Zmarł wcześniej, w kawalerskim stanie.

Aleksander miał na dożywociu dwie swoje ciotki, Marysię i Ulisię, niezwyklej dobroci staruszki, wszystkim życzliwe, wszystkich za wszystko przepraszające.

– Marzewski Walenty – gospodarstwo przejął po wojnie po swym ojcu Józefie razem z żoną, Józefą z Gawrychów, mieli trzy córki i dwóch synów. Ułan 5 Pułku Ułanów Zasławskich w Wojciechowicach, który jeszcze po wojnie skakał przez płot z żerdzi nie dotykając go. Gospodarstwo po nim przejął ze swą żoną jego syn Jan, znany również majster murarski. Miał on pod swą opieką starszego brata Heńka, mojego serdecznego kolegę od lat dzieciństwa, który zmarł w kawalerskim stanie. Obok Jana, po przeciwnej stronie gościńca, mieszkają ze swymi rodzinami jego córka i syn.

– Marzewski Józef – ojciec i jego żona Cecylia (zdrobniale Celka), z domu też Marzevska. Po nich gospodarstwo przejął ich syn, Józef, który miał czterech synów: Edwarda (mieszka ze swą rodziną w Ostrołęce), Kazimierza (zmarł w stanie kawalerskim), Henryka (wyjechał przed laty i ślad po nim zaginął) oraz Bronisława, który pracuje w Intercellu i po śmierci ojca swego, Józefa, pomagał owdowiałej matce, Genowefie, gospodarzyć, mieszkał razem z nią do jej śmierci, teraz mieszka sam na ojcowiznie.

Są to nasi dobrzy sąsiedzi, mieszkający tylko przez miedzę. Właściwie teraz to sąsiedzi mojego brata Stanisława i jego rodziny, bo on mieszka na naszej ojcowiznie i prowadził gospodarstwo ze swą żoną Zofią. Obecnie oboje przeszli na emeryturę, przekazując gospodarstwo przedostatniemu z pięciu synów, Michałowi.

– Parzych Stanisław, właśnie wyżej wymieniony mój brat, ożenił się z Zosią Kopciówną i przejęli gospodarstwo po naszych rodzicach (Czesław i Stanisława), wybudowali nowy dom (trzeci z kolei na tym siedlisku) i budynki gospodarcze, rozwinęli hodowlę bydła. Swych dni dożywały u nich dwie siostry taty: Wiktoria i Janina. Mają pięciu synów: Jan, Dariusz, Daniel, Michał i Radosław – wszyscy już założyli własne rodziny i usamodzielnili się. Gospodarstwo po nich przejął Michał ze swą żoną Ewą z domu Szczepanek (mają dwóch małych synów).

– Parzych Radosław, najmłodszy syn brata Stanisława i bratowej Zofii, pracuje w administracji. Mieszka ze swą rodziną (żoną Bożeną i dwiema córeczkami) w Ostrołęce, ale na rodzinnym siedlisku w Durlasach buduje dom, w którym zamieszkają. Piękny powrót do źródła, do korzeni, na ojcowiznę.

Drugi nasz (obecnie rodziny brata Staszka) dobry sąsiad tylko przez miedzę (przez płot) to

– Mąka Henryk (już zmarł) i jego żona Krystyna. Mieli sześcioro dzieci. Gospodarstwo przejął po nich syn Jan ze swą rodziną.

– Lenkiewicz Aleksander (i jego żona Eleonora z Mrozków, urodzona w Nasiadkach) – ułan 5 Pułku Ułanów Zasławskich w Wojciechowicach, miał sześć córek i dwóch synów: jeden z nich, Henryk, był po wojnie oficerem milicji w Gdyni (nie żyje). Eleonora, żona Aleksandra, zmarła przy porodzie dwojaczków. Po wojnie gospodarstwo po nich objęli bliscy krewni: Aleksander Sienkiewicz (z zawodu



15 kwietnia 1968 roku. Poniedziałek Wielkanocny rodzinie w Durlasach.
 Od lewej: brat Czesław, Staszek z żoną Zosią, Marian – mąż siostry Ali,
 siostra Ala, brat Janek, siostra Henia i jej mąż Rysiek, mama Stasia
 oraz mała Ela – córka Ali i Mariana, przy niej stróż domu – Cygan



15 kwietnia 1968 roku. Poniedziałek Wielkanocny. Babcia Władzia Parzychowa (lat 90) z wnuczkami: Staszkiem (z lewej) i Marianem oraz małą prawnuczką Elą niesie „wykup” (lany poniedziałek) wnukom i prawnukom



Lato 1969 roku w Durlasach, przed domem rodzinnym. Od lewej u góry: Zosia i Staszek, Henia i Teresa. U dołu od lewej: Janek, Danusia i Zygmunt



Lato 1970 roku. Danusia z mamą Heleną



21 listopada 1970 roku. Ślub Danuty i Czesława



28 listopada 1970 roku. Danusia, żona Czesława



Mama Czesława, Stanisława



Tato Czesława, Czesław senior



Lato 1978 roku. Adaś i Ewunia – dzieci Czesława i Danusi



Jesień 1978 roku. Adaś i Ewunia – dzieci Czesława i Danusi



Lato 1983 roku. Czesław z córką Ewunią na wale spacerowym nad Narwią

gajowy, emeryt) z córką Reginą i Janiną oraz wnukiem Janem (synem Janiny). Potem przenieśli się do Łazku koło Ostrołęki a gospodarstwo nabył Józef Pajka.

– Pajka Józef i jego pracowita żona Zofia, dobrzy nasi sąsiedzi, którzy nabyli gospodarstwo po Lenkiewiczach, mieli córkę i dwóch synów – jeden z nich ze swą rodziną przejął gospodarstwo po rodzicach. Józef zmarł w październiku 2012 roku, trzy dni przed 70. rocznicą urodzin.

– Karczewski Franciszek – zawsze pogodny, ciągle palił fajkę, nawet gdy drzemał. Jego żona – Feliksa z Napiórkowskich. Mieli syna Henryka i dwie córki: Zosię (wyszła za Heńka Parzycha z Durlasów, długoletniego sołtysa wsi) i Czesię (mieszka ze swą rodziną w Ostrołęce). Obecnie na tym siedlisku nikt już z jego rodziny nie mieszka.

– Karczewski Józef – brat Franciszka i jego żona Anna z Jarzylów, mieli dwie córki: Genię (wyszła za mąż w Ostrołęce za Stanisława Dobkowskiego, zmarła w 2000 r.) i Czesię (wyszła za mąż również w Ostrołęce za Domalewskiego Edmunda) i syna Henryka, który przejął gospodarstwo po swym ojcu. Henryk był, jak i jego ojciec, zawsze pogodny i towarzyski, potrafił ciekawie opowiadać swe różne fascynujące przygody, szczególnie ze służby wojskowej. Powołany do wojska jako rezerwista, pomógł mi przetrwać najtrudniejsze chwile rekruckiego życia służby czynnej, odwiedzając mnie wieczorami po zajęciach wojskowych w mojej baterii. Szczęśliwym zrzędzeniem losu znaleźliśmy się obaj w tych samych koszarach: on – stary rezerwista, któremu – jak to rezerwiście – wiele było wolno, dla którego szacunek mieli nawet nasi kaprale służby czynnej, i ja, początkujący rekrut, przerażony drylem i dyscypliną wojskową (były to moje pierwsze tygodnie służby). Henio po zajęciach wojskowych przychodził do kaprała pełniącego służbę w naszej baterii, „trzaskał obcasami i bił do dacha” (a potrafił to robić z pełną ceremonią wojskową), czyli, mówiąc po cywilnemu, oddając mu – jak przystało – wojskowe honory, meldował, że przyszedł odwiedzić swego młodszego i niedoświadczonego w wojskowym fachu ziomka, by wesprzeć go duchowo i fizycznie w tej ciężkiej rekruckiej doli. Kapral, zaszczycony oddanymi mu przez starego wiarusa (Henio nosił wąsy) „z całym blaskiem” honorami – i to przed całym plutonem „reksów”, jak nazywano młodych, przed przysięgą rekrutów – godził się na wszystko bez zastrzeżeń.

Tak zamiast obierania kartofli, sprzątanía sal, czyszczenia łazienek i bateryjnych korytarzy oraz innych prac porządkowych, szedłem z Heniem na świetlicę lub do kantyny wojskowej, gdzie mogliśmy nie tylko porozmawiać, ale i wzmocnić się przyniesionym przez Henia za pazuchą „dobrym napojem”. Są to w moich wspomnieniach jedne z najpiękniejszych chwil mojego rekruckiego życia. Heniu, pamiętam o tym i jeszcze raz dziękuję!

Henryk spisał swoje wspomnienia ze swego życia, które po jego śmierci (zmarł w 2004 roku, pochowany na cmentarzu w Lelisie) przekazała mi jego córka, Teresa Szczepanek. Fragmenty tych wspomnień zamieszczam na końcu mojego zapisu. Jest zawarty w nich piękny fragment wiejskiego bytowania.

Gospodarstwo po Henryku prowadzi jego syn ze swą rodziną.

Zięć Henryka, Stanisław Szczepanek, mieszka ze swą rodziną po przeciwnej stronie gościńca w wybudowanym przez siebie domu, jest sołtysem naszej wioski i radnym Rady Gminy w Lelisie, pracuje w Zespole Elektrowni Ostrołęka.

– Łabędź Aleksander – robotnik z Durlasów. Jego pierwszą żoną była Stefania z Korzenieckich, mieli jedną córkę. Po wojnie Łabędź zamieszkał w Ostrołęce, po śmierci żony ożenił się z Heleną Karczewską, siostrą Józefa i Franciszka, która miała córkę Teresę.

– Szewczyk Józef i żona Aleksandra z Wiskich. Ich zięciowie: Stanisław Trzciński (żona Józefa) (wyjechał z rodziną z Durlasów w kilka lat po wojnie) i Franciszek Korzeniecki (żona Genowefa). Na stodole u nich – jak daleko sięgam pamięcią – każdej wiosny bociany odnawiają swe gniazdo i wychowują młode. Po Franciszku gospodarstwo przejął jego syn, też Franciszek (nie żyje) z żoną Honoratą z Marzewskich, a po nich z kolei ich syn, Darek.

– Szewczyk Józef – urodził się w Durlasach w 1900 roku. Ożenił się z Heleną Parzych panną też z Durlasów. W latach młodości pomagał ojcu w pracach gospodarskich. W 1920 roku został powołany do służby wojskowej w artylerii, tam grał w orkiestrze wojskowej na instrumentach dętych. W czasie wojny polsko-bolszewickiej jego oddział doszedł do Wilna. Tam zostali otoczeni przez dużo silniejszy oddział bolszewików. W czasie walki zostali mocno ostrzelani. Został wówczas zastrzelony, będący obok, jego kolega, Aptacy z Długiego Kątu, a szynel, który on miał na sobie, został podziurawiony od po-

cisków; żołnierz sowiecki trafił go bagnetem w plecy. Dostał się do sowieckiej niewoli, z której szczęśliwie powrócił do domu i wystawił Matce Bożej murowaną kapliczkę jako wotum wdzięczności za szczęśliwy powrót. Był długoletnim sołtysem wsi, również w okupację. Po nim gospodarstwo przejął jego syn, Czesław ze swoją rodziną. W ich domu po wojnie – jak tylko pamiętam – gromadzili się mieszkańcy dzielnicy Nadlasek na maryjne nabożeństwa majowe, które zawsze prowadził gospodarz domu – Józef Szewczyk. Nabożeństwa te odprawiano również i przed murowaną, wyżej wspomnianą, kapliczką z figurą Matki Bożej we wnętrzu, stojącą w jego ogródku przy gościńcu. Józef pięknie też śpiewał na pogrzebach i weselach. Obecnie gospodarstwo prowadzi córka Czesława – Puławska.

Gdy w wiosce pobudowana została Szkoła Podstawowa, nauczycielka tej szkoły, Wanda Kwiatkowska, zamieszkała ze swą rodziną (jej mąż, Stefan, był nauczycielem w Szkole Podstawowej w Lelisie) w domu Szewczyków jako lokatorzy, potem wybudowali dom w Ostrołęce przy ulicy Obrońców i w nim zamieszkali. Wanda zmarła 7 grudnia 2011 roku, miała lat 77, pochowana na ostrołęckim cmentarzu parafialnym.

– Parzych Antoni wraz z żoną Agatą z Piersów z Łęgu przejął gospodarstwo po swym ojcu Szymonie Parzychu, a po nich z kolei ich syn, Józef, człowiek o wyjątkowej dobroci i łagodności, ze swą żoną Weroniką z Gruszków ze wsi Jawory pochodzącą. Ich dzieci: Zygmunt, Szczepan, Zofia, Stanisław (zmarł w młodym wieku).

– Parzych Szczepan – wysoki i silny, łagodnego i spokojnego charakteru, został ze swą rodziną na ojcowiznie po ojcu Józefie, po nim gospodarzy jego syn ze swą rodziną.

– Parzych Zygmunt – brat Szczepana. Osiedlił się na części ojcowizny po ojcu Józefie, wybudował własny dom i w nim zamieszkał z żoną Zofią i swą rodziną. Po nim gospodarstwo przejął jego syn ze swą rodziną. Jeden z jego synów, Ryszard, mieszka w Ostrołęce we własnym domu ze swą rodziną.

– Mrozek Franciszek – zięć Józefa Parzycha, mąż Zofii. Po nich gospodarstwo przejął syn Jan z rodziną. Pozostali synowie mieszkają w Ostrołęce.

– Parzych Franciszek (dla odróżnienia od innych Parzychów, nazywany zdrobniale od imienia – Franeczek, jego żona Marianna z Jak-

sinów), jak pamiętam, zawsze bardzo dokuczał mu reumatyzm, który boleśnie atakował jego organizm. Dla poprawy zdrowia w skwarne południa lata „kapał” się w nagrzanym piasku Białej Góry przy Kazimierzysze nad lasem. Przynosiło to ulgę i poprawiało stan chorych kości. Jego dzieci: Czesław (ożenił się do Antoń), Władysław – ze swą rodziną przejął gospodarstwo po ojcu, Kamila (wyszła za mąż do Antoń), Jadwiga (mieszka w Ostrołęce). Gospodarstwo prowadzi obecnie synowa Władysława – Elżbieta ze swymi dziećmi.

– Ignacy Mrozek i jego zięć Aleksander Suchecki, który miał trzy córki: Jadwigę, Teresę (obie w Ostrołęce) i Alinę, która przejęła gospodarstwo po ojcu ze swym mężem Janem Kowalskim (zmarł 30 sierpnia 2010 r.), była też radną Rady Gminy Lelis. Ich syn ze swą rodziną mieszka w wybudowanym własnym domu po przeciwnej stronie gościńca.

– Piersa Józef – długoletni sołtys wsi po wojnie. Z jego synem, Staszkiem, moim kolegą i przyjacielem, przegadaliśmy niejedną noc na interesujące nas – wówczas młodych, ciekawych świata i życia chłopców – tematy. Stach i jego miła żona Danuta, nauczycielka w szkole w Lelisie, już nie żyją. Gospodarstwo po Józefie prowadził jego syn, Bronisław, a po jego śmierci wdowa po nim (z d. Kurpiewska).

Ojciec Józefa, Franciszek – jak wspominał mój tato – w okresie międzywojennym w letnie wieczory siadał przed domem, grał na skrzypcach i śpiewał a młodzież gromadziła się nieraz w niedzielne wieczory i tańczyła.

– Gontarz Józef – robotnik w Durlasach, jego żona Józefa z Baczewskich, po wojnie wyjechali z rodziną na Mazury (Ziemie Odzyskane).

– Parzych Władysław z Piersów, wdowa po Franciszku, sama borykała się z życiem, wychowując czwórkę dzieci: Wacława, Julię (jest wdową po Janie Gregorczyku, mieszka w Rynie na Mazurach), Tadeusza i Franciszka. Wacław, mój serdeczny kolega i przyjaciel, pracował w OZCP, zginął śmiercią tragiczną w wypadku drogowym 23 października 1964 r. (wieczorem tego dnia miał przekazać mi pilnie swe sekretne informacje, ale już nie zdążył). Gospodarstwo po Władysławie przejął syn Tadeusz ze swą rodziną, wybudował nowy dom i w nim zamieszkał, był sołtysiem wsi. Obecnie gospodarzy syn Tadeusza.

– Parzych Antoni – gospodarzył i po wojnie wybudował dom. Gdy zmarł gospodarzyć zaczął syn Jerzy, który również zmarł. Obecnie w jednej części domu mieszka wdowa po Jerzym, w drugiej matka Jerzego i jego brat.

– Parzych Feliks – gospodarstwo po nim przejął syn Marian ze swą rodziną (zmarł 7 stycznia 2014 r., miał 85 lat, spoczywa razem z żoną, zmarłą w sierpniu 2013 r., na cmentarzu w Lelisie). Obecnie gospodarstwo prowadzi syn Mariana, Roman ze swą rodziną. Drugi syn Mariana, Zdzisław, wybudował dom po przeciwnej stronie gościńca, gdzie mieszka ze swoją rodziną, jest pracownikiem Urzędu Gminy. Córką Feliksa, Zosia, była moją koleżanką szkolną, potem wyszła za mąż i wyjechała z naszej wioski.

– Kopeć Aleksander i jego żona (oboje spoczywają na cmentarzu parafialnym w Ostrołęce) – gospodarstwo po nich przejął syn Henryk z żoną Genowefą, obecnie prowadzi je syn Henryka, Zbyszek ze swą rodziną. Najstarszy syn Aleksandra, Zygmunt, oficer marynarki, mieszkał z rodziną na Wybrzeżu, zmarł 17 marca 2012 roku, pochowany na cmentarzu w Świnoujściu, zaś córka, Zofia, jest moją bratową, żoną Staszka. Druga ich córka, Czesława Dziadak mieszka z rodziną w Ostrołęce.

– Marzewski Aleksander – miał cztery córki: Irenę (wyszła za mąż za Czesława Porębę z Durlasów) oraz Zofię, Marię i Reginę (wydały się za mąż do Przytuł) i trzech synów: Franciszka (ożenił się do Nasiadek), Józefa i Stefana. Jego brat, Antoni, przed wojną wyjechał do Ameryki. Po Aleksandrze, na ojcowiznie, mieszkali w oddzielnych domach jego synowie ze swymi rodzinami, Józef i Stefan, a po ich śmierci, obecnie mieszkają ich synowie.

– Marzewski Józef i Franciszka (chrzestni rodzice mojej mamy). Ich synowie: Henryk i Czesław, który prowadził z żoną i dziećmi gospodarstwo po rodzicach, obecnie po nim gospodarzą jego syn i córka.

– Mikołajczyk Józef – ojciec kilku córek. Jeden z jego wnuków, Stanisław Kurpiewski, był posłem (SLD) na Sejm RP zakończonej w 2005 r. kadencji.

– Marzewski Aleksander – jego brat, Władysław, wyjechał przed wojną do Urugwaju, a jego siostra, Helena, przygotowywała nas, dzieci, do I Komunii św. w upalne południa wakacyjne. Po Aleksandrze

gospodarstwo prowadzi jego córka, Jadwiga, z mężem Parzychem z Szafarczysk.

– Parzych Dariusz – syn mojego brata Stanisława, mieszka w swym domu, na nowym siedlisku, z żoną Marzeną i dwojgiem dzieci. Oboje pracują poza gospodarstwem rolnym.

– Parzych Jan – najstarszy syn mojego brata Stanisława, z żoną Mariolą wybudowali własny dom na nowym siedlisku. Mają dwie córki. Pracą nie są związani z gospodarstwem rolnym.

– Kawałek Stanisław – wraz z żoną Rozalią gospodarzył na połowie majątku swego teścia Marzewskiego. Na drugiej połowie gospodarzył Parzych, pochodzący z Szafarczysk, który ożenił się z siostrą żony Kawałka. Parzych ze swą rodziną jeszcze przed wojną wyprowadził się do Szafarczysk, Kawałek po wojnie wyjechał z żoną na Mazury. Był jeszcze Kawałek Władysław i jego żona Marianna z Rejchów, po wojnie już ich w Durlasach nie było.

– Mrozek Władysław z synem Józefem. Po Józefie gospodarzy syn Waldemar ze swą rodziną, pracuje też w Ostrołęce. Po przeciwnej stronie gościńca mieszka na nowym siedlisku siostra Waldemara, Jadwiga, ze swym mężem Witoldem Kowalskim w wybudowanym przez nich domu.

– Marzewski Józef, syn Mikołaja i Bronisławy z Mrozków – gospodarzy z żoną i dwoma synami (dwie córki wyszły już za mąż).

– Mrozek Antoni – po nim gospodarstwo przejął syn Aleksander, obecnie gospodarzy syn Aleksandra, Jan, z żoną i dziećmi.

– Gontarz Władysław – jego córka Maria, wdowa po Stanisławie Chrostku, która dźwigała ciężar gospodarowania sama z trojgiem dzieci: Aleksandrem (wyjechał po wojnie z Durlasów), Zofią i Józefem, moim dobrym kolegą i przyjacielem z czasów kawalerskich, zawołanym śpiewakiem na wiejskich zabawach i najlepszym, jakiego znam, bodajże obok Władka Szymczyka i Cześka Wiktorka, tancerzem oberka i polki. Ożenił się z córką Józefa Mrozka i prowadził gospodarstwo po swych rodzicach z żoną i dziećmi (mają dwie córki i syna). Przy nim była jego siostra Zofia. Zarówno Józef, jak i jego siostra już zmarli

– Wiktorek Józef i Rozalia, moi dziadkowie po kądzieli (gospodarzyli po ojcu babci Rozalii, Józefie Szewczyku, który jeszcze w czasie zaborów wyjechał do USA z synem Adamem i córkami: Bronisła-

wą Olbryś i Wiktoria Parzych – obie wydały się za mąż już w Stanach). Józef i Rozalia Wiktorowie mieli dwie córki: Stanisławę (moją mamę) i Bronisławę Mileńską (mieszkała w Ostrołęce, oboje z mężem, Kazimierzem, już nie żyją) oraz sześciu synów: Józefa (żołnierz AK w czasie okupacji, ożenił się z Henryką Parzych z Olszewki), Adama (w czasie okupacji na przymusowych robotach, po wojnie mieszkał z rodziną w Elku, potem w Ostrołęce), Konstantego, Franciszka, Stanisława i Czesława (mieszkał w Ostrołęce) – wszyscy już nie żyją.

– Wiktorek Stanisław, syn Józefa i Rozalii – gospodarzył na części ojcowizny z żoną Bolesławą (z Gąsków z Szafarni) i dziećmi: Teresą, Mieczysławem, Adamem i Hanną. Gospodarstwo po nim przejął syn Adam, a po śmierci Adama gospodarzyła jego żona Maria z ich dziećmi (część dzieci Stanisława i Adama mieszka w Ameryce).

– Wiktorek Konstanty, syn Józefa i Rozalii – gospodarzył na części ojcowizny z żoną Anną (z Zyśków z Łęgu) i dziećmi, a po nim gospodarstwo przejął jego syn, Benek, z żoną i dziećmi – wyjechali do Ameryki (gdzie mieszka jego matka, wdowa, i część rodzeństwa). Obecnie w ich domu mieszka Roman Szymczyk z rodziną.

– Prusiński Walenty (pochodził ze Szkwy) i żona Józefa – z ich córką, Apolonią, ożenił się ich sąsiad, Franciszek Wiktorek, syn Józefa i Rozalii, który przejął gospodarstwo po teściu. Obecnie gospodarzy zięć Franciszka, Henryk Parzych z żoną Krystyną i dziećmi. Po przeciwnej stronie gościńca, na nowym siedlisku, mieszka młodszy syn Franciszka, Marek Wiktorek ze swoją rodziną. Starszy syn Franciszka, Bronisław – ojciec Dariusz – ukończył studia filozoficzne i teologiczne, święcenia kapłańskie przyjął 6 czerwca 1975 roku. Posługę zakonną pełnił w klasztorach i kościołach zakonu Karmelitów Bosych w Krakowie, Zawoi, Łodzi, Czerni k. Krzeszowic, Wadowicach, Lublinie (przeor klasztoru), Warszawie (ekonom i radny prowincjonalny), Łodzi i od 2005 roku w Zamartem w pow. sempońskim jako rekolekcjonista i spowiednik sióstr. Mszę św. prymicyjną odprawił w swym kościele parafialnym w ostrołęckiej farze w niedzielę 6 lipca 1975 roku. Cała społeczność wioski Durlasy witała go przy wiejskim krzyżu na początku wioski. Tam panienki z naszej wioski otoczyły go uplecionym z kwiatów wieńcem i prowadziły – razem ze wszystkimi mieszkańcami Durlasów – w progi rodzinnego domu, gdzie rodzice jego przygotowali obfity poczęstunek dla mieszkańców wioski (taki,

jakie przygotowywano na wesela, tyle, że bezalkoholowy). Jest to jedyny jak dotychczas, na przestrzeni dziejów wioski Durlasy, kapłan (ojciec zakonny). Druga córka Franciszka, Danuta, z męża Kurpiowska, mieszka ze swą rodziną w Ameryce.

Puławscy i Szurniccy – pobudowali się na nowych siedliskach.

– Baczewscy – i ich trzy córki: Zofia Parzych (żona Józefa – gajowego), Józefa Gontarz i Małgorzata – długoletnia gospodyni u Gromadzkich w Ostrołęce i opiekunka ich dzieci. Obecnie zabudowania i siedlisko to już nie istnieje.

– Piątek Jan – cieśla z Durlasów i jego żona Stanisława z Banachów (mieli syna Ryszarda i córkę Józefę), po wojnie już do wioski nie powrócili.

– Kaliszewska Aleksandra – wdowa po Józefie, mieszkała z córką Józefą i synem Stefanem, który później wyjechał.

– Korzeniecki Józef – miał córkę i trzech synów. Gospodarstwo przejął syn, też Józef, który zmarł, wdowa po nim wyszła ponownie za mąż.

– Korzeniecki Aleksander – gospodarstwo po nim przejął syn Olek z rodziną. W ich domu, w maju, mieszkańcy części wioski zwanej Zagórką śpiewali litanie do Matki Boskiej (Loretańską) oraz pieśni maryjne. Modlitwy te prowadzili dwaj bracia: Franciszek i Stanisław Wiktorkowie.

– Parzych Gustaw – wdowa po nim, Marianna, wyszła ponownie za mąż za Wincentego Sęka. Córka Gustawa, Czesia, wydała się za Dębka, który w 1939 roku poszedł na front i po wojnie znalazł się w Kanadzie, do kraju już nie wrócił.

– Sakowski Józef – robotnik, i jego żona Maria Ewa z Ambroziaków, z czwórką dzieci mieszkali przed wojną przez 13 lat w wynajętym w naszym domu mieszkaniu. Najmłodszy z ich dzieci, Jan Sakowski (nie żyje), ożenił się z Zofią Parzych, mieli córkę i syna.

– Parzych Jan („Jasiek”) – wdowa po nim, Bronisława z Mrozków, była długoletnią gospodynią u adwokata Sądu Najwyższego w Warszawie (Derkacza). Młodsza ich córka, Regina, wyszła za mąż za Henryka Parta z Lelisa – Dąbrowy, starsza, Zofia, wydała się za Jana Sakowskiego.

– Parzych Jan – mieszka na nowym siedlisku z żoną Wandą, córką Jana i Zofii Sakowskich

– Parzych Czesław – urodzony w 1909 roku, syn Józefa i Anny, wraz z żoną Heleną z Piotrowskich ze wsi Kordowo prowadzili gospodarstwo rolne po jego rodzicach, w 1938 roku był jedną z siedmiu osób z naszego terenu, które zgłosiły się do „Żywych Torped”, w 1939 roku zmobilizowany do 15 pułku piechoty. W czasie okupacji działał w szeregach partyzanckich Armii Krajowej (w tamtym czasie większość młodych mężczyzn ze wsi działała w partyzantce), awansowany do stopnia sierżanta, po wojnie poszukiwany przez Urząd Bezpieczeństwa, ujawnił się jak i inni, pracował w gminie w Lelisie, był radnym i podwójtem oraz sołtysem wsi Durlasy.

– Parzych Henryk – bratanek Czesława, sołtys wioski kilku kadencji, gospodarstwo po nim przejął syn Tadeusz, drugi syn, Zdzisław, mieszka obok.

– Mrozek Władysław – miał córkę Marię, po nim gospodarstwo przejął jego zięć, Franciszek Głazewski, który był też sołtysem wsi. Obecnie gospodaruje córka Franciszka ze swym mężem Chaberkim, pochodzącym z Lelisa.

– Sakowska Zofia – wybudowała swój dom na nowym siedlisku (jej matka, Władysława Sakowska, mieszka w domu po Janie Parzychu).

– Dzięgielewscy – Monika, córka Chaberków, ze swym mężem i rodziną wybudowali dom na nowym siedlisku.

– Antoni Mrozek – z pierwszą żoną miał córkę Genowefę, po jej śmierci ożenił się ponownie i miał trzech synów (Franciszka, Stefana i Józefa) oraz trzy córki (Halinę, Teresę i Annę). Gospodarstwo po Antonim przejął Józef, a po nim obecnie jego córka, Dorota Kempa ze swą rodziną.

– Mrozek Konstanty (żona Czesława z Kurpiewskich) – brat Antoniego, po wojnie mieszkali ze swymi rodzinami we wspólnym domu, później Konstanty przeniósł się do Łazku pod Ostrołęką, miał dwie córki: Jadwigę Trzeciak (mieszka w Ostrołęce) i Reginę Plaga (długoletnia nauczycielka, mieszka w Olszewie-Borkach) oraz syna Stanisława (wieloletni nauczyciel geografii, organizator turystyki wśród młodzieży szkolnej, mieszkał w Ostrołęce, zmarł). Konstanty nie posiadał własnego gospodarstwa rolnego, pracował w lesie jako stały pracownik fizyczny. Kawałki ziemi pod zboże czy kartofle dzierżawił od rolników za odrobek prac przy sianokosach, żniwach czy wykopkach.

– Zadroga Stefan (żona Aleksandra z Murachów) – prowadził gospodarstwo rolne i był gajowym, miał trzy córki: Irenę, Wandę i Henrykę – mieszkają w Ostrołęce.

– Krukowscy – przed wojną przenieśli się do Ostrołęki. Jan Krukowski był po wojnie znanym w mieście stolarzem, mieszkał ze swą rodziną przy ulicy Króla Stanisława Leszczyńskiego.

– Szczubełek Franciszek – miał trzy córki i trzech synów. Dwóch z nich: Józef i Czesław (żołnierz 12 Dywizjonu Artylerii Konnej w Wojciechowicach), byli serdecznymi kolegami mojego taty w latach ich młodości. Ich brata, Jana, w 1945 roku, zabrało NKWD i już do domu nie powrócił, zginął bez wieści, tak, jak nie powrócił i też zginął bez wieści zabrany również przez NKWD podsołtys wsi w czasie okupacji, Stanisław (?) Laskowski, mieszkający na kolonii Durlasów, Przewrotnej Górze¹¹. Po wojnie gospodarstwo po Franciszku prowadził syn Czesław z żoną Heleną z Parzychów, mieli pięć córek i dwóch synów. Obecnie gospodarzy ich syn, Stanisław, a po przeciwnej stronie gościńca na nowym siedlisku mieszka syn Stanisława.

– Szymczyk Władysław – miał dwóch synów: Władysława i Franciszka oraz dwie córki: Czesławę i Marię. Gospodarstwo po nim przejął jego syn, również Władysław, obecnie gospodarzy jego córka, Danuta Ciak z mężem i rodziną.

– Szymczyk Aleksander – brat Władysława, miał trzy córki (Stanisławę, Zofię i Teresę) oraz czterech synów (Aleksandra, Franciszka, Stanisława i Stefana). Obecnie gospodarstwo prowadzi jego wnuk (syn Zofii) Szewczyk ze swą rodziną. Córka Aleksandra, Stanisława, zabrana była w czasie okupacji na przymusowe roboty do Niemiec, po powrocie zmarła, dwaj synowie: Franciszek i Stanisław zmarli w młodym wieku, a syn Stefan zginął tragicznie (wypadł z pociągu wracając ze szkoły do domu na święta Bożego Narodzenia).

– Marzewski Franciszek – pamiętam go siwiuteńkiego, był jednym z pierwszych śpiewaków na pogrzebach. Miał trzy córki: Franciszkę, Stanisławę i Annę. Po nim gospodarstwo przejął jego zięć, Henryk Grzyb (mąż Franciszki), który – jak pamiętam – bodajże przez jedną zimę wypiekał smaczny chleb, w który zaopatrywał mieszkańców wioski, ale władza ludowa chyba nie doceniła jego umiejętności,

¹¹ Informacje od Czesława Parzycha z Nadlasku i Czesława Szczubełka.

gdyż długo nie cieszył się tytułem piekarza. Obecnie gospodarstwo prowadzi syn Henryka, Antoni ze swą rodziną, a po przeciwnej stronie gościńca na nowym siedlisku pobudował dom jego syn Darek.

– Marzewski Roch (żona Władysława z Łępickich) – ludowy bazarz, który podczas wiejskich schadzek w długie jesienno-zimowe wieczory potrafił interesująco opowiadać (tak, jak i Józef Wiktorek) przeróżne opowieści. Miał trzech synów (Walentego – oficera Wojska Polskiego, Tadeusza – pływał statkami po Odrze oraz Stanisława – mieszka na ojcowiznie) i córkę (Janinę Kowalską – mieszka z rodziną na Wybrzeżu). Obecnie gospodarzy syn Rocha, Stanisław z żoną Krystyną z Szewczyków i ze swą rodziną.

– Marzewski Andrzej – miał synów: Antoniego (trwał w stanie kawalerskim) i Jana (ożenił się do Lipianki) oraz córki: Janinę, Irenę, Jadwigę (wyszła za mąż za Czesława Wiktorka i mieszka w Ostrołęce), czwarta ich córka wychowywała się w bezdziejnej rodzinie brata pani Marzewskiej. Gospodarstwo po śmierci Andrzeja prowadziła wdowa po nim z synem Antonim. Po ich śmierci budynki zostały sprzedane Marii i Sławomirowi Rochowiczom z Ostrołęki.

– Gajówka (posada) – w lesie za wsią, po przeciwnej stronie kapliczki z Matką Boską Durlaską. Mieszkał w niej przed wojną gajowy Małkowski z żoną i córką. Gajówka uległa spaleni, obecnie odnaleźć można na jej miejscu (posadzie) kilka zdziczałych drzewek owocowych, zarosłe piołunami pokrzywą i innym zielskiem, ledwie rozpoznawalne siedlisko.

– Mieszkańcy kolonii Durlasów – Przewrotnej Góry: Choroszewscy, Ciakowie, Giersowie, Laskowscy, Porębowie...

Tak, wyżej wspomniani gospodarze – mieszkańcy wioski Durlasy, wciąż trwają w mej pamięci, snują się w przestrzeni wspomnień. Wśród nich przecież żyłem, razem z nimi wdychałem to samo powietrze, karmiłem się chlebem, na który ziarno z pól tej samej wioski zbierano, słuchałem tego samego odwiecznego szumu Puszczy Zielonej. Wszyscy tworzyliśmy jedną wielką rodzinę wiejską, razem wszyscy cieszyli się i smucili, czasem kłócili, zawsze wzajemnie wspomagali, wspólnie dźwigali swą chłopską dolę i niedolę. Widzę twarze ich wszystkich, tych, z którymi tu byłem na co dzień. Tyłu ich wokół mnie, tyle zdarzeń z nimi związanych. Tu, w Durlasach, żyli, starze-
li się i odchodzili, opuszczali swe zestarzałe chałupy, przykurczone

ciężarem czasu, trudem ich chłopskiego losu. Miejsca po nich zajmowali synowie, córki i wnuki, budowali nowe domy. Dziś już nie ma we wsi starych chat i wielu tamtych ludzi z moich wspomnień. Teraz tylko ktoś z ich rodzin o nich pomyśli, na pożółkłą fotografię popatrzy, świeczkę na grobie zapali i za wieczny spokój duszy modlitwę wyszepcze. Po tych najstarszych bowiem, których wspominam, gospodarzą już drugie i trzecie, a nawet czwarte pokolenia, tworząc obecną społeczność wioski, których ja już nie znam, a których tu wymieniam dzięki życzliwej pomocy i informacjom, przekazanym mi przez bratową Zosię i brata Staszka, którzy w Durlasach przejęli gospodarstwo po naszych rodzicach i prowadzą je wzorowo. Wdzięczny jestem również Reginie Plagowej, córce Czesławy i Konstantego Mrozków z Durlasów – Zagórki, mojej młodszej koleżance, nauczycielce, mieszkającej z rodziną w Olszewie-Borkach, za przekazane mi zebrane przez nią informacje i jej własne wspomnienia, dotyczące naszej wioski, oraz Oli Gers z Szewczyków, także mojej młodszej koleżance, mieszkającej ze swą rodziną w Durlasach, jak i wszystkim innym osobom, które dzieliły się ze mną – podczas rozmów, w różnym czasie – swymi wiadomościami i wspomnieniami, związanymi z Durlasami, które wykorzystałem w tych zapisach.

Dom rodzinny – stary mój dom! Kolebka tylu pokoleń naszej Rodziny! To był taki maleńki mój świat, malusieńki mój kosmos, w pełni bezpieczny, pełen harmonii, porządku pojęć i prawd. Był w nim Bóg, ojciec, matka i my, dzieci małe, było nasze życie ze wszystkimi jego barwami. To także miejsce, obszar i przestrzeń bytowania. Tu doświadcza się tajemnicy swego losu. To w domu rodzinnym zaczyna się to, co w życiu każdego tak piękne – miłość. Miłość rodziców do dzieci, dzieci do rodziców, rodzeństwa do siebie nawzajem, dziadków do wnuków, wnuków do dziadków, miłość do cioć, stryjków i wujków, całej wspólnoty rodzinnej. Dom rodzinny to też miejsce wspólnych nadziei, miejsce, w którym uczymy się wzajemnego wspomagania w dobrych i złych chwilach życia. To troskliwość matki, siła ojca i poczucie bezpieczeństwa. To azyl wolności – wolności od niepokojów świata. To miejsce wzajemnej życzliwości i modlitwy, gdzie poprzez miłość rodzinną przychodzi Bóg. Miejsce jedyne i niezaprzeczalne. Dom rodzinny to wspólny stół, miejsce codziennych i świątecznych spotkań, rozmów, wzajemnego bytowania, gdzie rodzina może spokojnie i bezpiecznie żyć, gdzie dzieci przeżywają swe dzieciństwo a dziadkowie pogodnie starzeją się. Jest nieodłącznym wiernym towarzyszem od narodzin do śmierci, wpisany w nasz los. Dzieli nasze radości i smutki, wiernie zachowuje nasze małe i duże tajemnice.

Był on częścią całego „kruwoobiegu”, nierozdzielnie złączony z sadem, gościńcem, gajkiem, sadzawką, polem i lasem, z zagrodami sąsiadów i wioski całej.

Dom błogosławiący pokoleniom chroniącym się pod jego dachem i czujnie ich strzegący, wciąż powracający we wspomnieniach, marzeniach i tęsknotach.

Dom – to była przestrzeń naszego bezpieczeństwa, rodzinnej harmonii, także hierarchii, odwiecznych praw i prawd, rzeczy i porządku. Dom z Panem Bogiem, z ojcem i matką.

Drzewa mają swoje korzenie, budowle – swoje fundamenty, człowiek ma dom i rodzinę, które są i korzeniami i fundamentem jego życia.

Dom – to jest to jedno jedyne miejsce na ziemi, w którym wszystko przesycone jest naszymi wspomnieniami...

Dom rodzinny – to stąd pierwsze dłuższe rozstania dorastających dzieci. Tu spływają pocztówki z pozdrowieniami z wycieczek szkolnych, z obozów wakacyjnych, pielgrzymek...

Dom rodzinny – to miejsce pożegnania syna idącego do wojska, udzielenia błogosławieństwa młodożęcom na szczęśliwą ich nową, wspólną drogę życia. To okna wychodzące na wszystkie strony świata, to drzwi otwarte na oścież dla każdego

Klimat naszego domu rodzinnego w jakim wzrastaliśmy: ja, najstarszy i moje rodzeństwo: Jaśko, Stach, Ala i Henia, kształtował tamten okres dzieciństwa i wczesnej młodości. Mieliśmy to wielkie szczęście, że był to klimat wzajemnej miłości, zaufania, szacunku i tradycji. Tradycji tej naszej rodzinnej i tej szeroko pojętej, narodowej („Kto ty jesteś? – Polak mały...”). A za ten klimat, za to wzrastanie w blaskach tradycji i wiernej pamięci wdzięczny jestem moim rodzicom Stanisławowi i Czesławowi, babciom Władzi i Rózi, dziadkowi Józkowi, cioci Wiktorii i Jasi, moim wujkom...

Mój dom. Dobry stary mój dom rodzinny. Wygodny, obszerny, z dużą i małą izbą, z alkierzem, sienią i komorą, gdzie gromadzono zapasy, ze strychem pełnym tajemnic. Jego wnętrze pachniało życiem kilku pokoleń, znało tajemnicę najbardziej intymnych rozmów, szczerość zwierzeń, radość narodzin i wesel, smutek rozstań i pożegnań ostatnich. Dzielił – z wszystkimi pokoleniami naszej rodziny – radość i łzy, czas biedy i dostatku, przednówki i wojenne nawały, za pazuchą strzechy i po kątach izb chował wspomnienia.

Mój dobry stary dom rodzinny. Pełen był też oddechów i życzliwych uśmiechów mych bliskich. Dobry stary dom rodzinny! A wydeptany próg znał wszystkie jego tajemnice, podłogi zaś aż skrzypiały z zachwyty, gdy wspominały wiejskie zabawy taneczne, jakie niejednokrotnie się w nim odbywały w czas jesieni i karnawału, wszyst-



23 września 1988 roku. Przed wejściem do Muzeum Okręgowego. Od lewej:
Henryk Ciszewski, Jerzy Kijowski, Zofia Niedziałkowska, Czesław Parzych,
Jadwiga Nowicka, Wojciech Woźniak



17 sierpnia 1986 roku. Czesław u brata Janka i jego rodziny w Old Forge w stanie Pensyl-
wania (USA). Od lewej: Janek, Bernardetka, Rysiek i Czesław



Wielki Czwartek 1980 roku. I Komunia św. Adasia – syna Danusi i Czesława. Obok siedzi siostra Adasia – Ewunia



9 maja 1987 roku. I Komunia św. Maćka Moszczyńskiego, siostrzeńca
i chrześniaka Danusi – żony Czesława. Od lewej: Stanisław, mama Helena,
Wala, Ewunia, Boguś, Irena, Jola, Maciek, Heniek, Jasia, Mały Jacek,
Danusia, Franio, Kryśia, Janek



Lato 1987 roku. „Święta” sosna z kapliczką – opisana w tekście wspomnień.
Przy sośnie tato Czesław senior, mama Stasia i ciocia Jasia



Stara (drewniana) kapliczka Matki Boskiej Durlaskiej z jej figurą. Stoi przy niej córka Czesława Ewunia i...



Nowa kapliczka Matki Boskiej Durlaskiej, murowana. Stoją przy niej, 30 lipca 1992 roku, brat Czesława Janek i siostrzenica Agnieszka Brzozowska. Kapliczka szeroko opisana w tekście wspomnień



19 maja 1985 roku. I Komunia św. Ewuni, córki Danusi i Czesława



20 września 1997 roku. Czesław całuje dłoń swego taty, Czesława seniora,
w 90. rocznicę jego urodzin (16 września 1917 r.). Obok stoi Danusia,
z boku Wiola Brzozowska



4 kwietnia 1999 roku. Niedziela Wielkanocna, Czesław z żoną Danusią
w durlaskim lesie „Na Podwału” (ulubiona aleja spacerowa)



16 maja 2009 roku. Wnuk Czesława Maciuś w dniu I Komunii św. z siostrą Oleńką



24 grudnia 2009 roku. Wigilia. Wnuk Maciuś czyta fragment Ewangelii przed opłatkiem i wigilijną wieczerzą. Przy nim stoi siostra Oleńka, ich mama Ewa i ich wujek Adam



24 grudnia 2010 roku. Po kolacji wigilijnej przy świątecznym stole. Od lewej: Czesław, Danuta, Ewa, Izabela, Oleńka, Martusia, Maciuś i Adam



4 kwietnia 2010 roku. Śniadanie wielkanocne. Od lewej: Danusia, Martusia, Iza, Adam, Maciuś, Ola i Ewa



31 marca 2002 roku. Czesław z żoną Danusią i maleńkim wnukiem Maciusiem na spacerze w durlaskim lesie, „Na Podwalu”



24 grudnia 2010 roku, Czesław z wnukami: Oleńką i Maciusiem na tle choinki



4 marca 2010 roku. Czesław tańczy z wnuczką Martusią



24 października 2001 roku. Czesław (stoi) z serdecznym przyjacielem Heniem Ciszewskim w bibliotece naukowej Muzeum Okręgowego w Ostrołęce



11 kwietnia 2000 roku, Czesław z Kroniką Miasta Ostrołęki, którą prowadzi od 1984 roku przy TPO

kie przyśpiewki i przytupywania. Był to bowiem dom dość obszerny i na prośbę młodzieży rodzice wielokroć udostępniali dużą izbę jako salę taneczną (świątlicy we wsi nie było, a jesienno-zimowy czas nie sprzyjał organizowaniu zabaw na świeżym powietrzu, jak to zazwyczaj czyniono latem).

A magicznym stróżem całego domu był świerszcz. Chętnie wówczas mieszkał z ludźmi w ich drewnianych domach, gdzieś w szparce za piecem lub za kominem i chronił dom oraz jego mieszkańców przed wszelkim złem, ożywiał i rozweselał swym śpiewem słotne jesienne wieczory.

Cały dom miał w sobie nieokreśloną magię. Ludzką wprost opiekunkość. Wiele razy miałem ochotę ogarnąć go w swoje chłopięce ramiona i sercem się do niego przytulić. Ramiona co prawda nie obejmowały jego rozległej przestrzeni, ale serce delikatnie dotykało splekanej szorstkiej faktury belek i żywicznych sęków. Dotykało każdego jego kącika i ogarniało go całą dziecięcą – chłopięcą wdzięcznością.

Toteż mój dziecięcy świat był światem pełnym dobrych duszków przeróżnych (tych psotnych też!), rusałek, skrzatów, krasnoludków, które pomagają potrzebującym, ubarwiają i upiększają świat. Żyłem z nimi wszystkimi na co dzień za pan brat. A są przecież ludzie, którzy przez całe, nieraz długie życie, nie widzieli krasnoludka. Nawet nie wiedzą, ile przez to stracili, jak bardzo byli krótkowzroczni.

A w ogóle całe moje dzieciństwo składało się niejako z zapachów: zapachów domu, łąki, pola, pastwiska, lasu, gaiku z sadzawką, bagien śródlęśnych, które niegdyś jeziorami były, wiatru, lotu ptaków, kwilenia jaskółek pod strzechą, starego sadu, maliniaku, mamy ogródka warzywno-kwiatowego, pobliskiej strugi, szuwarów, klekotów bocianich, żabich koncertów w wiosenne wieczory, bzów, piaszczystego gościńca...

Toteż dzieciństwo i wczesne lata chłopięce spędzane na wsi związały mnie nierozzerwalnie z naturą. Kolory łąk i pól, lasów, czystego błękitu i odwiecznego tajemniczego szumu puszczańskiego boru, ich niepowtarzalne zapachy, tkwią ciągle w mojej pamięci, w całej mej naturze. Zawsze wracam do nich, gdy dopadają mnie smutki i nostalgia. Pędzę wtedy w durlaskie bory, błędzę po leśnych wykrotach i ścieżkach leśnych, wydeptanych Bóg jeden wie przez kogo, albo i nie wydeptanych, wychodzę na przyleśne miedze, wiodące przez

polne przestrzenie mej wioski, wchodzę w przestrzeń naszego rodzinnego siedliska, niegdyś przytulonego do piaszczystego gościńca, dziś do asfaltowej szosy. I tak do fizycznego zmęczenia, pełnego wyciszenia, aż po błękitną radość duszy... Bo już starożytni mędracy, mistycy i medycy przekonywali słusznie swych uczniów i pacjentów, że aby nabrać sił, pozbyć się smutków i nostalgii, na nowo rozpłomienić w sobie radość życia, trzeba choć na chwil kilka, chociaż wspomnieniami, pobiec do miejsca urodzenia, bądź w okolice, gdzie spędziło się dzieciństwo i sercem przytulić się do tego skrawka ziemi. Tam bowiem jest nasze naturalne miejsce mocy, z którego energia pomoże odbudować siły vitalne.

Tak natura kształtowała cały świat mój, moich doznań i uczuć, prowadziła śladami poprzednich pokoleń i otwierała nowe horyzonty, fascynowała drogami wiodącymi w tajemnicze dale...

Pomocny w pozytywnym wychowaniu zawsze był i jest Kościół, który wskazuje właściwe wartości, uczy jak żyć w rodzinie i jaka ma być ta rodzina. Kościół zawsze był z rodziną, z narodem, zawsze był trwałym jego fundamentem. Ale ile pomyj dzisiaj wylewa się na niego, jak bardzo stara się go wszelkimi środkami i sposobami oddalić od społeczeństwa. I to się udaje. A problemem współczesnego człowieka jest i to, że pozbawiony został tożsamości. Korzeni i fundamentu. Z zasady nie wie nic, lub wie niewiele o miejscu, w którym żyje, o swej rodzinie, przodkach...

Ale wracam do mojego starego dobrego domu! Ze słomianą strzechą i żurawiem stojącym na podwórku, pochylonym nad głęboką studnią, do której nocą gwiazdy sfruwały i kapały w niej swą urodę, a w skwarne południa słońce zaglądało, umęczone żarem szukało tam ochłody. Kochałem w tym moim dobrym domu każdy kąt. Tyle w nim zostało moich przeżyć i doznań, moich wspomnień i wyszeptanych modlitw..., marzeń i tęsknot moich... Pełen był własnych zapachów i zapachów otaczającej go przestrzeni. Stał pod opieką olbrzymiego, równie jak on starego, grabu, Wysokiego, dostojnego włodarza całej zagrody naszej, opiekuna domu i dobytku wszelkiego. Wysmukły, wysoki aż po błękit nieba, ozdobiony rozłożystą u góry koroną. Żyłaste korzenie głęboko wrastały w ziemię, że żadne wichury ruszyć go nie mogły. Dziś jeszcze, gdy wsłucham się w otaczającą ciszę, słyszę śpiew wiatru i ptaków w jego konarach. U dołu pnia

korę miał pomarszczoną, tak, jak pełna wspomnień twarz wiekowego staruszka. Bo był wiekowy i możliwe, że rósł tam już wtedy, gdy mój prapradziad budował ten nasz dom. Wokół grabu, wzdłuż płotu oddzielającego sad od kwiatowo-warzywnego ogródka mamy, rosło wiele śliw, nazywanych przez tatę pół-szczepkami. W sadzie, pośród starych jabłoni, rozstawiono ule z pszczelim brzęczeniem i zapachem miodu. Pędy chmielu pięły się po płocie, po ustawionych dla nich tyczkach oraz po gałęziach obok rosnących wiśni. Rozłożysty krzew dzikiej róży, krzewy porzeczek i gąszcz malin wzdłuż ogrodzenia dopełniały resztę.

Mój stary dobry dom rodzinny, którego już nie ma.... Dla mnie jednak wciąż istnieje, cały ciepły dobrocią matki, bezpieczny obecnością ojca. Zbudował go mój prapradziad, Adam Parzych, w 1841 roku, już na nowym siedlisku, po komasacji gruntów w naszej wiosce, z grubych, żywicznych bali sosnowych (starodrzewu), ciosanych toporem, spękanych od słońca, wiatru i deszczu, wciąż pachnących żywicą, rozgrzaną południowym żarem, wyciekającą z sęków złocistymi kropelkami. Każda jego belka przesiąknięta była oddechem kilku pokoleń naszej rodziny. W jego izbach wciąż czuję zapach wiosennej kaliny i akacji, których gałązki, obsypane kwiatem, przynosiła mama z gajku nad sadzawką na bukiety, ustawiane na głównym stole przed figurą Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia. Czuję też zapach liści tataraku i chrzanu oraz pieczonych na nich dużych bochenków chleba. Ach, jak ten chleb pachniał! Jak smakował, posmarowany dopiero co ubitym w maselnicy masłem lub świeżo zdjętym plastrem miodu! (tato miał pasiekę złożoną z 44 roi pszczelich, a pszczoły –według tradycji – są symbolem dostatku i szczęścia rodzinnego!). Słyszę również ciężkie stąpanie koni wracających po pracy z pola, wieczorne porykiwanie sytych krów idących z pastwiska, radosne poszczekiwanie Rekxa...

Stał ten nasz dobry stary dom na podwalinach solidnych, opartych na potężnych głazach kamiennych, rozstawionych na wszystkich jego czterech węglach – narożach. Kamienie te stanowiły fundament domu, skrywały w sobie pamięć losów osób tu mieszkających, chroniły przed wpływami zła i ciemności, wspomagały przyjazne i pozytywne siły, budujące rodzinne ciepło domu. Niegdyś niejedno ludzkie gniazdo wspierało się o fundamenty z takich kamieni i każde było

gniazdem trwałym. Kamienie węgielne były przez budowniczego sprawdzane i dobierane pod kątem promieniowania dobrą energią, układane pod domem ciepłą stroną ku górze, by mogły być zharmonizowane w swym rezonansie z aurą, z potężnym Kosmosem. Dom zbudowany na tak ustawionym kamiennym fundamencie miał w swym wnętrzu pozytywną atmosferę, sprzyjającą jego mieszkańcom.

Płaski i potężny kamień, jak te pod domem, leżał też przed głównym wejściem w charakterze schodka, który swym dziwnym, tajemniczym ciepłem jakże często dotykał moich dziecięcych stóp, latem bosych, oraz stóp mego rodzeństwa i całej rodziny. To był „żywy” kamień. Ciepła jego dotyku doznawał każdy, kto stawał na nim bosą stopą. Przemieniało się ono w dziwną siłę, która potrafiła przemóc nawet chorobę i przywrócić radość.

Gdy prapradziad Adam budował ten dom, jego syn, Wiktor, mój pradiad, miał trzy lata. Ja też miałem trzy lata, gdy dom obchodził stulecie swej wiernej służby naszej rodzinie – kilku jej pokoleniom, które ogarniał sękatymi ramionami ścian, czasem skrzypiał w więzaniach, jakby od wysiłku dźwigania odpowiedzialności swej służby za nasze bezpieczeństwo, spokojne i pogodne życie. Doczekał 123 lat – tyle, ile trwała niewola naszego narodu – kiedy tato mój zwolnił go wreszcie, stareńkiego, z obowiązku służby, budując nowy, również z bali dom. Odszedł więc nasz stary dobry dom, jak odchodzą starzy ludzie, kolejniami swego losu... Jak odeszli ci, którzy w nim żyli, powierzali mu tajemnice najskrytsze, swoje radości i smutki...

Dziś, z odległości lat i doświadczeń wspominam swój dom rodzinny tak, jakbym myślał o rozśłonecznionym, ciepłym dniu wiosennym. Był mi on miejscem szczęśliwego dzieciństwa (choć ubogo bardzo wtedy się żyło – okupacja i wojna zniszczyły wszystko, cały dorobek i wszystko trzeba było zaczynać od początku) oraz wczesnej młodości, miejscem najpiękniejszych nadziei, najlepszych wspomnień. I wiernym mym przyjacielem, któremu powierzałem tyle tajemnic dziecięcych i chłopięcych, który słyszał wszystkie szepty moich modlitw i znał wszystkie moje przewinienia. Zawsze otwarty i ciepły dla wszystkich, wszystkim przyjazny. Wszyscy byli w nim witani z jednakową serdecznością i gościnnością. Wracałem do niego zawsze z ogromną radością, gdy już byłem w szkole w Ostrołęce. Wycekiwałem z utęsknieniem cały tydzień soboty i pędziłem ku niemu,

jak na skrzydłach, chwytałem klamkę drzwi i wpadałem w ramiona mamy, taty, rodzeństwa, babci i obu cioć. A moje przybycie już od wrót oznajmiał wszystkim radosnym szczekaniem kochany mój Reks. Teraz uświadamiam sobie z dumą i satysfakcją, że ten mój stary dobry dom trwa we mnie nie zmieniony od zawsze, od czasu, gdy przed laty wielu (Boże! Ile to już dziesiątków lat!), w grudniowy poranek, przyjął mnie – maleńką człowieczą kruszynkę – życzliwie w swe progi i pod swój dach. A radość tym większa, że pod tym dachem, po progach tych stapał mój prapradziad, pradziad, dziad i ojciec – tak, jak stąpali po tych samych skibach ziemi, zagonach i miedzach, po których ja mogłem stapać, gdzie głębokie źródła naszego rodzinnego trwania. To w tym starym moim dobrym domu zostało tyle przeżyć, wzruszeń, wyszeptanych modlitw, marzeń niespełnionych, tajemnic chłopięcych...Wciąż trwa on we mnie, ciepły dobrocią matki, bezpieczny obecnością ojca. To właśnie uśmiech matki, radosny i czuły, oraz serdeczny dotyk szorstkich od pracy rąk ojca, dawały nam, małym dzieciom – mnie, braciom Jankowi i Staszce oraz siostrze Ali i Heni – poczucie bezpieczeństwa, dziecięcą radość i słoneczność.

U tych źródeł mojego rodzinnego trwania, w tej atmosferze domu rodzinnego, kształtowało się moje życie dziecięce i chłopięce. Życie pełne tropów i szacunku dla historii oraz tradycji narodowej i rodzinnej. Poznawałem je poprzez miejsca, znaki i osoby najbliższe. Ileż to razy w długie zimowe wieczory słyszałem opowieści dziadka Józefa Wiktoraka o zapierających dech w piersiach wyczynach Stacha Konwy, kurpiowskiego bohatera, gdy potop szwedzki zalewał kraj. Ileż razy jadąc z rodzicami do kościoła (ostrołęcka fara była naszym kościołem parafialnym) czy na targ do Ostrołęki i przejeżdżając obok Mauzoleum, słyszałem od ojca o bohaterstwie polskich żołnierzy – a wśród nich i kurpiowskich chłopów – przelewających krew i oddających życie w czasie majowej bitwy 1831 roku (okres powstania listopadowego). Albo o tym, jak kapliczka, stojąca w lesie durlaskim na rozstaju dróg, z Matką Boską Durlaską w środku, była znakiem rozpoznawczym i punktem kontaktowym w kolejnym powstaniu – powstaniu styczniowym. Rok 1920 łączył się zawsze w rodzinnej lekcji historii z moim prapradziadkiem Wiktorem, pobitym przez bolszewickich żołdaków do utraty zmysłów i zdrowia. Kolejne wydarzenia już sam rozpoznawałem, chociaż nie wszystkie w pełni mogłem pojąć.

Bo tajemniczymi pozostawały dla mnie – wówczas dziecka małego zaledwie – nocne taty „zniknięcia” i mamy modlitwy przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, długie aż do jego powrotu – to czas okupacji. Kiedy zaś przyszedł czas budowy „socjalistycznej ojczyzny”, czas władzy ludowej, władzy robotników i chłopów, nagle UB aresztowało tatę, chłopca z dziada pradziada (razem z innymi mieszkańcami wioski) – jako „zapłutego karła reakcji”, a później, upokarzając wyzwiskami, obarczając – jako kulaka – obowiązkowymi dostawami, niemożliwymi do udźwignięcia.

Tak historia, poprzez dzieje ludzi i miejsc najbliższych, wpłatała się w mój dziecięcy a później chłopięcy świat, w życie rodziny, mojej wioski. I wszystko to, co wyniosłem z domu rodzinnego, stało się moją busolą moralną na całe życie. A rodzina – ta moja domowa i ta, którą tworzyła cała społeczność wioski, była, obok ziemi, najważniejsza, zaś obyczaj domowy pieczołowicie przechowywany i przestrzegany. Panował też zwyczaj troskliwego pamiętania o domownikach, o najbliższych. Takich mam ich wciąż przy sobie, w swojej wdzięcznej pamięci i sercu:

– Ojciec. Wstawał zawsze rano, „do świtu”, cichutko, by nas, dzieci, za wcześnie nie zbudzić. Zimą rozpalał ogień w piecyku, aby nagrzać przed naszym wstaniem wystudzone nocą mieszkanie. A gdy po całodziennym trudzie siadał i wypoczywał, bieглиśmy do niego, sadowiąc się mu na kolana. Był zawsze serdeczny i tkliwy, pełen dobroci i troski. Przy nim czuliśmy się bezpieczni. Opowiadaliśmy mu nasze dziecięce przygody i osiągnięcia z całego dnia, on tulił nas do siebie, czule ogarniał swymi ciężkimi, spracowanymi rękami. I cieszył się, że jesteśmy z nim, przeglądał się w naszych szczerych, dziecięcych oczach. Z jego twarzy znikало wtedy zmęczenie i pojawiał się ciepły, serdeczny uśmiech. Uczył nas miłości do Boga, otaczającego świata i ludzi. Z przestrzeni pól i błękitu nieba budował nasz przepiękny dom. Powojenne niedostatki i szarżyznę codziennego życia zamieniał w kolorową baśń. Zawsze wierzył w ostateczne zwycięstwo dobra, nigdy więc nie rozpamiętywał zła. Poza nami, dziećmi, i naszą mamą, swoją żoną, miał jeszcze jedną miłość – ziemię. Łączyła go z nią tajemnica pracy i plonu. Świadczyła o jego sile. Potrafił wsłuchiwać się w jej tajemnicze szepty, w jej śpiew, pulsowanie i odgłosy. Sercem jej dotykał i służył wiele lat, od czasów chłopięcych do późnych lat

życia. To był piękny jego świat. Orał, siał i kosił, pot swój znoyny jej ofiarowywał i ciężką pracę, niedospane noce i swą radość ogromną, gdy po sumie w ostrołęckiej farze, w niedzielne popołudnia miedzami się przechadzał, a ona plonem obfitym mu się kłaniała, zbożem jak uśmiechem pięknie zakwitała, wierna mu i uległa. Szedł tak, pośród zbóż, cały rozradowany, w sobie rozśpiewany i z niebem rozmawiał, Bogu za łaski i hojne dary dziękował. Zawsze miał świadomość zależności wszystkiego od Stwórcy. I w tej ziemi, w jej płodach, które mu rodziła, zawsze odczuwał szczególną bliskość z Bogiem. Zawsze był przed nim pełen pokory, we wszystkim mu zawierał i darzył najgłębszą miłością. Każdą rolniczą czynność rozpoczynał znakiem krzyża. Kreślił go również – batem – na ziemi przed końmi przy każdym wyjeździe z podwórka, jadąc na pole, na targ czy też w niedzielę i święta do kościoła. A gdy dokonywał siewu zboża, pierwszą jego garść kropił wodą święconą, własnymi słowami prosił o pobłogosławienie jego pracy i plonu, by ziemia wydała go obfity. I ziemia wydawała! Wierzył niezachwianie, że modlitwa i dobre słowo są potężną siłą. Dziś wiem, że i jego siła oraz zdrowie (nigdy nie chorował) również płynęły z tej głębokiej wiary. Był osobą niezwykłą. Fascynował prawością i skromnością. W miarę swych sił niósł pomoc bliźnim, służył dobrą radą i wsparciem. Jego dobroć, uczciwość i życzliwość były wrodzone. To on wskazywał mi historyczne znaki ziemi naszej i naszej rodziny, uczył, jak poprzez te znaki czcić pamięć swych przodków, pielęgnować w sercu uczucie miłości dla ojcowizny i ojczyzny swojej. Mam wielką radość w sercu, że tak wspaniały człowiek był moim ojcem.

Widzę go wciąż idącego boso po spulchnionym pługu i broną zagonie, z białą płachtą przewieszoną przez lewe ramię, napełnioną ziarnem. Idzie wzdłuż skib i prawą ręką rozrzuca przed sobą. Doszedł do uwrocia (końca zagona), przystanął, rozejrzał się, chwilę odpoczął i już idzie w powrotną stronę. Jesienne słońce złoci rzucane w rolę ziarna, obok snują się białe pajęczyny jesiennego lata, a tato krok za krokiem sięga do białej płachty, nabiera pełną garść zboża i z rozmachem, równo i jednostajnie rozsypuje je po zagonie...

Tato prowadził też pasiekę. W szczytowym okresie jej rozkwitu miała około 44 pni (uli), stojących w dużym starym sadzie, pośród jabłoni, śliw, wiśni i innych drzew i krzewów owocowych. Według

tradycji rodzinnych, o czym już wyżej wspomniałem, pszczoły są symbolem dostatku i szczęścia rodzinnego. Rok rocznie zbierano wiele kilogramów miodu. Wosk rodzice przetapiali i robili z niego świece, które – poświęcone w święto Matki Boskiej Gromnicznej w kościele farnym podczas Mszy świętej – nazywano gromnicami. Zapalano je i wkładano w dłonie tych, którzy żegnali ten świat, by gromniczne światełko prowadziło duszę swym blaskiem do Boga, gdy już będzie ona po drugiej stronie życia. Stawiano je również w okna w czasie wielkiej i ciężkiej burzy lub przed figurą Matki Boskiej, stojącą w domowym ołtarzyku i śpiewano Suplikację („Święty Boże, święty mocny...”).

A gdy mama odeszła na drugi brzeg, która zawsze nas wszystkich i dom cały miała pod swymi opiekuńczymi skrzydłami, poczuł się samotny, ale z godnością dźwigał swój krzyż, pod troskliwą opieką córki Heni, mieszkającej ze swą rodziną w Ostrołęce, do której jeszcze razem z mamą przeprowadzili się, by mieć bliżej do kościoła i do lekarza na stare lata, gdy otrzymali niewielkie renty za długoletnią pracę na roli, po przekazaniu gospodarstwa bratu Staszowi i jego rodzinie. Zawsze wyprostowany i sprężysty w ruchach, w niedzielne przedpołudnia chodził do kościoła farnego (nigdy nie chciał, by go wożono) na Msze święte, na które i ja często się wybierałem, na tą samą godzinę, by móc potem towarzyszyć mu w spacerze do domu. Ile ciekawych rzeczy zawsze mi naopowiadał, ile nawspominał. Miał wspaniały dar opowiadania i dobrą pamięć. Cieszył się bardzo z każdych odwiedzin, gdy z żoną Danusią, dziećmi i wnukami naszymi przyjeżdżaliśmy do niego, lub gdy on do nas przyjeżdżał razem z moją siostrą Henią (jego córką) i szwagrem Ryszardem (jego zięciem). Ale z czasem ta jego sprężystość zaczęła rozluźniać się, kroki stawały się wolniejsze..., aż któreś niedzieli w ogóle zabrakło go w kościele i przy grobie mamy, bo zawsze, wracając z fary, zachodził do niej na cmentarz, by pomodlić się za spokój jej duszy, porozmawiać z nią, przekazać najnowsze wiadomości, co u niego, u dzieci, w całej rodzinie... A potem..., potem – tak jak mamy – i jego zabrakło...

Tato! Dziękuję ci za wszystko dobro, jakiego od ciebie doznałem! Przepraszam za ból serca, którego niejednokrotnie byłem przyczyną. Po męsku ściskam twą spracowaną dłoń i – jako twój syn – całuję ją z szacunkiem. Tak bardzo brakuje mi twoich dobrych i mądrych

rad, twego wsparcia. A znaków ziemi naszej, i naszej Rodziny – Tato – ciągle się uczę.

– Matka – mnie, najstarszego z dzieci, braci moich Janka i Staszka oraz siostry Alę i Henię, wykarmiła piersią. A pamiętać trzeba (młodszym wiedzieć), że kobiety wiejskie w tamten czas nie rodziły w klinikach i szpitalach. Gdy przyszło rozwiązanie rodziły po prostu w swych domach, pod opieką starszych i doświadczonych sąsiadek lub przy pomocy akuszerki, ale ta mieszkała w mieście, często dość odległym i na wieś docierała dość rzadko.

Matka – opiekunka, pierwsza nauczycielka i lekarka. Ta, która gotowa była poświęcić wiele, by nie stała nam się, mnie, braciom i siostram, żadna krzywda, byśmy zawsze byli bezpieczni. Ciągle czuwała nad naszym dzieciństwem. Śpiewała nam, maluchom, kołysanki nad kołyską, taką prawdziwą, przez stolarza z desek wykonaną, tuliła w ramionach i w sercu nosiła do końca swych dni. Nocy nie dosypiała czuwając, zawsze opiekuńcza, serdeczna, troskliwa, najlepsza. Taka zresztą jest każda dobra matka. To pod jej opieką stawiałem pierwsze kroki, ona podnosiła mnie, gdy upadałem, opatrywała moje skaleczenia i rany, podtrzymywała moją małą rękę, gdy nieporadnie kreśliłem pierwszy znak krzyża na czole, od niej pierwsza modlitwa i „Kto ty jesteś? – Polak mały...”. Od niej też ciepło i bezpieczna sytość, gdyż zawsze dbała – nawet w najtrudniejszych czasach okupacji a potem w latach niedostatku po wojnie, by nasze dziecięce żołądki nie były puste, byśmy nie zaznali głodu. A były to przecież ciężkie czasy i zdarzało się niejednokrotnie, że aby nas nakarmić, sama była głodna. Swym matczynym, pełnym miłości i dobroci sercem obejmowała nas wszystkich. W cieple i blasku jej miłości czuliśmy się bezpieczni i szczęśliwi. Ktoś kiedyś zauważył, że „tajemnica szczęśliwego domu jest tajemnicą nieustannie otwartych ramion”. Taki właśnie był nasz dom, dzięki naszym rodzicom: pełen rodzinnego ciepła, przytulności i szczęścia, mimo tylu różnych przeciwności losu, życzliwie i gościnnie otwarty dla każdego. To właśnie nasz dom, letnie noce, pełne muzyki świerszczy, sypiące się przez okno księżycowym pyłem, tajemniczy, odwieczny szum boru, dziecięce błękitne sny – wszystko co najpiękniejsze, do dziś sercu najmiłsze – złączone jest z pamięcią matki. Wciąż widzę jej oczy, duże i piękne, w których zawsze miała tyle światła i ciepła. Widzę jej włosy wplątane w wiatr wiejący

nad polami, w szumie drzew słyszę jej serce śpiewające, chwytam zapachy różnokolorowych kwiatów, które – dzięki jej troskliwości, ku jej i naszej radości – rosły i kwitły w całym domu i przydomowym ogródku. Widzę ją też pochyloną nad balią piorącą na tarze naszą zabrudzoną bieliznę i odzież, albo też nad wielką drewnianą dzieżą, jak zarabia ciasto, jak z wprawą i doświadczeniem formuje z niego okrągłe bochny na liściach chrzanu lub tataraku znad sadzawki, smaruje je po wierzchu wodą, żeby miały złocistą skórkę i każdy znaczy znakiem krzyża. Po wygarnięciu węglowego żaru wsuwa je na drewnianej łopacie do mocno nagrzanego pieca chlebowego...

To ona pielęgnowała pieczołowicie w naszym domu najcenniejsze wartości religii, tradycji, kultury. Widzę ją, długo klęczącą wieczorami przy domowym ołtarzyku, rozmawiającą z Matką Bożą i jej Synem. Całym sercem oddana swej rodzinie, stała na straży naszego ogniska domowego, była pierwszą wychowawczynią i nauczycielką nas – swych dzieci. W słońcu jej miłości dojrzewaliśmy jak owoce jabłoni w tatowym sadzie. Bo miłość matczyna była miłością bez miary. „Dziękujemy Wam, heroiczne Matki, za Waszą miłość niczym nie przewyżczoną!” – napisał Jan Paweł II w encyklice *Evangelium vitae*. – Mamol – ja te Jego słowa do Ciebie piszę! Dzisiejszy świat, pełen burz i sztormów zła, potrzebuje ofiarnych, kochających matek. Takich, jaką Ty byłaś!

I czuję pewne zawstydydzenie, pewien żal w sercu do samego siebie, bo choć darzyłem ją zawsze uczuciem głębokiej miłości, tak samo jak i tatę, potrafiłem napisać dla niej wiele swych wierszy, nie zawsze potrafiłem być przyczyną jej radości, nie zawsze moje życie było jej pięknej i wielkiej, macierzyńskiej miłości, którą zawsze, mimo wszystko, obdarzała mnie i moje młodsze rodzeństwo.

Lubiła mama też bardzo bór, otaczający nasz dom, naszą wieś. On chyba też znał wszystkie jej tajemnice – gdy tylko mogła biegła do niego na grzyby jesiennym świtaniem czy też latem na jagody. Często i nas, dzieci, zabierała ze sobą. Była zawsze z nami we wszystkich ważnych chwilach naszego dziecięcego i dorosłego życia. Znany filozof, psychoanalityk Erich Fromm tak mówił o matce: „Matka jest pokarmem, miłością, ciepłem, ziemią. Być kochanym przez nią to tyle, co być żywym, zakorzenionym, mieć ojczyznę i dom. Matka jest domem z którego wychodzimy, jest naturą, glebą, oceanem. Miłość matki jest

szczęściem, jest spokojem, nie trzeba jej zdobywać, nie trzeba (nawet) na nią zasługiwać”. Była wspaniała nie tylko dla nas, jej dzieci, ale dla wszystkich, których spotkała na swej drodze życia. Nigdy nie miała w sobie odruchu zazdrości, wydawania złych opinii o kimkolwiek, nawet o niedobrych ludziach. Zawsze spieszyła z pomocą tym, którzy jej potrzebowali i zawsze potrafiła cieszyć się radością innych. Ale przyszedł czas smutku, gdy twarz jej zniknęła z okna naszego rodzinnego domu, przez które popatrywała na mnie, machając ręką w geście błogosławieństwa na pożegnanie, ciepłym uśmiechem obdarzając na drogę.

Była już mocno chora. Od kilku dni nie wstawiała sama, bo brakło jej sił. Twarz naznaczona cierpieniem, lecz słoneczna, pogodnie uśmiechająca się do nas kącikami ust, pełna dobroci i czułości. Jej oczy uparcie wpatrywały się w nasze twarze, jakby utrzymywała w tych oczach i w pamięci każdy ich szczegół. Wciąż jeszcze i ona, i my mieliśmy nadzieję...

To była listopadowa niedziela. Wszyscy razem z tatą skupiliśmy się wokół niej. Chcieliśmy ocalić tę jej i naszą nadzieję. Ocalić dla niej i dla nas chwile radości ze wspólnego przeżywania. Przyniosłem wtedy z sobą magnetofon i kasetę z nagranyimi piosenkami, które śpiewała mi właśnie mama, z czasów swej młodości, gdy była jeszcze w pełni radosna, szczęśliwa i zdrowa. Obsiedliśmy wokół jej łóżka; jej mąż a nasz tato, my – jej dzieci i wnuki. Włączyłem magnetofon. Mama utraciła już głos i tylko szeptała. Gdy usłyszała swój śpiew, twarz jej ozdobił radosny blask. Uśmiechnięte lekko usta bezgłośnie nuciły melodie płynące z kasyty.

I taką radosną i szczęśliwą wśród nas mamę, wsłuchaną w swój śpiew piosenek z jej młodości lat i razem „śpiewającą”, wpatrzoną w nas wszystkich czule swymi dobrymi, pełnymi blasku oczami, widziałem po raz ostatni. To było nasze wspólne ostatnie rodzinne z mamą spotkanie. A gdy wieczorem żegnaliśmy się z nią, nad każdym z nas, lekko uniesioną ręką, kreśliła znak Krzyża świętego, jakby wiedziała, że żegna się z nami raz ostatni.

Cicho, pokorna i oddana Bogu, odeszła listopadowym przedświem, prowadzona płomieniem gromnicy, trzymanej w dłoni, podanej jej na wieczną drogę przez czuwające przy niej akurat w tym czasie obie córki, Alę i Henię.

Mamo! Dziękuję Ci za cudowny dar życia, za czuwanie przy mojej – i mego rodzeństwa – kołysce, za nieprzespane noce i za wszelkie dobro, jakie z twego serca ku nam zawsze płynęło. Przepraszam za twe łzy, których wielokrotnie byłem przyczyną. Ja wciąż potrzebuję gestu błogosławieństwa twojej dłoni, serdecznego twojego uśmiechu, pełnego troski spojrzenia pięknych życzliwych twoich oczu. Oczu, z których spojrzeń rodziły się kwiaty! I cóż mogę ci powiedzieć? Jakich gestów, jakich słów użyć? Czy w ogóle są takie słowa, nawet najpiękniejsze, by opisać nimi piękno i bogactwo Twojej, Mamo, miłości? Pozwól, że śpiew serca mego dla ciebie przekażę w pięknym liryku Aliny Kwiecińskiej *Serce Matki*:

*Jeśli dla ciebie bije serce matki,
masz skarb bezcenny, choćbyś cierpiał nędzę...
bogaczem jesteś w ścianach skromnej chatki,
gdy w niej kochanie snuje trwałą przędzę.
Szczęśliwszy od tych, co mają dostatki –
nic nie dorówna miłości potędze,
– Jeśli dla ciebie bije serce matki,
masz skarb bezcenny choćbyś cierpiał nędzę.*

I zadedykuję ci przepiękny wiersz, pełen żarliwej synowskiej miłości, napisany wiosną 1939 roku w Krakowie przez 19-letniego wówczas Karola Wojtyłę, poświęcony jego zmarłej matce, pt. *Matka*:

*Nad Twoją białą mogiłą
białe kwitną życia kwiaty –
– o, ileż lat to już było
bez Ciebie – duchu skrzydlaty –*

*Nad Twoją białą mogiłą,
od lat tylu już zamkniętą,
spokój krąży z dziwną siłą,
z siłą, jak śmierć – niepojętą.*

*Nad Twoją białą mogiłą
cisza jasna promienieje,*

*jakby w górę coś wznosiło,
jakby krzepiło nadzieję.
Nad Twoją białą mogiłą
klęknąłem ze swoim smutkiem –
o, jak to dawno już było –
jak się dziś zdaje malutkiem.*

*Nad Twoją białą mogiłą
o Matko – zgasłe Kochanie –
me usta szeptały bezsilą:
– Daj wieczne odpoczywanie –*

Oraz przypomnę sobie i wszystkim synom ich matek, czego uczył nas prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński, który zawsze całował matkę w rękę . Mówił: „– Wstań, gdy wchodzi kobieta. To nieważne, czy orzesz ziemię, czy odprowadzasz Mszę. Wstań, weszła matka”.

I jeszcze mój wiersz – Mamo – dla Ciebie, który jako znak pamięci wraz z sercem swoim Ci wręczam:

*Jesteś kwiatem
– Mamo –
Z dni mego dzieciństwa
Malwą wciąż kwitnącą
W ogrodzie rodzinnych wspomnień*

*Płomieniem jesteś
Roznieconym z wiary i nadziei –
Grzaliśmy przy nim swe serca
I całą przestrzeń domu*

*Gruszą leśną jesteś
Na miedzy pól naszych
Wspartą o nieba błękit –
Wytyczasz ptakom jesienne szlaki
I powroty wiosenne*

Rodzice byli z nami, ich dziećmi, we wszystkich ważnych chwi-

lach naszego życia, dając poczucie bezpieczeństwa i wspólnej radości. Żyli z głęboką wiarą i chrześcijańską godnością. Nigdy nie tracili kontaktu z Bogiem, a wszelkie dobro, jakie czynili, zawsze wynikało z tego kontaktu. Takie życie i nam – swym dzieciom – przekazywali oboje, tak je kształtowali. To byli najwspanialszy nauczyciele naszego życia! Pozostawili w nas najwięcej trwałych, dodatnich wartości. I wszystko, co w nas – we mnie i w moim rodzeństwie – dobre jest, Im zawdzięczamy – Rodzicom naszym! Wierzę głęboko, że czuwają nad nami mocą swej miłości, jaką obdarzył ich Bóg. Świadczy o tym wiele znaków, jakich ja i moje rodzeństwo doznaliśmy. Wciąż noszę w swym sercu dla nich moje ogromnej wdzięczności synowskie oddanie. Ich życie nie było łatwe, pełne trudu, trosk i wyrzeczeń, ale stworzyli dom pełen miłości. Dziękuję im za tę miłość, za życzliwość i ciepło serc, z czego korzystaliśmy nie tylko my, ich dzieci, ale i wiele osób.

Moją wdzięcznością ogarniam też mych braci: Janka i Staszka, oraz siostry: Alę i Henię, i dziękuję im za wspólnie przeżyte piękne lata naszego dzieciństwa i wczesnej młodości. Dziś wszyscy oni mają swoje rodziny, cieszą się swymi dziećmi i wnukami.

– Dziadek Józef Wiktorek (dziadka Józefa Parzycha nie pamiętam, wyjechał za chlebem za wielką wodę, tam odszedł nim ja przyszedłem – zmarł podczas operacji), pochodził z Łodzi, był synem Mateusza i Katarzyny. Nosił zawsze długie sumiaste wąsy, gęste i czarne, z wiekiem posiwiałe, jak i krzaczaste brwi nad ciągle śmiejącymi się oczami. Był dla nas, dzieci, nieprzebraną skarbnicą nie kończących się gawęd, legend, baśni, opowieści. W długie jesienne i zimowe wieczory często siadał na ławie przy ciepłym piecu, a my, mali chłopcy, sadowiliśmy się mu na kolanach, prosząc o bajki. Podkręcał wtedy sumiastego wąsa i zaczynał opowiadać o swym życiu, gdy był jeszcze młodym chłopakiem, potem jak ze strzelbą na polowania chodził (był zapalonym i zamiłowanym myśliwym, przed wojną organizował i prowadził polowania myśliwym z Ostrołęki, posiadał własną fuzję), o tajemniczych, pełnych niesamowitości i przygód wydarzeniach, związanych z naszą historią, naszą ziemią, wioską i rodziną, o podróżach dalekich, morzach ogromnych aż za horyzont sięgających, o rycerzach szlachetnych i zwykłych dobrych ludziach, potrafiących pokonać największe zło swą dobrocią, miłością, odwagą, o duchach pokutujących, o dobrym synu i złej macosze, królewnach, księżnicz-

kach, kopciuszkach i żebrakach, o kwiecie paproci zaczarowanym i o bohaterach, co zniewolonej ojczyźnie kajdany niewoli rozerwać pragnęli... A bąał dziadek Józef cudownie! Przepięknie potrafił prowadzić nas, małych chłopców, przez najciekawsze, zapierające dech w naszych dziecięcych piersiach, przygody. A dla wzmocnienia dramatyzmu opowiadanych zdarzeń, od czasu do czasu zawieszał głos i podkreślał od nowa sumiastego wąsa. I gdy dziadziś tak bąał i bąał siedząc z nami przy nagrzanym piecu, nasze wyobraźnie zaludniały się wspaniałymi rycerzami, kurpiowskimi bohaterami, duchami tych, co dawno już odeszli, to znów biegły przed stadem zgłodniałych wilków, atakujących pędzące księżycową mroźną nocą sanie, zagubione gdzieś w leśnej głuszy. Za oknem zaś, w rozległych konarach potężnego grabu, w sadzie i obocznym lesie, hulał zimny jesienny czy zimowy wiatr, świstał i stękał ciężko w kominie, to znów jęczał i wyrzekał boleśnie jak dusza pokutująca, aż za serce chwytalo, potęgując niesamowitość i grozę dziadkowych bąań. To znów huczał jak wzburzone morze, po którym płynęli bohaterowie z opowiadań. A w izbie ciepło było od pieca, przytulnie i tajemniczo, bo cienie bohaterów z niesamowitych opowieści po kątach się snuły, gdzie światółko kaganka lub naftowej lampy już nie docierało, gdzie księżyc sypał swą poświęatę przez okna do wnętrza izby, czyniąc wszystko jeszcze bardziej niesamowitym. Ci wszyscy bohaterowie wypełniali potem nasze sny, zapadali w najgłębsze pokłady pamięci, rozwijali naszą wrażliwość i świat wyobraźni.

Swym donośnym, czystym głosem pięknie też recytował ballady i znał ich chyba dużo z pamięci, bo czynił to dość często. Z jego pięknych recytacji zapamiętałem tylko zwrotkę końcową jednej z jego ulubionych, bo często recytowanej ballady:

*Więc gdym kresu już dogonił,
W cichej, miłej mej ustroni;
Ten dzwon, co na chrzest mój dzwonił
I na pogrzeb mój zadzwoni.*

Ale mijały nasze lata dziecięce i sny, pełne niesamowitości i tylu bohaterów z bąań dziadka Józefa. Przybiegł czas pierwszych młodzięńczych zauroczeń, zachwyków i zapatrzeń, pierwszych trzepotów

serca. Pierwsza też jesień poza domem rodzinnym, w Ostrołęce na stacji u państwa Marchlaków (przy ulicy Kościuszki, na pierwszym piętrze, nad sklepikiem pana Stanisława Wolińskiego), pierwsza jesień nauki w jednej z ostrołęckich szkół średnich, jesień tęsknoty nieprzebranej – z powodu rozłąki – za domem i najbliższymi, pierwsza jesień życia poza horyzontem wioski naszej – ale to jednak już kolejny tom wspomnień z mojego życia, tego poza wiejskiego. Tom fascynującego życia w pełni dorosłego mężczyzny.

Cieszył się też dziadek Józek dużym poważaniem w społeczności wiejskiej. Stąd często przez młodych chłopców – kawalerów – proszony był na raju (swatającego młode pary) i wiele szczęśliwych małżeństw skojarzył.

Miał z rodzeństwa siostry: Franciszkę Dymerską (żyła lat 90) i Stanisławę Gałązka (żyła lat 45, zmarła 31 października 1949 r.), obie mieszkały w Łodziskach, i pięciu braci: Konstantego, Adama, Jana, Władysława – wszyscy czterej wyjechali do USA w latach swej młodości i Ignacego (żył lat 76, zmarł 1 sierpnia 1975 r.), który z rodziną mieszkał w Kadzidle, prowadził z żoną Marianną z Gromadzkich (żyła lat 79, zmarła 8 lutego 1973 r.) niewielkie gospodarstwo rolne i był bractwem w tamtejszym kościele, cieszył się ogromnym szacunkiem wśród mieszkańców całej kadzidlańskiej osady i parafii.

Córka jednego z braci dziadka Józefa, Konstantego Wiktorka, Cecylia Wiktorek (urodzona w Binghamton, z męża Cermak) w okresie wojennym, w latach od 1943 do 1946, służyła w szeregach armii Stanów Zjednoczonych. Przez trzy miesiące przechodziła szkolenie na Florydzie, a następnie całe trzy lata spędziła w wielkim wojskowym szpitalu w Washington D. C. Miała – jak sama wspominała – wyznaczone ambulanse i nimi jeździła na lotniska po rannych amerykańskich żołnierzy, niejednokrotnie mocno okaleczonych, bez ramion, bez rąk i nóg, cierpiących, których z frontu przywożono samolotami. Jej wspomnienia pt. *W sercu mym Polskę noszę* były drukowane w piśmie „Kurpie” (nr 2 i 3/2008), wydawanym przez Zarząd Główny Związku Kurpiów w Ostrołęce.

– Babcia Róża Wiktorkowa z Szewczyków, żona Józefa, była zawołaną śpiewaczką. Znała wiele pieśni i piosenek „leśnych” (nabożnych też), jeszcze z czasów swej młodości oraz przyśpiewek ludowych. Śpiewała pięknym białym głosem na weselach, przyjęciach

rodzinnych i innych uroczystościach. Śpiewała też na naszym weselu, ku wielkiej radości wszystkich weselników.

Babcia Różia i dziadziuś Józek mieli dwie córki: Stanisławę Parzych – moją mamę i Bronisławę Mileńską oraz sześciu synów: Józefa (najstarszy, mój ojciec chrzestny, żołnierz AK w czasie okupacji), Adama (wywieziony na przymusowe roboty przez okupanta niemieckiego, po wojnie mieszkał w Elku i w Ostrołęce), Konstantego, Franciszka, Stanisława i Czesława (wspominam o nich w poprzednim rozdziale). Wszyscy już nie żyją.

Brat ojca babci Rózi w okresie niewoli zmuszony został przez zarobcę do pełnienia 25-letniej służby wojskowej w carskim wojsku, brał udział w wielu bitwach na wielu frontach. Po odbyciu służby (powrócił do rodziny do Durlasów na koniu i w mundurze) był już za stary na zakładanie własnej rodziny, dożywał przy rodzinie swego brata, opiekował się jego dziećmi (m.in. babcią Rózią gdy była mała), pomagał w pracach gospodarczych. Wspominała babcia Różia, jak jej opowiadał, że w czasie całej służby wojskowej codziennie śpiewał religijną pieśń *Kto się w opiekę odda Panu swemu...*, która chroniła go – w co głęboko wierzył – od wszelkich nieszczęść, a przecież w ciągu tych 25 lat wojskowej tułaczki na niejednym polu bitewnym swe ślady zostawił.

– Babcia Władzia Parzychowa z Gawrychowskich – cieszyła się szacunkiem rodziny i mieszkańców wioski. Znała się na wielu sprawach gospodarskich i poza gospodarskich. Tato choć gospodarzem był nad gospodarze, liczył się zawsze z jej zdaniem i nieraz ją o radę prosił. W latach swej młodości kończyła kursy przysposabiające do życia w rodzinie, do prowadzenia domu (jako gospodyni) i całego gospodarstwa. Była mistrzynią w rozpoznawaniu ziół wszelakich, rosnących na kurpiowskiej ziemi. Znała ich działanie w leczeniu, wiedziała, które na jaką chorobę stosować, kiedy je zbierać i jak suszyć, by były skuteczne w działaniu. Cały jej dom zawsze pięknie pachniał ziołami. Sama je zbierała od wiosny do jesieni, wysuszone wkładała w lniane woreczki (płótno robiła na krosnach). Z roślin dziko rosnących (komosa, szczaw, pokrzywa itp.) potrafiła też przyrządzać wiosenne (na przednówku) potrawy o dużych walorach smakowych i odżywczych. Była mistrzynią wypieku razowego chleba (o wielu różnych smakach z różnymi dodatkami) i przyrządzaniu

przeróżnych napitków z jagód jałowca, z suchego chleba, soku brzozy (oskoły), buraków, dzikich owoców. Pamiętam ją, jak wtulona w ciszę swojego domku (pokój z kuchnią i sienią), stojącego obok naszego starego domu, modliła się, klęcząc kornie przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i przed Chrystusem Ukrzyżowanym, rozpiętym na krzyżu pasyjki, stojącej na jej domowym ołtarzyku. Przekazywała im swe żarliwe podziękowania i prośby. Im też zawierzyła swój los, trud borykania się samotnie z życiem, z wieloma jego przeciwnościami, gdy po śmierci męża – a dziadka mojego, Józefa Parzycha, który za chlebem wyjechał do Ameryki i tam zmarł na operacyjnym stole – została z trojgiem małych jeszcze dzieci. Była pogodna jak blask zachodzącego słońca, a każdy kończący się dzień jej życia był zawsze jasny, choć trosk i trudu pełen. Lubiła pracować w polu. I pracowała z własnej woli. Ile mogła. Mówiła z uśmiechem, że na odpoczynek będzie miała wiele czasu po śmierci. I tak śmierć traktowała: jako przejście do wiecznego szczęścia i odpoczynku po pracowitym życiu. Odeszła na chwilę przed Bożym Narodzeniem, 22 grudnia 1974 roku, w wieku 96 lat, pogodna, wewnętrznie radosna, uśmiechająca się jakby z ulgą, że oto dopełnił się czas jej ziemskiej wędrówki, dźwigania samotnie przez to długie życie krzyża trudnego losu, że Boże Dzieciątko witać będzie już w niebie. W samą wigilię cała wieś szła z nią szerokim, jeszcze piaszczystym, gościńcem, odprowadzając do pożegnalnego wiejskiego, wówczas drewnianego, krzyża na początku wioski, z wysokości którego błogosławił ją i witał w nowym już życiu Ukrzyżowany.

Miała babcia Władzia siedmioro rodzeństwa. Dwóch braci: Władysław – oficer wojska polskiego w czasie I wojny światowej, zginął bez wieści na rozległych przestrzeniach Rosji w 1920 roku i Józef – w 1945 roku wywieziony przez NKWD w głąb Rosji, również zginął bez wieści, jak i trzech jego sąsiedzi razem z nim wywiezieni. Poza braćmi miała pięć siostr: Marię Antoszewską, Wiktorię Gawrychowską, Józefę Filipkowską, Bronisławę Antoszewską i jeszcze jedną, która wyjechała do Ameryki.

– Dwie ciotce, siostry taty: Jasia – zawsze dobrotliwa, serdeczna, przyjazna, przejęła po babci Władzi, swej matce, znajomość ziół i sposoby ich stosowania oraz Wiktoria (Wikcia) – moja matka chrzestna, niewysokiego wzrostu, szczupłutka, filigranowa, ciągle w ruchu, ma-

jąca coś do zrobienia, do pilnowania, załatwienia. Jej oczy zawsze były pogodne, z wyrozumiałością patrzące na świat, na toczące się życie i na nasze dziecięce psoty i dokazywania. Była osobą wprost anielskiej cierpliwości i dobroci, wносиła w nasze rodzinne życie wiele światła i ciepła. Jej głęboka, żarliwa wiara w latach jej młodości stała się cudownym ratunkiem od niechybnej śmierci. Po ciężkiej i skomplikowanej oraz kosztownej operacji na głowę, przeprowadzonej w warszawskim szpitalu, jej życiu nadal zagrażało realne niebezpieczeństwo i właściwie dalszego ratunku praktycznie nie było, a ból potęgował się. Wówczas swe życie i cierpienie zawierzyła Matce Boskiej Dąbrowskiej (słynącej cudami na terenie całej Kurpiowszczyzny). Jej prośby zostały pewnego dnia wysłuchane. Podczas głębokiego snu, w jaki zapadła po żarliwej modlitwie, miała dziwne spotkanie... A gdy po kilku godzinach się przebudziła, nie czuła już ani bólu, ani cierpienia. Była rześka, wypoczęta, pełna radości życia. Choroba w cudowny i nagły sposób zakończyła się, a ciocia w zdrowiu dożyła 93 lat. Spoczęła ze swą mamą, Władysławą, i siostrą Jasią (też dożyła 93 lat) na ostrołęckim cmentarzu parafialnym. W dniu jej pogrzebu było szaro i smutno. W powietrzu unosił się delikatny, mgielny pył. Niebo od rana przysłaniały ciężkie, ciemne chmury. I kiedy ksiądz poświęcił trumnę i sypnął na nią garść piasku, gdy już kończono śpiewać *Anioł Pański* i za chwilę miano spuścić ją do grobu... wtedy stało się coś niezwykłego. Ciężkie, ciemne chmury jakby uniosły się ku górze, nabrały jaśniejszej barwy i rozsunęły się na zachodnich rubieżach nieba, tworząc niewielką szczelinę, przez którą błysnął promień stojącego już hen za Narwią, nisko nad horyzontem słońca. Przez moment otulił on trumnę jasną smugą światła, łącząc ją z niebem, by za chwilę skryć się za gardą ponownie połączonych chmur.

– Wiktor Parzych – pradziadek po mieczu – znam go tylko z rodzinnych przekazów i wspomnień o nim najstarszych mieszkańców Durlasów, przekazywanych w rozmowach mojemu tacie. Myślę, że trzeba tu o nim wspomnieć, jako że był najlepszym gospodarzem we wsi i okolicy w tamtym czasie, do pracy na roli miał dobre pociągowe konie oraz inne, lekkie i szybkie, ze specjalnie zdobioną uprzężą i wolantem wyłącznie tylko do wyjazdów do kościoła, z chrzcinami (miał 56 chrześniaków we wsi i okolicy!), weselami (jako „raj” zeswatał wiele par), po księdza na kolędę i do chorych. W 1920 roku na-

karmił i napoił bolszewickich żołnierzy, zgodnie z ich życzeniem, gdy z sołtysem wsi przyszli do jego domu jako najlepszego gospodarza, żądając „charaszo pokuszat”, nie chciał jednak dla ich uciechy oddać – już nakarmionym i podpitym – w ich ręce swej żony i zdradzić miejsca, gdzie się przed nimi ukryła. Zmaltretowany i zbity przez nich do utraty zmysłów, nigdy już ich i pełni zdrowia nie odzyskał, jak też i sił fizycznych. A gospodarstwo podupadało i szło w ruinę, dopóki nie przybył tu z matką i siostrami i nie przejął gospodarstwa 19-letni wówczas jego wnuk a mój ojciec, gdyż synowie Wiktora, Antoni i Józef, byli w Ameryce za chlebem.

– Jan Gawrychowski – pradziadek po kądzieli (ojciec babci Władzi Parzychowej) to również postać godna wspomnienia, znana mi z przekazów rodzinnych. Wspominał go także Adam Wojciechowski z Wojciechowic, z którego ojcem, też Adamem, pracował. Pochodził ze Stanisławowa, majątek swój posiadał w Łęgu Starościńskim. Był, jak na tamte czasy, człowiekiem bardzo światłym, posiadającym stosowne wykształcenie. Przez wiele lat zasiadał w sądzie gminnym w Ostrołęce jako ławnik. Pod nieobecność sędziego – właśnie Adama Wojciechowskiego – upoważniony był do prowadzenia bieżących spraw gminnych. Później nabył majątek w Filipkach koło Lachowa i tam przeniósł się z rodziną. Tam też zamieszkała jego córka, moja babcia Władzia Parzychowa z dziećmi, gdy jej mąż Józef wyjechał, tak jak wielu, za chlebem do Ameryki i tam nagle zachorował i zmarł na stole operacyjnym. A gdy w 1920 roku bolszewiccy żołdaci zbili Wiktora Parzycha (ojca mojego dziadka Józefa a mojego pradziadka, teścia babci Władzi, o którym wyżej wspominam) do utraty zmysłów i trwałej utraty zdrowia, a gospodarstwo, które prowadził w Durlasach, zaczęło chylić się ku ruinie, babcia Władzia z córkami: Wiktorią i Janiną oraz synem Czesławem przyjechała do Durlasów. Czesław, 19-letni wówczas chłopiec, jako jedyny mężczyzna, przejął gospodarstwo po dziadku Wiktorze i całe życie już na nim włodarzył.

Dom nasz, wieś cała, żyła w rytmie pór roku, w rytmie gwiazd i faz księżyca, wschodów i zachodów słońca. Zgodnie z cyklami natury. Gdy ona przygotowywała się do odpoczynku i zasypiała zimowym snem, wioska też zwalniała swój rytm życia. A gdy wiosenne słońce zaczęło mocniej przygrzewać i natura odradzała się w radosnym pulsowaniu życia, wioska również przyśpieszała rytm swego życia i pracy.

Dzień dla mieszkańców Durlasów rozpoczynał się z chwilą, gdy budziły się pierwsze brzaski a kończył, gdy dawno pogasły po zachodzie słońca. Wypełniony był znojną, ciężką pracą, by ziemia piaszczysta rodzić mogła w miarę dobre plony. Z perspektywy minionego czasu wydaje mi się, że tamto życie wsi, mimo ciężkiej pracy, było bardzo pogodne a mieszkańcy nawzajem sobie życzliwi, uśmiechnięci, radośni, skromni i pełni godności. Oczywiście, że w natłoku stale piętrzącej się pracy, w codziennej trudnej walce o byt, ten i ów czasem zaklął siarczyście, aż kobyła uszy tuliła a pies przerażony, skomląc, do budy uciekał, czasem żonę obrugał i dzieci, nawet na sąsiada warknął. W zasadzie jednak ludzie starali się żyć w zgodzie z boskimi i kościelnymi przykazaniami.

Przestrzeń wioski otaczał las. Piękny durlaski bór. Zamykał on również linię horyzontu, za którą zapadało słońce. Jako dzieci ciekawu byliśmy tego dalekiego horyzontu, tajemnic za nim ukrytych... Mieśliśmy ogromne pragnienie poznania tego miejsca. A gdy jechaliśmy rozległą przestrzenią łąk na koniach, by pławić je w strudze, horyzont ten dziwnie przesuwiał się przed nami gdzieś w nieokreśloną dal i nigdy nie mogliśmy dotrzeć do jego tajemnic. Dziś widzę to uciekanie horyzontu jako najpiękniejszą metaforę ludzkiego losu, naszego przez

ziemię wędrowania: zapadania za nim – horyzontem – wraz ze słońcem dni dzieciństwa, młodości, doczesności całej. A gdy w końcu stajemy na linii tego horyzontu – dotykamy nieba – i dopełnia się tajemnica życia.

Ten las, dotykający skrzydłem naszej zagrody, stanowił moją chłopięcą, prywatną świetlicę. Często wchodziłem w gąszcz jałowców, sosen i świerków oraz leśnej krzewiny. Kładłem się na zielonym dywanie mchu lub wonnych miodem wrzosach, wśród wysokich paproci, i wpatrzony w wysoki błękit nieba, słuchałem prastarej pieśni puszczy, wiatru kołysanek rzewnych..., a chłopięce serce chwytало ten śpiew...

Przez wieś prowadził piaszczysty, szeroki i wygodny gościniec. Po obu jego stronach, tuż za starymi rowami, obsiadły go wiekowe wierzby. Miały ciągle poczochrane wiatrem czupryny, sypały fosforyzującym próchnem. Były to wierne strażniczki spokoju i ciszy gościńca, rytmu wiejskiego życia. Bo wieś miała właśnie swój własny rytm, wyznaczany porami roku i długością dni. W ogóle natura w codziennym życiu Durlasów była wszechobecna. Była dobrodziejstwem i zagrożeniem. Dobrodziejstwem, bo za pracę żmudną, obfitością plonów wynagradzała. Zagrożeniem – bo burzą, gradem, ogniem, wiatrem i wodą – wszelkim żywiołem – niejednokrotnie dorobek życia całego zniszczyć potrafiła. Toteż wieś często i żarliwie oddawała się opiece Stwórcy i Bożej Matce, by ochronili od złych mocy, nieszczęść i żywiołów owoce pracy jej mieszkańców. I choć rolnik ciągle zmaga się z trudami życia, z wieloma przeciwnościami losu, to jego praca, jego zawód jest – uważam – najwspanialszy ze wszystkich zawodów. Bo uprawa ziemi to przecież ciągła współpraca ze Stwórcą, odkrywanie wciąż na nowo i uczestniczenie w tajemnicy życia: narodzin, wzrastania, dojrzewania, pomnażania...

Świat wiejski wypełniony był dla mnie znanymi obrazami, przesycony zapachami. Innymi wiosną, innymi latem, jesienią czy zimą.

Wiosna – burzą się soki w przebudzonych drzewach i krew w ludzkich żyłach się burzy, skowronek nad polem, trzmiel i pszczoła nad kwiatem. Ta pora odradzania się życia – w moich wspomnieniach – łączy się nierozdzielnie z Wielkanocą, poprzedzoną siedmiodniowym postem, rozpoczynającym się, po okresie karnawału, Środą Popielcową i posypaniem przez kapłana głowy popiołem na

znak skruchy i przypomnienia, że „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Post to czas odnajdywania własnego krzyża, wpisanego w nasze życie. Czas rozważnego spojrzenia na swe uczynki, rozliczenia się z sumieniem. Popielec właśnie nieco rozbawione życie z czasu karnawału do wstrzemięźliwości przywracał, muzykę, tańce i wszelkie swawole odrzucić nakazywał. Milkły wówczas wszelkie radosne dzwoneczki i pieśni świeckie (tzw. leśne), ustępując miejsca nabożnym, smutnym w treści i melodii. Śpiewano też *Gorzkie Żale*, rozpamiętując Mękę Pańską. W kościele parafialnym w Ostrołęce pod koniec tego okresu odbywały się zawsze rekolekcje postne, podczas których społeczność naszej wioski i całej parafii w geście pokutnym padała na kolana, przy konfesjonałach oczyszczała się z nagromadzonych grzechów i przystępowała do Komunii świętej. Ostatni tydzień postu, rozpoczynający się Niedzielą Kwietną, czyli Palmową, to Wielki Tydzień. Zarówno mama, jak i wszystkie gospodynie we wsi, przeznaczały go na robienie świątecznych (wiosennych) porządków: bielono mieszkania, czyszczono i szorowano, prano i sprzątano, rezerwując ostatnie dni Wielkiego Tygodnia na przyrządzanie świątecznych potraw i strojenie izby, oraz – w miarę możliwości – uczestniczenie w nabożeństwach wielkotygodniowych. Na suficie rozwieszano bibułkowe, różnokolorowe pająki oraz misterne, robione z grochu, nici i bibuły, kierce. Pasyjkę, figurkę Matki Boskiej i obrazy ozdabiano bukietami kolorowych kwiatów i lełujami. Wszystko to mama wyrabiała sama wieczorami. Tak też czyniły i inne gospodynie.

Bardzo ważnym dniem Wielkiego Tygodnia był dzień śmierci Jezusa na krzyżu – Wielki Piątek. Obowiązywał wszystkich ścisły post. Głównym akcentem tego dnia była w naszej wiosce Droga Krzyżowa, nasze wiejskie przeżywanie Golgoty i Ukrzyżowania, misterium męki i cierpienia, dźwiganie własnego krzyża, pokonywanie własnych słabości, gromadzenie sił do przewyciężenia zwątpienia, zubożnienia, nieprawości. Udział w niej był również czasem zadumania się, refleksji nad istotą życia, jego sensem, chwilą tęsknoty za pogubionymi gdzieś po drodze cząsteczkami dobra...

Oto gdy nastawał wieczór, wszyscy, którzy mogli wziąć udział w tym misterium, gromadzili się pod krzyżem stojącym przy końcu wioski na posesji Józefa Marzewskiego („Po Jakubie”). Zapalano laski, świece i łuczywa, przygotowane przez chłopców z żywicznych

drzazg sosnowych i świerkowych. Przy ich świetle szła procesja przez wieś, śpiewając – pod przewodnictwem śpiewaków, tych samych, którzy i na pogrzebach w śpiewaniu prym wiedli – postne pieśni. Przy każdej figurze (krzyżu czy kapliczce) stojącej przy gościńcu, obok zagród, zatrzymywano się na krótką modlitwę i trzykrotne odśpiewanie „Któryś za nas cierpiał rany...” gdy był to krzyż albo figura Pana Jezusa, oraz „I ty, któraś współ bolała, coś pod krzyżem syna stała...” – gdy była to figura Matki Boskiej. Tak zatrzymywano się i przy naszym domu przed kapliczką z Matką Boską w środku, której figurkę przywiozła mama z Pensylwanii, ofiarowaną jako wotum przez brata Janka i bratową Marysię, gdy około 1960 roku była u nich w odwiedzinach. Zakończenie Drogi Krzyżowej odbywało się przy kapliczce z figurą Matki Boskiej Durlaskiej, stojącej w lesie na rozstaju dróg. Tam rozpalano ognisko (do którego my, chłopcy, zbieraliśmy chrust i suche gałęzie), a mieszkańcy Durlasów i sąsiednich, obok położonych wiosek (Jeglijny, Przewrotna Góra, Gnaty, kolonia Białobieli i Łęgu), otaczając kołem kapliczkę wraz z płonącym przed nią ogniskiem, śpiewali *Gorzkie Żale*. Potem jeszcze kilka pieśni postnych i na zakończenie *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Przed rozejściem się do domów oddawano pokłon figurze Matki Boskiej z kapliczki, prosząc o opiekę i wsparcie.

Figura Matki Boskiej Durlaskiej ma swoją długą i ciekawą historię.

Ustne przekazy rodzinne we wsi Durlasy podają, że sięga ona swym początkiem okresu Powstania Styczniowego lub jeszcze wcześniejszego. Kapliczka stała przy rozstaju dróg, w pięknym kurpiowskim borze, pod wsią Durlasy, Figura Matki Boskiej, od nazwy wioski Durlaską nazywanej (wyrzeźbiona w drewnie przez nieznanego z imienia i nazwiska kurpiowskiego twórcę ludowego, ma około 90 centymetrów wysokości i ruchome obie ręce) strzegła tej ziemi i wskazywała właściwą drogę wędrującym przez Durlaskie Bory Kurpiom, kornie chylącym przed nią głowy. Często, idąc z rozległych puszczańskich wiosek do Ostrołki, odpoczywali pod jej opieką w cieniu kapliczki, prosili o pomoc w pokonywaniu codziennych przeciwności losu. Iluż to Puszczakom, utrudzonym życiem i podróżą, przyniosła wsparcie, otuchę do ich serc wlała, ile nadziei przekazała i pocieszenia na dalszą drogę życia? Tylko ona wie ilu strapionych pocieszyła, ilu przywróciła radość, wzmocniła nadzieję.



12 grudnia 2008 roku. Spotkanie u prezydenta Ostrołęki Janusza Kotowskiego z okazji 70. rocznicy urodzin Czesława oraz malarki i pisarki Haliny Roszkowskiej.
Od lewej: wiceprezydent Grzegorz Płocha, Halina Roszkowska, prezes TPO Jadwiga Nowicka, prezydent Janusz Kotowski, naczelnik Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki UM Agata Sosińska, Czesław Parzych



16 maja 2009 roku. Wnuczka Czesława, Oleńka, na ręku proboszcza kościoła pw. św. Franciszka z Asyżu, ks. kan. Witolda Kamińskiego, w dniu I Komunii św. jej starszego brata Maciusia



25 grudnia 2013 roku. Czesław z najmłodszą wnuczką Oleńką



11 kwietnia 2010 roku. Osiemnasta rocznica urodzin najstarszej wnuczki Martusi.
Od lewej: Leszek z synkiem Frankiem, Marta, Sabina, Anita, Kuba, Adam, Martusia, Oleńka,
Izabela, Maciuś, Paweł, Jolanta, Ewa, Danuta, Czesław



11 kwietnia 2010 roku. Urodziny
najstarszej wnuczki Martusi



25 kwietnia 2015 roku. Córka Czesława,
Ewa, ze swym 14-letnim synem Maciu-
siem



19 maja 2012 roku. I Komunia św. Oleńki – najmłodszej wnuczki Czesława. Od lewej:
proboszcz kościoła pw. św. Franciszka z Asyżu ks. kan. Witold Kamiński, Oleńka, jej brat
Maciuś, ks. katecheta, Ewa – mama Oleńki i Maciusia



3 grudnia 2015 roku. Miejska Biblioteka Publiczna „Arka” – promocja książki Leopolda Szwedowskiego pt. *Krew i tży. Czas wojny 1939–45 w poezji Czesława Parzycha*.
W pierwszym rzędzie od lewej: Czesław Parzych, Leopold Szwedowski, Zdzisław Załuska,
Maria Dłuska z mężem Kazimierzem, Mieczysław Romanik



28 października 2015 roku. W Durlasach, trzech bracia na ojcowiznie. Od lewej: Czesław, Jan (mieszka w USA), Staszek, który przejął gospodarstwo po rodzicach i z synem Michała i jego rodziną prowadzi je wzorowo, oraz Staszka wnuki, Kuba (niższy) i Filip



1 września 2011 roku. Oleńka i Maciuś w dniu rozpoczęcia roku szkolnego



27 kwietnia 2007 roku. Danusia i Czesław z wnuczką Martusią w dniu jej bierzmowania



Lato 1985 roku. Majówka nad Narwią w Rybakach. Czesław gra na akordeonie



8 października 2000 roku. Danusia i Czesław z wnukami: Martusią i Maciusiem (w wózku) na spacerze w lesie pod Durlasami „Na Podwału”



16 czerwca 1996 roku. Przekaz pokoleń. Czesław senior (ojciec Czesława juniora)
z prawnuczką Martusią



11 listopada 2014 roku. Święto Niepodległości. Prezydent Ostrołęki Janusz Kotowski
wręcza Czesławowi odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej” i takąż Alfredowi
Sierżputowskiemu. Prezes Jadwiga Nowicka (w środku) uhonorowana medalem
„Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”



26 lipca 1992 roku. Tato Czesław ze swoimi dziećmi w odwiedzinach u mamy Stasi.
Od lewej: Czesiek, Staszek, Jaśko, tato Czesław, Zosia



21 listopada 1980 roku. Ślub Danusi i Czesława. Stoją ich drużbowie:
Mirosława i Zdzisław Wenereusze

Prawdopodobnie kapliczka była jednym ze znaków rozpoznawczych i miejscem tajnych spotkań dla kurierów i powstańców w okresie powstania styczniowego, którzy tu, w Puszczy Zielonej, przelewali krew i znajdowali schronienie dla swych oddziałów.

Mijał czas, mijały lata. Drewniana kapliczka uległa naturalnemu zniszczeniu. Dzieła zniszczenia dopełniły przeciągające tędy wielokrotnie wojska zaborcze w czasie I wojny światowej (wspominała Zofia Parzych, żona Józefa – gajowego, wówczas kilkuletnia dziewczynka). Figurę Matki Boskiej zabezpieczono przed uszkodzeniem i umieszczono na strychu domu w Jeglinach, stojącego na kolonii, w pobliżu kapliczki, opiekując się nią we właściwy sposób, z głębokim szacunkiem. Jednak trudny czas, duże zniszczenia wojenne i niedostatek materialny ludności sprawiły, że lata mijały a odbudowa kapliczki odciągała się. Figura Matki Boskiej wciąż nie miała swego domku.

Pewnej nocy roku 1933 (opowiadała mi to wydarzenie moja mama Stanisława Parzych, ciocia Wiktoria Parzych, ciocia Janina Parzych oraz Zofia Parzych i inne niewiasty z naszej wioski) w jednej z kurpiowskich wiosek, głęboko w Zielonej Puszczy położonej (okolicie Myszyńca), mieszkająca tam 40-letnia pobożna niewiasta o imieniu Rozalia, w panińskim stanie żyjąca, miała dziwny sen. Otóż przyszła do niej niezwyklej urody pani, wyjaśniła kim jest i żałąc się, że została zapomniana prosiła, by Rozalia przypomniała o niej, aby znów mogła znaleźć się na rozstaju leśnych dróg, gdzie stała tyle lat.

Rozalia nigdy dotychczas nie słyszała o istnieniu tej figury, nie była też nigdy w wiosce Durlasy ani okolicznych wioskach, oddalonych od jej domu o kilkadziesiąt kilometrów, nie znała nikogo z ich mieszkańców. Jako osoba wielce pobożna postanowiła spełnić wolę nieznanej pani. Na podstawie uzyskanych od niej we śnie informacji, pytając ludzi, odnalazła wskazane miejsce, a w okazanej jej figurze Matki Boskiej z największym zdumieniem i radością rozpoznała panią ze snu: miała te same piękne rysy twarzy, takie same szaty na sobie i takąż na głowie koronę.

Wydarzenie to szerokim echem odbiło się po okolicy i całej kurpiowskiej ziemi. Bardzo szybko wybudowano nową, drewnianą kapliczkę. Uroczystego poświęcenia i ustawienia w jej wnętrzu figury Matki Boskiej Durlaskiej, ubranej w śliczne szaty, dokonał ówczesny

proboszcz ostrołęckiej parafii, ksiądz Edmund Walter (zamordowany w obozie koncentracyjnym w maju 1942 r.). Na uroczystość – jak wspominała moja mama, wówczas piętnastoletnia panienka, oraz ciocia Wikcia i Jasia, Zofia Parzychowa, Rozalia Wiktorkowa, Marianna Chrostkowa i inne mieszkanki Durlasów – przybyło bardzo dużo ludzi z okolicznych i dalszych wiosek, od Kadzidła i Myszyńca, z Ostrołęki. Wierny lud kurpiowski upatrywał w całym tym wydarzeniu działania siły Bożej i gromadnie pielgrzymował do Matki Boskiej Durlaskiej, prosząc dla siebie o jej łaski, o matczyną pomoc i opiekę. A ona wyciągniętymi przed siebie rękami błogosławiła kurpiowskim wioskom, polom i lasom, każdemu, kto przed nią stanął. I wciąż tak czyni, stojąc od kilkunastu lat w pięknej, nowej kapliczce, zbudowanej na miejscu poprzedniej.

Jeszcze jeden piękny akcent – znak, związany z Matką Boską Durlaską, przewijał się w opowiadaniach – wspominkach kilku starszych osób – mieszkańców Durlasów, gdy przed kilku dziesiątkami lat rozmawiałem z nimi na ten temat. Otóż tajemnicą par zakochanych miało być poszukiwanie u Matki Boskiej Durlaskiej znaków na szczęśliwą przyszłość ich przyszłego małżeństwa. Otrzymać je jednak mogli jedynie w miesiącu maju, po nabożeństwie majowym, śpiewanym wieczorami przy kapliczce przez mieszkańców Durlasów i sąsiednich wiosek. Gdy wierni już rozeszli się do domów, wówczas młodzi zakochani podchodzili do kapliczki, kładli przyniesione Matce Boskiej kwiaty i klękali przed jej figurą, odmawiając w ciszy krótką modlitwę (*Pod Twoją obronę* lub dziesiątek różańca czy też *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Mario*). Podczas modlitwy otrzymywali znak: stuknięcie w kapliczkę, jakieś skrzypnięcie drzewa, odezwanie się czy też przelot lub poderwanie się spłoszonego nagle ptaka – wszystko to były znaki pozytywne dla ich miłości i przyszłego małżeństwa. Gdy jednak w czasie ich modlitwy nie otrzymali żadnego znaku, winni byli dokładnie przemyśleć swe zamiary i zastanowić się nad swymi uczuciami, lub z pokorą i nadzieją poczekać do przyszłego maja, bo możliwe to było tylko w miesiącu maryjnym – maju i tylko raz danego roku. Jeżeli nadal byli wierni sobie i stali w swych uczuciach, z pokorą i nadzieją czekali do przyszłego maja, a ich miłość nie tylko przetrwała, ale i okrzepła przez ten rok, próba ich uczuć mogła być wynagrodzona znakiem, świadczącym, że ich związek będzie trwał i szczęśliwy.

Od czasu wybudowania kapliczki i ustawienia w niej figury Matki Boskiej Durlaskiej, znów jak dawniej, modlono się pod kapliczką. W majowe wieczory gromadzili się tu wierni z Durlasów, Jegliń, Przewrotnej Góry, Gnatów, Łęgów, Białobieli i innych okolicznych wiosek, śpiewali nabożeństwa majowe, Maryi poświęcone. Aż nadszedł wrzesień 1939 roku. Nastały lata niewoli i poniewierki. Matce Boskiej Durlaskiej opadły ręce. Stała smutna, jakby bezradna wobec bezmiaru zła, jakie niósł okupant. On też przeciwny był gromadzeniu się wiernych w lesie, przed jej obliczem, dopatrując się w tym konspiracyjnej działalności. A po wojnie zmieniły się drogi i warunki podróży, coraz mniej ludzi szło tedy pieszo z kurpiowskich wiosek do Ostrołęki. Nie wróciła też dawna tradycja zbiorowego modlenia się w tym miejscu. Tylko idący do miasta na targ lub do kościoła mieszkańcy wsi Durlasy przyklękali tu na krótką modlitwę, a niewiasty i dziewczęta wracając z kościoła, lub przychodząc tu w niedzielne popołudnia, stroiły figurę i całą kapliczkę polnym i leśnym kwiatem. Nadal jednak została zachowana w okresie postu – do czasu pobudowania kościoła parafialnego w Lelisie – wielkopiątkowa tradycja kończenia naszej wiejskiej Drogi Krzyżowej u stóp Matki Boskiej Durlaskiej.

Durlasy miały też swoje „Święte Drzewo” – starą sosnę – z rodzajem szczególnej kapliczki. Stało ono na skraju lasu, przy drodze (obecnej szosie) z Ostrołęki do Durlasów, w pobliżu wyżej przedstawionej kapliczki Matki Boskiej Durlaskiej, naprzeciw domostwa Mierzejewskich z Jegliń. Sosna była potężna, pamiętała dawne dzieje puszczy, a kapliczka była o tyle szczególna, że mieściła się w dziupli, stanowiącej niegdyś barć pszczelą. W tej właśnie dziupli – kapliczce stała figurka Anioła Stróża. Kto ją tam ustawił i kiedy, nikt nie pamięta. Prawdopodobnie uczynił to ktoś z rodziny Mierzejewskich, mieszkających najbliżej tego miejsca. Tradycja głosi, że drzew takich – pod groźbą ciężkiego grzechu i kary Bożej – nie wolno ścinać, nawet gdy uschną. Człowieka, który by się na to ważył, spotka nieszczęście lub śmierć. Dorodna i potężna sosna, naznaczona symbolem wiary, zdecydowanie wyróżniała się na tle odmłodzonego już dzisiaj lasu. Ustny przekaz podaje, że władze carskie, nieprzychylne wszelkim przejawom religijności Polaków, w czasie zaborów nakazały ścięcie sosny, lecz nikt z miejscowej ludności nie chciał tego uczynić, nawet

za sówitą zapłatą. Wynajęto więc za wódkę rosyjskich robotników. Ci z zapalem przystąpili do piłowania sosny, lecz szybko z lękiem i przestachem opuścili to miejsce. A sosna z Aniołem Stróżem wciąż stała dumnie, wysoka i wysmukła, potężna władczyni durlaskiego boru. Przechodzący obok ludzie skłaniali przed nią głowy i prosili w swych modlitwach i westchnieniach Anioła Stróża o opiekę. Ale czas zrobił swoje. Z wiekiem powoli usychały konar za konarem. Długo stawiała czoło, choć była coraz słabsza. Stareńkie korzenie i pień coraz trudniej, coraz wolniej i mniej podawały odżywczych soków. Któregoś roku usechł ostatni konar, odpadać zaczęła kora, aż w końcu dokonał się w niej cały dramat przemijania – stanęła obnażona z zielonej szaty i kory, wciąż potężna w swym fizycznym kształcie, ale już bezsilna wobec Bożych praw natury. Wreszcie, w 1994 roku, przyszła noc z burzą i wichurą, które zmogły ją, powalając w młodnikowy gąszcz sosen – jej praprawnuczek.

Tak kończył się wielki post i nadchodził radosny okres świąt Wielkanocnych. Miały one zawsze w sobie tyle wiosny, odradzania się życia i życia odrodzonego. Jakież cudowne złączenie symbolu Chrystusowego Zmartwychwstania z odradzającą się naturą, przejście z umartwień i rekolekcji wielkopostnych, pokuty i żalu, do radości, do wesołego Alleluja! Ludzie uprzętały stare, zimowe śmieci, wymiatali ze swych domów wszystkie zimowe brudy, a ze swych serc i sumień wszystkie stare kwasy, waśnie, nieporozumienia i grzechy, nieśli je z pokorą i skrucą Ukrzyżowanemu, prosząc o przebaczenie.

W pierwszy dzień Wielkanocy, od świtu, każdy, kto mógł, brał udział w rezurekcji. Gospodarze jechali furmankami, kawalerka rowerami, pozostali szli pieszo. Rezurekcyjne dzwony ostrołęckiego kościoła farnego oznajmiały radosną wieść Zmartwychwstania Pańskiego, niosły ją po mieście, po rozległej kurpiowskiej równinie, poprzez łąki, pola i lasy do wszystkich wiosek i osad. A zgromadzony w świątyni lud potężnym głosem intonował: „Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał. Alleluja, Alleluja!”. I wtedy prostowały się spracowane ludzkie plecy, twarze napełniały się blaskiem wiary, potężniejącej w sercach nadziei. Zmartwychwstanie! Odrodzenie się każdego, oczyszczenie z szarości, z przygnębienia. W tym rozmodleniu i odrodzeniu, z głęboką wiarą szedł lud radosny w procesji rezurekcyjnej, na czele której ksiądz proboszcz pod baldachimem

ze Zmartwychwstałym Chrystusem w Hostii ukrytym, dziewczynki w bieli sypią przed nim kwiaty, ministranci z dzwoneczkami, zapach kadzideł, feretrony, wystrzały z korkowców na wiwat, na radosne przeżywanie... A po nabożeństwie każdy, jak tylko mógł najszybciej, spieszył do domu, starając się innych wyprzedzić. Ścigano się więc rowerami, furmanki pędziły pełnym koni galopem, aż piach gościńca, przesypując się przez drewniane szprychy kół „żelaznych” wówczas wozów, wzbijał się za nimi tumanami kurzu. Pierwszeństwo w tych wyścigach miało przynieść pomyślność w domu i gospodarstwie oraz dostatek i obfite plony w polu. Stąd wynikała potrzeba tego pośpiechu. A w domu, tuż przed rozpoczęciem wielkanocnego śniadania, jajkiem święconym się dzielono, kawałkiem kiełbasy, chlebem i solą, życząc sobie nawzajem, by w zdrowiu, radości i pomyślności rok mijał oraz w nadziei, że może skończą się drogi krzyżowe, zmartwienia i udręczenia wszelakie. – Szkoda tych ludzi – mówiła mama, ogarniając nas swoją radością przy świątecznym śniadaniu – którzy w Wielkanoc są smutni, którym zabrakło wiary i nadziei, że On Zmartwychwstał. My też zmartwychwstaniemy – tłumaczyła nam, dzieciom, z głęboką wiarą. – Będzie wiosna i kwiaty, będzie słońce i błękitne niebo, lato i zboża dojrzewanie. Będziemy weseli jak wielkanocny dzień, jak wielkanocne pieśni...

W drugi dzień świąt chrześniaki – mali chłopcy i dziewczęta – szli do swych rodziców chrzestnych po „wykup”, polewając ich ręce wodą zaczerpniętą z wiadra lub z sobą w butelce przyniesioną. Otrzymywali w wykupie jajka, słodycze i pieniądze. A dziatwa i młodzież urządzali śmigus-dyngus. Oblewano się sikawkami, wiadrami, butelkami pełnymi wody. Głównie chłopcy zaczajali się gdzieś za węglem domu czy drzewem i oblewali dziewczęta, które z piskiem (radości!) i śmiechem uciekały, i kryły się po chatach lub zebrawszy się w większą gromadkę, odwodziły się chłopakom tym samym.

Wesołości przy tym było co nie miara.

I tak szedł przez wioskę powiew nowych sił i nowej krzepiącej nadziei. Ziemię całą i wszystkich ludzi ogarniała wiosenna radość życia. Wiosna biegła przez rozradowane nią serca wszystkich mieszkańców wioski. Po długiej ciszy zimowej powietrze napełniało się radosnym szumem, szmerami przeróżnymi. Zwiastowały ją przeloty dzikiego ptactwa, powracającego do swych gniazd, na swe miejsca

lęgowe w Zembracie, Kulisze, Okręgisz i innych śródleśnych jeziorach, torfowiskach i bagnach. Codziennie w przejrzystym błękitie bezchmurnego nieba płynęły klucze dzikich kaczek, rozlegał się powitalny klangor żurawi i radosny krzyk dzikich gęsi. Na opuszczonych jesienią gniazdach znów stanęły bocianie pary, a po wiosce i okolicy niesło się echo ich klekotu. Za ptactwem ciągnął ciepły, kwietniowy wiatr, pachnący świeżym, radosnym powiewem, wiosennym niepokojem i nadzieją. Rozwiewał nagromadzoną gorycz i smutek, pędził przed sobą stada puszystych obłoków i kłębiastych chmur, z których obfite deszcze splukiwały z ziemi resztki zimy. Ze stopionego śniegu i lodu wzbierała woda w sadzawce i rozlewała się szeroko po całym lasku – gaiku, gdzie rosły maliny i poziomki, kalina i czeremcha – jej zapach niósł się po całej okolicy i po izbie naszej: jej gałązkami mama stroiła cały nasz dom. Drzewa i krzewy, rozbudzone wiosny westchnieniem, nabrzmiewały krążącymi w nich sokami, osypywały się delikatną, szaro-zieloną mgiełką, przechodzącą w coraz bardziej intensywną zieleń młodych listków. Aż nadszedł maj. Cała natura zamieniła się w jedną potężną euforię życia. Odradzającego się życia i pracy. Wieczory przepełnione żabimi koncertami, kukulczym kukiem na szczęście i radosnym wrzaskiem ptasiego świergotu, pachnące przyjemnym wiosennym chłodem ciągnącym od pól, zmieszanym z zapachem kwitnących jabłoni. I śpiewaniem Litanii Loretańskiej do Matki Boskiej przed przydrożnymi kapliczkami, umajonymi gałązkami wiosennej zieleni. Kobiety i mężczyźni, dziewczęta, chłopcy i dzieci – wszyscy pobożnie skupieni u stóp Orędowniczki, rozjaśnieni światłem modlitwy na tle niewygasłych jeszcze blasków kończącego się dnia. Płynie szczerą, serdeczną pieśń modlitwy, wieczorne echo niesie ją po okolicy, zlewa z zalotnym śpiewem ptaków w obocznym lesie, w sadach i pobliskim gaju. Z głębi wieczoru znów kukulcze kukiem. Na szarzejącym niebie rozsypały się już gwiazdy, a u stóp Orędowniczki jeszcze *Chwalcie łąki umajone* i na zakończenie *Wszystkie nasze dzienne sprawy* i...

...Matko – to dla Ciebie wszystko!

...Matko – Pątniczko wędrująca po wszystkich naszych polskich drogach i bezdrożach.

...Matko naszych polskich kapliczek przydrożnych.

...Matko naszych serc!...

...i już zgromadzeni rozchodzą się do domów, oddadzą się dobroczynnym snom, by nabrać sił do kolejnego dnia ciężkiej pracy, do wywożenia i rozrzucania na polu obornika, zaorywaniu go, wybierania z dołów i kopców kartofli, by móc je od nowa w ziemię posadzić, by plon przyniosły obfity.

Jeszcze jednym, bardzo ważnym świętem religijnym w życiu wioski, chociaż obchodzonym nieco mniej uroczyście niż Wielkanoc i Boże Narodzenie, były święta Zesłania Ducha Świętego, czyli Zielone Świątki. I chociaż władza ludowa zniosła drugi dzień tych świąt (poniedziałek), w naszej wiosce wszyscy uroczyście dzień ten świętowali. Zgodnie z tradycją na czas tych świąt majono brzozowymi drzewkami wszystkie domy i wejścia do nich, ganki i wrota. Brzozowe gałązki zatykano za obrazy. Świeży zapach młodej zieleni wypełniał wszystkie mieszkania i podwórka.

Tak mijał maj, zbliżały się sianokosy. Po wiosce niesło się echo klepanych kos. Był to cały ceremoniał i bardzo ważna umiejętność. Nie wszyscy potrafili robić to dobrze. Trzeba było równo wyprowadzić młotkiem smugę ostrza kosy bez szczerb i rozklepań. Dużą umiejętnością było również kupienie właściwej kosy. Tato brał ją zawsze za uchwyt przy piętcie, służący do łączenia jej z kosiskiem, delikatnie uderzał czubkiem o kamień lub metalowy przedmiot i unosił do ucha, wsłuchując się w jej „muzykę”, jaką z siebie wydawała. Te, których dźwięk był głuchy, brzęczący, blaszany – jak mówił – odkładał, nie poświęcając im więcej uwagi. Kilka wybranych długo jeszcze sprawdzał, aż wybrał tę, która najczyściej, najdelikatniej i najdłużej mu „śpiewała”. – Ta, mówił, miała w sobie najlepszy fart (najlepszą stal). Gdy pytałem, w jaki sposób rozpoznaje ten najpiękniejszy śpiew kosy, mrużył wtedy wesoło oczy i uśmiechał się. – To trzeba czuć, synku – mówił, delikatnie klepiąc mnie po ramieniu. – Oby dał Bóg, żebyś zawsze pamiętał ten „śpiew” – dodawał. Tak czuł tato wiele spraw. A uczyło go tego życie, doświadczenie i bezpośredni kontakt z naturą, która, poprzez to z nią obcowanie, zdradzała mu, i innym rolnikom, wiele swych tajemnic.

Po wyklepaniu kos, świtem, po rosie (bo było chłodniej a trawa nasączona rosą była bardziej miękka do ścinania) szli kosiarze przez zieloną soczystość łąk, przez zapachy przeróżne ziół i miodne wonie kwiatów. Szli na szeroko rozstawionych nogach, jeden za drugim,

we wspólnym zgranym rytmie. Szli stopa za stopą, krok za krokiem, pracownicy pochyleni nad łąką i szerokimi zamachami cienko świszczących kos odkładali za sobą grube pokosy soczystej zieleni traw. Za nimi dostojnie, też krok za krokiem, szły bociany, wyłapując przestraszone żaby, pozbawione nagle swych kryjówek. A gdy zbliżał się żar czerwcowego południa, kosiarze siadali w cieniu rozłożystych krzewów czy też stojących po łąkach brzóz samotnych i spożywali gorący posiłek, przyniesiony w dwojakach, dzbanach i garczkach przez żony i córki. Potem mieli chwilę wytchnienia i zaraz znów klepali przytępione kosy, a z południa, gdy żar nieco zelżał, ponownie pochylali się nad łąką aż do czasu opadającego na łąki siwego od mgieł zmierzchu.

Dziś nikt nie uczy młodych na wsi ręcznego koszenia trawy, zboża czy jarzyny, jak trzymać kosę za kosisko, jak stanąć z nią w rozkroku, na lekko ugiętych w kolanach nogach, jak ramiona rozluźnić i kosę ułożyć, pociągnąć równo i energicznie, piętękę odpowiednio ustawić lub podbić ją, by trawa równym kładła się pokosem, a zboże wstęgą osuwało się na „ścianie” żyta jeszcze nie skoszonego tak, aby wygodnie mogło być zbierane przez idącą za kosiarzem niewiastę – żniwiarkę, która wiązała je w snopy. Nikt nie uczy, bo i po co? Kombajny skoszą, omłócą, ziarno czyste na przyczepy zsypią, traktor je do spichlerza prosto powiezie. Trawę zaś kosiarka kosi, siano zbiera grabarka i bezpośrednio z łąki wiezione jest do stodół, a młodzież bardzo chętnie opuszcza swe sypialnie i sypia na nim, rozkoszując się całe lato jego zapachami. A przez szpary, między deskami ścian stodół, sypie się na nią księżycowy blask. Przyjemne to i bardzo romantyczne. Zdrowe też bardzo, bo tyle zapachów przeróżnych ziół – które rosły razem z trawą – się wdycha.

I jeszcze jeden bardzo ważny akcent związany z jakąkolwiek pracą rolnika. Ż życiem na ówczesnej wsi. Otóż był taki piękny, staropolski zwyczaj, bardzo przez mieszkańców przestrzegany, że przechodząc obok pracujących osób zawsze należało, przez szacunek dla nich i dla ich pracy, mimo że się ich nawet w ogóle nie znało, przesłać pozdrowienie „Szczęść Boże” lub „Panie Boże dopomóż”, na co zawsze otrzymywało się podziękowanie „Bóg zapłać” albo „Panie Boże zapłać”. A gdy wchodziło się do domu sąsiada lub innego gospodarza wioski, głównym i najczęściej jedynym pozdrowieniem było „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, domownicy odpowiadali „Na wieki wie-

ków, amen”. Przy pożegnaniu mówiło się: „Zostawajcie (zostajta) z Bogiem”, a domownicy życzyli „Idźcie (idźta) z Bogiem”. Te pozdrowienia były w czasach mego dzieciństwa i młodości obowiązkowe w naszej wiosce, powszechnie przyjęte. Tak było na całej Kurpiowszczyźnie. Laicyzacja życia w okresie powojennym dokonała jednak i dokonuje nadal wielu zmian w życiu duchowym, społecznym, w tradycji i obyczaju. Zmian negatywnych. Dziś postępujący proces dominacji kultury masowej nad naszym życiem powoduje, że dziedzictwo duchowe i materialne kultury ludowej i chrześcijańskiej jest zagrożone. Znikają tradycyjne formy życia, obyczaju i pracy. Zniszczeniu uległo nasze kurpiowskie budownictwo. Ginie na naszych oczach obyczaj, rzemiosło, wszelkie umiejętności. Zapomnieniu ulegają pieśni ludowe (o czym dalej będę jeszcze wspominał), modlitwy, sposób bycia, urokliwych przeróżnych zachowań. Trwa nieuchronny proces odchodzenia chłopskiego świata, wielkiej i pięknej chłopskiej kultury. Mam gorzką świadomość, że pokolenia naszych dziadków i ojców były ostatnimi pokoleniami polskich chłopów, które kultywowały a jednocześnie stawały się twórcami tej kultury i obyczajowości związanej z ziemią i pracą na niej. Wysoką kulturę wyeliminowano ze środków masowego przekazu niemal zupełnie, prezentując od rana do wieczora, aż do późnej nocy, we wszystkich telewizjach parady amatorów, którymi ogłupia się młode pokolenia Polaków. Z życia publicznego eliminuje się też ludzi wartościowych, o wysokich walorach molarnych, kulturalnych, intelektualnych, zastępując ich różnej maści cwaniakami, miernotami. Odchodzi cała epoka, świat pięknych pozytywnych wartości.

Wróćmy jednak do wątku głównego moich wspomnień.

Przez kilka dni po skoszeniu trawy unosił się nad łąkami przyprawiający o zawrót głowy zapach traw, ziół i kwiatów, które słoneczny żar zamieniał w wysuszoną masę – siano. Do jego grabienia szły całe rodziny: mężczyźni, kobiety i starsze dzieci do pomocy. Łąki, wówczas jeszcze nie zmeliorowane, były grząskie i niejednokrotnie trudno było wprowadzić tam konia do ściągania siana, gdyż zapadał się w torfiastym gruncie i jedynie na siłę ludzkich mięśni można było liczyć, ściągając siano do łożyska – specjalnie przygotowanego z gałęzi podłoża, na którym wokół scenzora (ustawiony pionowo, wysoki drąg) stawiano stóg i dopiero zimą, gdy mrozy dobrze ścisnęły i skuły łąki lodem, rozpoczynano zwózkę siana saniami do zagród, na karmę

dla inwentarza.

Jako wiejskiego chłopca, ogromnie urzekła mnie przyroda i konie. Świat przyrody, jej zew i dynamizm stawał się coraz bardziej moim światem, pulsował we mnie, odkrywał swoje tajemnice. Całymi godzinami mogłem wpatrywać się w rozkwitające pąki drzew, w bocianie loty ku słońcu, gdy – nie poruszając skrzydłami – wzbijały się coraz wyżej i wyżej, wsłuchiwać się w świergot jaskółek, które pod strzechą naszego domu lepiły wiele swych gniazd, w wieczorne kumkanie żab, kukanie kukułki czy też w pulsujące tętno krążących w drzewach wiosennych soków. Zadziwiała mnie praca pszczół w sadzie, mrówek w pobliskim lesie, fascynowało życie ptaków i zwierząt. W tych kontaktach z żywą przyrodą zawsze odnajdywałem radość życia, poznawałem tajemnicę istnienia.

A konie? Te kochałem bardzo, zresztą wszystkie inne zwierzęta też. Ale konie najbardziej. Zaraz po wojnie mieliśmy gniadą, starą klacz, a koń w tamten czas był niemałym skarbem. Klacz była łagodnym i spokojnym, silnym koniem pociągowym. Jako wierzchowiec nie prezentowała się najlepiej, bo i wiek już słuszny miała, sylwetkę masywną i do biegów za ciężką. W galopie, do którego nieraz udało mi się ją nakłonić, zawadzała jednym kopytem o drugie. Ta jej ułomność była przyczyną kilku moich razem z nią upadków, gdy wracając z łąk, znad rzeki Rozogi czy z pastwiska, zapominaliśmy o tym, ona i ja, i poddawaliśmy się szaleństwu galopu, ścigając się z wiatrem. Szkapę w pewnym momencie pełnego biegu potykała się i upadała, ja lądowałem w przydrożnym rowie czy krzaku jałowca. Mimo to szkapę lubiłem bardzo, miała dla mnie wiele cierpliwości i też była do mnie przywiązana na swój sposób. Toteż niejednokrotnie jeździłem z nią na nocne wypasy. Zbierało się nas kilku chłopaków, ja i moi koledzy, i na koniach udawaliśmy się wczesnym sobotnim wieczorem na łąki. Tam zwierzęta szły w trawę, a my urządzaliśmy różne zabawy i harce, lub też pod stogiem siana czy przy ognisku, opowiadaliśmy sobie, zasłyszane od starszych osób, najdziwniejsze, niesamowite historie, z cizsy nocy łowiliśmy wyczulonym słuchem dziwne westchnienia i głosy, ani to ludzkie, ani zwierzęce, chwytaliśmy wzrokiem nieuchwytne cienie, przemykające chyłkiem wzdłuż grobli lub snujące się z mgłami po łąkach. Obok nas pasły się konie, parskwały z zadowolenia, a nad łąkami mrugały gwiazdy na wysokim niebie, unosiły się mleczno –

siwe mgły. Z nich, z księżycowej poświaty, wynurzały się stogi niby olbrzymy z otchłannych topieli, albo pielgrzymi zastygli w chwilach odpoczynku lub zbłąkane dusze pokutujące, snujące się po rozległej przestrzeni łąk, poszukujące celu swego przeznaczenia. Ten tajemniczy, nocny świat, sycony niesamowitością doznań i opowiadań, budził najsubtelniejsze drgnienia chłopięcej duszy, tworzył muzykę marzeń przecudnych i tęsknot nieodgadnionych w te niezapomniane księżycowe wieczory i noce, rozniecał naszą chłopięcą wyobraźnię i pozostawiał pełne emocji, niezatarte wrażenia. Przeżywaliśmy to głęboko.

Również wiele uroku i tajemnicy, podsycanej młodzieńczą wyobraźnią, dreszczem lęku i emocji, miały w sobie letnie wieczory, przechodzące w głębokie noce, gdy jako starsi już chłopcy (kawalerka), snuliśmy się polnymi drogami, pod lasem puszczańskim, nazywanym rządowym, dla powstrzymania dzików, wychodzących nocą w pola na żer, w poszukiwaniu smakowitych dla nich pędraków. Ryły przy tym niemiłosiernie zagony pola, niszcząc cały plon. Braliśmy z sobą swoje psy, które szczekaniem czyniły wielki jazgot, czasem walczyły ze sobą, szukając dominacji w stadzie, robiąc jeszcze więcej wrasku. Całą gromadą szliśmy drogą pod lasem, łoskocząc w różne kotły i wiadra oraz inne metalowe przedmioty, a nawet w stary zużyty już bęben. Robiliśmy przy tym dużo krzyku i wrzawy, gwizdząc, śpiewając, urządzając koncerty wzajemnego pysków – darcia, jak je nazywaliśmy. Tak przechodziliśmy z jednego końca pól wioski na drugi, gdzie na piaszczystym wzgórku rozpalaliśmy ognisko. Sypało ono iskrami w ciemną przestrzeń nocy, pachniało jałowcem i żywicą spalanych gałęzi, zakreślało swym światłem magiczny krąg, nieprzystępny dla dzikich zwierząt i dla duchów nocnych, tych pokutujących, o których z dreszczem emocji opowiadaliśmy, spoglądając z lękiem ku leśnej gęstwinie. Czasem wsłuchiwalismy się w tajemnicze szelesty, w nasilający się poszum lasu, czasem pełen grozy, niesamowitości, czasem jęków i westchnień głębokich. Wydawało nam się, że jakieś ciemniejsze, nierozpoznane kształty i cienie przemykały jakby chyłkiem w pobliżu i zapadały w ciemności nocy. Człowiek jakiś czy zwierzę? Może duch pokutujący? Dziwne dreszcze przebiegały wówczas wzdłuż ciała, mimo że wszyscy nadrabialiśmy miną. Robiło się cicho. Tylko ognisko trzaskało iskrami, a wysoko nad nami w otchłannej przestrzeni migotały gwiazdy.

A my znów nabieraliśmy animuszu, wracaliśmy do śpiewu, do wrzasków, skoków przez ognisko. Psy zaczynały czekać i biegać wokół.

Innym razem z potężnego szumu lasu wyławialiśmy dziwne zawodzenia bolesne, jakby dziecięcy płacz, to znów jakby chóralne kobiece lub męskie śpiewanie, albo jakąś jękliwą skargę poranionego śmiertelnie czy też ciężkie bolesne westchnienia... A może to tylko konar sosny na skraju lasu zaskrzypiał? Wszyscy zamienialiśmy się w słuch, psy okazywały niepokój, jakby i im udzielał się nasz lęk, co jeszcze bardziej potęgowało nastrój tajemniczej niesamowitości. Ognisko przygasło już, tliło się tylko, przebijając spod warstewki popiołu żarem węgla koloru złota dukatowego. I nagle trzaskało dziwnie iskrami, jakby ktoś wrzucił w sam jego środek garść naboii. Ale my już całą gromadą, z wrzaskiem, z biciem w stary bęben, w wiadra i kotły, szliśmy w drugi koniec wiejskich pól, śpiewając wszystkie znane nam piosenki. Ich echo, odbite od lasu, biegło po rosie przez pola, aż ku opłotkom wioski. Śpiewanie zresztą w naszej wsi było powszechne. Podczas pracy i wypoczynku. Wieś moja ciągle żyła pieśnią. Bo śpiew jest odbiciem całej pełni i głębi duszy ludzkiej, radości życia. Johann Wolfgang Goethe stwierdził niegdyś, że:

*Gdzie słyszysz śpiew, tam wstąp,
Tam ludzie dobre serca mają.
Bo ludzie źli, ach, wierzaj mi,
Ci nigdy nie śpiewają.*

A Adam Mickiewicz nazwał pieśń „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty”. Kiedy wszystko runie, pieśń ujdzie cało. Przekonaliśmy się o tym niejednokrotnie w dziejach naszej historii, w czasie długoletniej niewoli i okupacji, kiedy to właśnie pieśni koili i leczyły nasze rany, dodawały nadziei, siły do przetrwania i walki.

Śpiewali więc wszyscy w naszej wiosce. Czyniono tak przy każdej sposobności i nadarzającej się okazji: dzieci na pastwisku, gdy pasły krowy, dorośli przy wszystkich swych pracach: kopaniu kartofli, docierkach lnu (tarcie słomy lnianej na cierlicach w celu uzyskania włókna), dokrajkach (krojeniu kapusty do ukiszenia w beczce na zimę), doprządkach (przędzeniu lnu), tkaniu na krosnach i innych. Od wieków istniał też zwyczaj, że ze śpiewem zawsze powracali z pola

źniwiarze. Było bowiem już lato, pola spiętrzone żniwnym trudem. A powracanie żniwiarzy ze śpiewem to był piękny zwyczaj. I śpiew był to najpiękniejszy, jakby najbardziej uroczysty, dostojny, z tych wszystkich śpiewów przy pracy.

Gdy zapadał wieczór, a zza lasu wytaczał się księżyc, wtedy utrudzeni żniwiarze schodzili z pola i z pieśnią wracali do domów, a rosy wieczorne śpiew niosły daleko, biegły z nim przez żniwne zagony, przez wieś całą przy wtórce radosnego szczekania psów, leśnymi ścieżkami pędziły w głąb boru.

Księżyc aż jaśniał, urzeczony tym śpiewaniem, a wieczorny chłód zdejmował ze żniwiarzy umęczenie pracą, przyjemnie studził rozgrzane słońcem ciało. Bo czas żniw to piękna pora roku, lecz na wsi wypełniona trudem i znojem. Lipcowy żar bowiem lał się na pola, na dojrzałe bursztynowe łany, na żniwiarzy. Słoma zbóż, ostra i sucha, kłuła niemiłosiernie, rżysko raniło bose stopy, pot ciekł obficie, zalewał oczy, całe ciało lepkie było od kurzu, upał nie do zniesienia, a tu jeszcze kosić trzeba było, pokos zbierać i w snopy go wiązać, znosić je i ustawiać w dziesiątki. Ale żniwa to także wielka modlitwa o chleb, to tysiące, miliony rąk po ten chleb wyciągniętych. To także wielka ofiara pracy i znoju, składana przez rolników na ołtarzu ziemi.

Gdy cichła jedna pieśń, śpiewana przez grupę powracających z pola żniwiarzy, już nową melodią niosła się druga, śpiewana przez inną grupę żniwną, już potężniała i goniła echo tej pierwszej. Często dobiegała do nich trzecia, czwarta i piąta. Czasem prześpiewywano się wzajemnie, czasem żniwiarze z różnych pól powracający podchwytywali tę pierwszą pieśń i w ten sposób kilka żniwnych zespołów śpiewało jedną pieśń na kilka chóralnych głosów.

Przepiękny był ten śpiew umęczonych całodzienną pracą żniwiarzy, powracających z pól o wieczornym chłodzie, radujących się dobrze wykonaną pracą.

Ale oto nasz zespół żniwny przeszedł już z pieśnią z „Za Dąbrowy”, jest już „Za Laskiem”, zbliża się coraz bardziej, już przed domem staje, mama z twarzą zarumienioną od kuchennego żaru stół zastawia kolacją, tato na próg domu wychodzi (w tym celu nieco wcześniej powrócił z pola), żniwiarzy wita, w progi domu zaprasza. Dziewczyzna z wiankiem na głowie, uwitym naprędce z kłosów i kwiatów polnych, plon w dłoniach trzyma – garść kłosów dorodnych, chabrami

i innym kwiatem polnym przyozdobionych, razem związanych w małeńki snopek, do taty się zbliża, plon z uśmiechem mu wręcza, a wszyscy śpiewają:

*Plon niesiemy, plon,
W Parzychów dom.
Daj Boże, by dobrze plonowało,
Wiele korcy z dziesiątka dało...*

Stałem wtedy obok ojca, dziecko jeszcze, rozradowany, razem ze żniwiarzami śpiewający tę pieśń, nie zastanawiając się nad jej treścią. Dziś, z odległości tamtych lat, odnajduję w niej głęboką tajemnicę życia, jego odradzania się, zawartą całą chłopską dolę, potrzebę i cel jego ciężkiej pracy... A pieśń tamta biegła sobie po rosie jak wieczorne westchnienie ziemi, a żniwiarze, już obmyci z kurzu i potu wodą przy studni na podwórku, z żartem i przyśpiewką zasiadali za stołem do sutej wieczerzy. Dożynki (jak i dokopki ziemniaków) najczęściej kończyły się zabawą taneczną aż do białego rana, organizowaną oczywiście na koszt gospodarza dożynek (czy dokopek). Była to bowiem wspólna praca sąsiedzka, za którą wynagrodzeniem był właśnie obfity poczęstunek i wspólna, radosna zabawa¹².

Kurpiowska pieśń w ogóle ma w swej melodii dostojność tego ludu, jego radość życia i jego smutki, dole i niedole, rozlewność typową dla regionu. I jeszcze ma jedną ważną cechę. Najpiękniej, najczyściej i najrzewniej, najbardziej swojsko brzmiała ona w naturalnej dla niej scenerii: właśnie o zachodzie słońca, pod lasem, pośród żniwnych łąków zboża, śpiewana przez żniwiarzy, albo też przez dziatwę wiejską podczas wieczornego powracania z pastwisk z sytym, radośnie porykującym bydłem, lub też pośród rozległych kurpiowskich łąk, gdy opadała na nie wieczorna rosa i gdy ku górze unosiły się biało-niebiesko-siwe mgły, niby kadzidła ofiarne.

¹² Dożynki takie sam jeszcze pamiętam. Tradycja taka istniała od dawna i wspominali ją najstarsi mieszkańcy wioski z czasów sprzed I wojny światowej (Rozalia Wiktorkowa, Józef Wiktorek, Józef Szewczyk, Józef Parzych, Władysław Parzych) jak i z okresu międzywojennego (Czesław Parzych, Czesław Szczubełek, Mieczysław Parzych z Olszewki (po wojnie mieszkał w Ostrołęce), Walenty Marzewski, Aleksander Kopeć, Janina Parzych, Stanisława Parzych, Marianna Chrostek).



20 maja 2001 roku. I Komunia św. wnuczki Martusi – stoi z rodzicami, Izabelą i Adamem oraz księdzem katechetą



19 maja 2012 roku. I Komunia św. Oleńki – stoi z mamą Ewą (z prawej), chrzestnymi: Izabelą i Maciejem, bratem Maciusiem i wujecznym rodzeństwem, Anią i Adasiem (dziećmi Macieja)



19 maja 2012 roku. Czesław z wnukiem Maciusiem



20 kwietnia 2014 roku. Śniadanie wielkanocne – rodzinie. Od lewej: Danusia, Ewa, Oleńka, Maciuś, Czesław, Martusia i Izabela



6 lipca 1975 roku. Wujeczny brat Czesława, o. Dariusz, na zakończenie swej Mszy św. prymicyjnej udziela prymicyjnego błogosławieństwa wiernym



4 marca 2000 roku. Rodzinne dziewczyny – sam wdzięk doskonały. Od lewej: Wioletta, Anita, Justyna, Martusia, Ewa, Agnieszka, Izabela



26 maja 1991 roku. Czesław „Ostrołęczaninem 1990 Roku”. Zdjęcie pamiątkowe, od lewej: Sylwester Wieczorek – radny RM, Jadwiga Nowicka – prezes TPO, Marek Mielnicki – przewodniczący RM, Kazimierz Taraszewski – radny RM, Barbara Nosek – wiceprzewodnicząca RM, Agnieszka Mieczkowska – wiceprzewodnicząca RM, Tadeusz Witold Pieczyński – prezydent Ostrołęki, Czesław Parzych, Zofia Stanowska – prezes OSTA, Waldemar Załuska – wiceprezes Społecznego Komitetu Budowy Pomnika-Mauzoleum, Janusz Pęski (członek TPO w Warszawie), Ryszard Ostaszewski – prezes Koła TPO w Warszawie



Okolo 1955 roku. Wakacje, praca na łące. Czesław podaje siano tacie Czesławowi, który je stróży, a brat Janek (z prawej) ograbia



Lato 1975 roku. Majówka nad Narwią. Od lewej: Andrzej Szczubełek, jego żona Bogusia, Rysiek Lendo, Danusia, Ania, żona Ryśka. W głębi Adaś i Agnieszka biegają po nadnarwiańskich błoniach



Lato 2008 roku. Czesław, w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki, przy maszynie, na której, od 1984 roku, pisze Kronikę Miasta Ostrołęki (fot. Wojciech Jarząbek)



Nasi przyjaciele: Helena i Alfred Sierzputowscy

Person:	Scharfenwiese	
Id. Nr.:	032390	
Gültig bis:	13. Juni 1944	
Name:	Barczyk	
Vornamen:	resław	Vater: Scharfenwiese
Geburtsort:	16. September 1907	
Geburtsort:	Scharfenwiese	
Beruf:	Landrat	
Ursprungsname:	Scharfenwiese	Scharfenwiese, den 13. Juni 1944 Der Landrat im Reichsleiter
Dringende Kennzeichen:	gelblich	
Bemerkungen:	Schutzangehöriger eingetragene Person	

Kenkarta (dowód osobisty) taty Czesława, Czesława seniora z czasów okupacji niemieckiej



Październik 2007 roku. Wnuki Czesława: Maciuś i Oleńka na Paradzie Puławskiego w Nowym Jorku

Jest w kurpiowskiej pieśni, w jej melodii, zaduma i tęsknota, hardość i wyzwanie, jest piękno i delikatny dotyk tajemnicy ludzkiego losu. Jest wszystko to, co zdolne wzruszyć każdego, nawet niezbyt muzycznego człowieka, który choć trochę umie odczuwać piękno zawarte w śpiewie, w ludowej kulturze...

Tak więc pieśń żyła na co dzień wśród mieszkańców wioski Durlasy, wśród całego ludu kurpiowskiego. Łagodziła ich trud,niosła radość i ukojenie. Dlatego byli oni do niej serdecznie przywiązani, śpiewali często i chętnie. A pieśni było wiele, religijnych i tzw. leśnych. Wśród tych ostatnich ludowe i patriotyczne, o ojczyźnie, rycerzach i hetmanach, o Kościuszcze, powstańcach, ułanach i legendach. Były też pieśni partyzanckie. A także o kochaniu, o tym pięknym i szczęśliwym i o tym tragicznym, o orle białym co przyleciał do młodego więźnia za kraty, o pracy, ludzkiej doli i niedoli, o tragedii i śmierci. Wieś śpiewała o wszystkim, co czuła, czym żyła, za czym tęskniła...

Z biegiem lat śpiew ten zaczął powoli zanikać. Do wsi wkraczała nowoczesność. Nie szła ona już piaszczystym gościńcem, lecz drogą żwirową, później asfaltową. Na polach żniwiarzy zastąpiły kosiarki konne, koszone szybciej, sąsiedzkie zespoły żniwne stawały się coraz mniejsze, zaprzestawano robienia zbiorowych dożynek, do zbioru zbóż przy pomocy maszyn obywano się siłami własnych rodzin (często dość licznych), powoli, lecz skutecznie ztracał się przepiękny zwyczaj żniwnego śpiewania. A pastuszków na pastwiskach zastępowały pastuchy elektryczne. Tak milkł nie tylko śpiew ale ztracał się cały autentyzm naszej i wszystkich innych kurpiowskich wiosek, ich ludowość i kultura. Coraz mniej było tych, którzy z miłości do ojczystej pieśni, przekazywanej dotąd z pokolenia na pokolenie, poświęcali jej swój wolny czas i zdolności. W powstających tu i tam zespołach ztracał się autentyzm pieśni, ich melodii prosto z pól, pastwisk i łąk kurpiowskich, spod lasu, śpiewanych po rosie o zachodzie słońca i w krótkie żniwne wieczory. Wieś po prostu milkła.

A pamiętam również, jak mieszkańcy mojej wioski (sąsiednich też) pięknie tańczyli! To było cudne wprost przeżycie oglądać ich w tańcu, którym potwierdzali stary celtycki mit, mówiący, że taniec sprawia, iż w człowieku splata się Niebo z Ziemią. Właśnie tak oni tańczyli! Jeszcze dziś, choć bardzo rzadko, gdy jestem na zabawie lub weselu w swej wsi, gdy „prawdziwi” muzykanci, tacy z harmonią pedałową

i bębniem (choć też takich dziś szukać ze świecą), zagrają „dla oraczy” powolniaka, oberka, poleczkę, kujawiaka, walczyka, chodzonego czy starą babę (Mój Boże, kiedy ostatni raz widziałem tańczących te tańce?!) i gdy patrzę na tańczących, steranych już życiem i pracą starszych rolników, widzę, jak gwałtownie ulegają przemianom, jak młodnieją w tańcu, jak prostują się ich sylwetki, raptem stają się prężne, zwinne, jak poruszają się w tańcu z dostojnością, chłopską elegancją i lekkością, że aż księżyc radośnie kołysze się z zachwyty i wirują wszystkie gwiazdy! Tego nie nauczy żaden choreograf. Ale taka już jest kultura i sztuka ludowa, ma to do siebie, że w niej ma szansę przetrwać wszystko to, co autentyczne, wartościowe, nie podrobione.

Okres lata był okresem nie tylko wytężonej pracy na wsi, ale też i najczęściej urządzanych wiejskich zabaw. Najbardziej huczne były te, organizowane z okazji odpustów w Kadzidle (na świętego Piotra i Pawła) i w Dąbrówce (na świętą Annę). Gromadziły wówczas dużo młodzieży (starszych też), przybyłej na odpustowe uroczystości z całej okolicy. Był zwyczaj, że na odpust jechał czy szedł każdy, kto mógł. Toteż w dniu odpustu już od rana z pobliskich wiosek i z dalszych okolic ciągnęli pielgrzymi pieszo, furmankami, rowerami. Na odpuscie należało być ze względów religijnych, ale była to też wyjątkowa okazja do spotkań towarzyskich i koleżeńskich, do rozmów i zabawy. Chłopcy mieli okazję zobaczyć wszystkie dziewczęta z sąsiednich wsi i z całej okolicy, może wypatrzeć wśród nich tę jedyną. Dziewczęta też dyskretnie rozglądały się, marząc o tym jedynym, który poda ramię wiodąc przed ołtarz, a potem razem pójdzie przez całe życie. Mówiono, że małżeństwa „zawiazane” (zapoznanie się młodych) na odpustach, cieszyły się szczególnymi łaskami niebios i były najszcześliwsze.

Zbliżało się południe odpustowej niedzieli. Przed kościołem robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. Wokół kolorowy wir radosnego świętowania. Na straganach – tasach, rozstawionych poza ogrodzeniem kościelnym, gipsowe figurki różnych świętych, różańce, książeczki do nabożeństwa, medaliki, koraliki szklane, sznury koralów, pierścionki, wiśiorki, gwizdki, korkowce, koguciki, bekacze i gwizdki, fujarki i grzechotki, lusterka kieszonkowe z miejscem w kształcie serca na zdjęcie ukochanej (ukochanego) i napisem „Tylko dla Ciebie”, „Kochaj mnie”, „Nie zapomnij o mnie” itp. Były też obwarzanki, rogalce, rogaliki i bułeczki, cukierki owocowe w kolorowych papierkach, lemoniada i lody

nawet. Przy ogrodzeniu kościelnym żebrak, wyciągając rękę i o ofiarę prosząc, głośno odmawia zdrowaśki, obok przekrzykująca go straganiarka, rymowaną towar swój zachwala: – U mnie najtaniej cukierków szczypta! Bab nie szczypta! Kupujta! – Ogólny gwar i tumult. Nagle robi się cicho... Wszyscy już tłumnie zebrali się w kościele i na placu cmentarnym – przykościelnym. Ogólne żarliwe rozmodlenie, upraszanie o wszelkie łaski Boże dla siebie, dla najbliższych, każdy z jakąś prośbą w sercu tu przyszedł i teraz o wysłuchanie jej prosi, do spowiedzi i Komunii świętej przystępuje, by otrzymać zupełne grzechów odpuszczenie, dzwony i dzwoneczki dzwonią, strażacy w mundurach, hełmy na głowach, baldachim niosą nad idącym z Hostią proboszczem, małe dziewczynki kwiatuszki przed nim sypią... Kończy się odpustowa suma, już tylko potężne *My chcemy Boga* i na plac przykościelny wylewa się tłum odpustowiczów, rozlewa się znów pomiędzy stragany, narasta gwar, krzyki i gwizdy. Ogólny tumult, tylko konie, gdzieś na obrzeżach placu, w cieniu pod drzewami, spokojnie dojadają swój obrok, parszcząc od czasu do czasu. Na zdrowie, na rzeczy pomyślność.

Po serdecznych modlitwach i prośbach błagalnych, po obmyciu się z grzechów, ich odpuszczeniu (kto był w stanie łaski) i po straganowym zgiełku starsi wracali do domów, młodzież zaś zajeżdżała po drodze na majówki odpustowe, organizowane głównie przez strażaków Ochotniczej Straży Pożarnej w remizie strażackiej lub na wiejskim placu, ogrodzonym i umajonym na tę okazję. Były to z zasady zabawy biletowe. Kawaler, gdy był z dziewczyną, zawsze kupował bilet dla siebie i dla niej, co upoważniało ich do wejścia na „salę taneczną”, czyli do wnętrza ogrodzenia, gdzie na zbitym z desek podeście rznąła wiejska orkiestra (składająca się przeważnie z harmonii i bębna). Bufet z zasady też był zawsze, i zawsze „obficie” zaopatrzony, a do tej obfitości – też z zasady – należała czysta zwykła, wino marki „Wino”, herbatniki i oranżada, bywała też kiełbasa i chleb, czasem ogórki kiszzone.

Tak bywało na odpustach w Kadzidle i Dąbrówce, których i ja bywałem uczestnikiem. Gdy po latach (już w latach 90.) ciocie Wikcia i Jasia, będące już w podeszłym wieku, wyraziły życzenie, by raz jeszcze udać się na odpust do Dąbrówki, uradowany własnymi wspomnieniami odpustowego uczestnictwa, pojechałem tam z nimi. Nie było jednak już tego odpustowo-radosnego tłumu, żywiołowości, barw, gwaru, krzyku dzieci, śmiechu radosnego młodzieży, ciągnącej

tu wtedy z całej okolicy, a nawet i z dalszych stron. Wszystko pomniejszone wielokroć, nawet i żarliwość rozmodlenia, przygaszone echo tamtego dawnego rozradowania. Przed kościołem zamiast tłoku ludzi, furmanek, parskania koni, stały nagrzane słońcem pudła samochodów, kilka motocykli zamiast kawalerskich rowerów, tzw. męskich, czyli z ramą poprzeczną, by pannę na nią zabrać można było i na potańcówkę po-odpustową razem zajechać. W miejsce kramów i straganów kilka stolików z pseudo nowoczesnymi zabawkami.

Wracając z obiema ciociami do domu rozmyślałem nad czasem, pędzącym z wiatrem jak szum Zielonej Puszczy, nad przemijaniem razem z nim ludzkich przyzwyczajęń, tradycji, także tych religijnych. A jeszcze za pamięci moich rodziców – o czym niejednokrotnie wspominali – na odpust do Dąbrówki – miejsca słynącego z objawienia się Matki Boskiej – chodziły całe piesze pielgrzymki zorganizowane, z krzyżem na czele, ze śpiewem pątniczym, odbywały się adoracje i czuwania modlitewne. Zapodziała się gdzieś tamta tradycja, tamten świat, odeszli w błękitną przestrzeń tamci ludzie. W 2004 roku proboszcz parafii w Dąbrówce, ks. Stanisław Grosfeld, przy serdecznym wsparciu ks. dziekana Zygmunta Żukowskiego i bpa Stanisława Stefanka, podjął trud rozniecenia żaru wiary i przywrócenia pięknej tradycji religijnej w tym, słynącym z cudownego ukazania się Matki Bożej dwóm małym Kurpiankom, miejscu. Oby ta iskra płomieniem objęła rzesze ludzkich serc. (I objęła! Wybudowano kaplicę w miejscu objawienia, znów zaczęły chodzić pielgrzymki, m. in. z Ostrołęki – przyp. 2010 r. Cz. P.)

Z naszej wioski (i z całej Kurpiowszczyzny) od zawsze pielgrzymowano również na Jasną Górę. Organizowała się grupa osób i z Ostrołęki jechano pociągiem. Pielgrzymki te wspominało potem przez długie lata z nieukrywaniem wzruszeniem i radością. Uczestniczyli w nich również członkowie mojej rodziny. Ja też odwiedziłem Jasną Górę, pokłoniłem się Królowej Polski w Jej Cudownym Obrazie.

Zabawy wiejskie różniły się bardzo od dzisiejszych spędów dyskotekowych. „Orkiestrę” stanowił z zasady harmonista, grający na harmonii pedałowej i bęben, czasem dochodziły skrzypce (dziś pedałowki chyba już tylko zespoły ludowe jeszcze posiadają). A harmoniści byli wiejskimi samoukami. Ale jak grali! Aż serce śpiewało! Zapraszani, jechali do danej wioski i grali całą noc, do białego rana, głównie w niedzielne popołudnia wiosenno-letnie, bo w tym okresie

roku można było tańczyć „na smugu” – ogrodzonym i obsadzonym młodymi brzoškami kawałku przydrożnego pastwiska lub łączki.

Te wiejskie zabawy z zasady urządzała młodzież męska (kawalerka). Pamiętam, że w Durlasach, kilkakrotnie miały w swych programach, na rozpoczęcie, również niewielkie formy teatralne, prezentowane przez miejscowych „aktorów” – amatorów. W jednym z takich przedstawień (a może dwóch?) również brałem udział, występując – jak dobrze pamiętam – w roli gajowego lub leśniczego. Cały spektakl odbywał się bodajże w obszernym domu państwa Sucheckich. Inspi ratorem i organizatorem, reżyserem i scenarzystą była Danusia Piersowa – nauczycielka w szkole w Lelisie, wspaniała pedagog, radosna, życzliwa wszystkim osoba, kochająca bezgranicznie swe dzieci i męża Staszka – mojego przyjaciela (zmarła młodo, pochowana na cmentarzu parafialnym w Ostrołęce). Nie pamiętam ani tytułu sztuki, ani szczegółów treści, ani przebiegu samego przedstawienia, nie pomnę też, kto brał w niej udział. Pamiętam, że na zakończenie recytowałem jakiś piękny w swej treści wiersz i że wszystkie izby domu państwa Sucheckich były wypełnione widzami, którzy stłoczeni, na stojąco, również i za otwartymi na oścież oknami, w zupełnej ciszy, wsłuchiwali się w nasze, zapewne nieporadne, aktorskie popisy. Pamiętam też, że długo byliśmy oklaskiwani i długo kłanialiśmy się publiczności.

No i następnie była już zabawa taneczna. Oczywiście, na świeżym powietrzu. A po zachodzie słońca teren zabawy oświetlały nie tyle rozwieszane wokół naftowe latarki (gdy już był prąd we wsi, podłączano światło elektryczne) co przepiękna, księżycowa pełnia, która swym romantycznym blaskiem okrywała również całą wioskę i okolicę.

Jak już wspomniałem, zabawy urządzała z zasady młodzież męska (kawalerka), która dzieliła się jeszcze na kilka grup: starsza, średnia i młodsza. Grupy te albo wspólnie dogadywały się, albo każda oddzielnie urządzała swoją zabawę. Gdy podjęto już taką decyzję i ustalono termin, rozpoczynano intensywne przygotowania, rozdzielano pracę dla poszczególnych osób: jedni jeździli „godzić” (zamawiać) muzykantów, drudzy wyszukiwali odpowiednią do tańca chałupę i prosili gospodarza o jej wypożyczenie na czas zabawy (wybierano domy, które były najprzystrojniesze). Latem urządzano tańce na dworze, przy księżycu (co jest oddzielnym, szerokim tematem moich wspomnień), na ogrodzonym i pięknie umajonym placu,

lecz chata zawsze była przygotowana, na wypadek złej pogody. Inni jeszcze członkowie – organizatorzy zabawy, gromadzili zapas napojów i zakąsek (wszelkie koszty organizacyjne sumowano i dzielono pomiędzy organizatorów). Na zabawę zawsze zapraszano swoich „gości” – zaprzyjaźnioną męską młodzież z sąsiednich wiosek, do których chłopcy organizujący zabawę jeździli wcześniej na podobne imprezy, również za zaproszeniem. Na zabawę zjeżdżali się także kawalerowie z różnych wiosek bez specjalnych zaproszeń. Gościnność gospodarzy i dobry obyczaj nakazywały ugościć ich tańcem, nie byli jednak oni zapraszani na specjalne przyjęcie, tzw. kolację, na której częstowano gości jedzeniem i napojami wysokoprocentowymi. Oczywiście, zabawy te, co było niemal tradycją, nie obydwały się bez różnego rodzaju utarczek, potyczek, zaczepek, bójek i bijatyk, które czasami miały tragiczny finał. Brała w nich udział zwaśniona kawalerka z różnych wiosek, a organizatorzy, jak na gospodarzy przystało, czynili wszystko, by nie dopuścić do zatargów, chociaż nie zawsze im się to udawało.

Wieść o zabawie niosła się szybko po wsi (i okolicy – to dla kawalerki sąsiednich wiosek) i była przez wszystkich przyjmowana radośnie. Dziewczyny przygotowywały się do niej równie starannie, jak organizatorzy: szyły nowe bluzki, sukienki, prały i prasowały, w Ostrołęce u fryzjerki robiły nowe ondulacje (modne wówczas kręcenia włosów). A gdy nadszedł czas zabawy i gościńcem pobiegły pierwsze, grane przez muzykantów, melodie, cała wieś ożywiała się, prostowała swój pochylony nad pracą kark, przeżyła się, otrzepywała z codziennego kurzu i trosk, stroiła barwnie i kto żyw – od dzieci po starców – wystrojony szedł na potańcowanie, na wspólną rozrywkę. Ludzie mieli rozmach w pracy i w tańcu: ciężko pracowali i lekko tańczyli. Była w tych zabawach swoista uroda, poezja i cała radość wiejskiego życia, jego nadzieje i tęsknoty. A szerokim, jeszcze wówczas piaszczystym gościńcem biegły boso rozradowane melodie, wpadały między opłotki, zapraszały, porywały do zabawy całą wioskę (była to bowiem uroczystość całej społeczności wiejskiej, tak jak były nimi wesela czy pogrzeby). Na drogę wychodziła wyelegantowana kawalerka i sprowadzała na zabawę wystrojone i oczekujące już dziewczęta (panienki). Był to zwyczaj i tradycja, że po panny musieli iść organizatorzy zabawy i prosić rodziców, by pozwolili zabrać córkę na tańce. Gdy organizatorzy z zaproszeniem po pannę nie poszli, ani ona ani jej najbliżsi na zabawie nie byli.

Zabawy wiejskie, jak i te odpustowe, odbywały się w niedzielne popołudnia i wieczory. W ogóle niedziela była dniem modlitwy, odpoczynku, zabawy i wszelkiej rozrywki. Obowiązkiem było udanie się na Mszę świętą – sumę (odprawianą w samo południe) do kościoła w Ostrołęce (nasza parafia). Ci, którzy z różnych względów w kościele być nie mogli, o godzinie 12 w południe, gdy odprawiała się Msza św. (suma), klękali w swych domach (wszyscy domownicy) i wspólnie się modlili. Pamiętam jak mama zbierała nas, domowników, w takie popołudnia i pod jej przewodnictwem, przy domowym ołtarzyku, odmawialiśmy różaniec i litanie do Matki Boskiej oraz inne modlitwy, zanosząc prośby o wieczysty spokój dla bliskich zmarłych, o zdrowie i łaski dla żyjących, o błogosławieństwo i pomyślność w rodzinie. Było też kilka kółek różańcowych, które zbierały się w niedzielne popołudnia na odmawianie różańca. Niewiasty, mężczyźni i młodzież mieli swe oddzielne kółka. Regina Plaga (z domu Mrozkówna, nauczycielka, mieszka w Olszewie-Borkach) pamięta, że zelatorem kółka różańcowego mężczyzn w części wioski Zagórka był Stanisław Wiktorek, zaś kółko panien połączone było z kółkiem dziewczynek. Kółka różańcowe nadal zbierają się w niedzielne popołudnia na odmawianie różańca. Mój brat Staszek i bratowa Zosia są ich członkami (niewiasty mają swoje kółko, mężczyźni swoje).

Po powrocie z kościoła, w niedzielne popołudnia, gdy we wsi nie było zabawy, starsi siadali przeważnie przed domami, schodzili się po sąsiedzku, opowiadali sobie zasłyszane nowinki, szli w pole oglądać jak rosną plony ich trudu i pracy. Zelatorzy i zelatorki oraz członkowie kółek różańcowych, jak wyżej wspomniano, schodzili się na wspólne odmawianie różańca. Młodzi spacerowali grupkami po gościńcu, odwiedzali się nawzajem, śpiewali, żartowali, szli do obocznego lasu na śródleśne polany, chłopcy tu i tam pociągnęli z butelki (oczywiście, wszystko w granicach jak najdalej idącej przyzwoitości). Był też zwyczaj, że wyjazd do kościoła na Mszę świętą stawał się również spotkaniem towarzyskim, gdyż po sumie spotykali się przed kościołem młodzi ludzie z różnych wiosek, kawalerowie zapraszali panienki na lody i oranżadę, trochę spacerowali po ulicach, stali w grupach, rozmawiali, przekazywali sobie wzajemnie różne wiadomości, głównie w której wiosce kiedy jest potańcówka, zapraszali się wzajemnie na organizowane przez siebie zabawy. Toteż gdy dzień

świąteczny chylił się ku wieczorowi, kawalerzy umawiali się po kilku, nieraz kilkunastu, i razem rowerami jechali do innej wioski na tańce. Oczywiście, w podróży, dla pokrzepienia serc i animuszu, śpiewała cała drużyna, jadąc jeden za drugim leśnymi, polnymi i łąkowymi ścieżkami. Ci, którzy zostawali w swej wiosce, szli do upatrzonej czy wcześniej umówionej dziewczyny, albo gromadnie – chłopcy i dziewczęta – w księżycowe ciepłe wieczory obsiadali skarpę gościńca pod starą wierzbą i śpiewali, żartowali, snuli opowieści, palili ogniska na polanach przyleśnych, spacerowali w księżycowym blasku i śpiewali, a piosenki tańczyły w ciszy wieczoru, gościńcem, wtedy jeszcze piaszczystym, i polnymi miedzami biegły w przestrzeń wieczoru rozległą. Mój Boże! Gdzie dziś letnim, ciepłym wieczorem usłyszysz, by pieśń po wsi się niosła, z rosą po polach i smugach by biegła?

A w dni powszednie zaś, we wtorki czy piątki jechało się czy szło na targ do Ostrołęki. Targi te czy jarmarki oprócz spełnienia funkcji handlowych i gospodarczych były zawsze oczekiwaną rozrywką i urozmaicheniem codziennego życia wiejskiego. Atrakcją był już sam wyjazd. Na targu była również okazja do spotkań znajomych z sąsiednich wsi, wymiany nowinek i różnych informacji, sprawdzenia cen produktów rolnych, zwierząt hodowlanych i rzeźnych, wypicia litkupu po dobrze spełnionej transakcji kupna lub sprzedaży.

Raz w roku, nie pamiętam już dokładnie, ale chyba na świętego Jana, odbywało się też święcenie pól i plonów, by z łaski Bożej były obfite, przez zdarzenia losowe nie zniszczone. Mieszkańcy zbierali się przy wiejskim krzyżu na początku wioski i szli procesyjnie polnymi drogami, z księdzem na czele, który kropił wodą święconą i błogosławił wszystkim polom i plonom. Otwarta przestrzeń pól stawała się wówczas dla nas, uczestników tego wydarzenia, świątynią, słońce – światłem ołtarza, śpiew skowronka i innego ptactwa (którego była wszelka obfitość) łączył się pięknie z chóralną naszą pieśnią, unoszoną ku niebu jak kadzidła dla Bożej chwały. Dziś dostrzegam w tej tradycji (częściowo zaniechanej) przepiękną harmonię współistnienia całej natury, bo człowiek jest zaledwie jedną, maleńką jej częsteczką.

Kończył się sierpień. Pośród ściernisk już tylko echa się snuły, rudziały kartofliska. Po wsi i okolicy niosło się echo omłotów, początkowo młocarniami kieratowymi, napędzanymi siłą mięśni koni, potem silnikami spalinowymi. Tak mijało lato. Nadchodził czas je-

sieni. Słońce stawało się coraz bardziej odległe, choć grzało jeszcze przyjaźnie. W niedzielne popołudnia zbieraliśmy się grupami: sąsiedzi z sąsiadami, zaprzyjaźnione rodziny, chłopcy i dziewczęta, i na przyleśnych polanach rozpalaliśmy ogniska, potem z ich żaru wyciągaliśmy kartofle ze zwęgloną skórką, posypywaliśmy solą, wcześniej ocierając je razem z sosnowymi i świerkowymi szyszkami w worku, by starły się zwęglenia i zjadaliśmy razem z kiszonymi ogórkami i przyprawioną cebulką, uzupełniając to pyszne jedzenie odrobiną nalewki na owocach, odpowiednich ziołach lub jagodach jałowca, by było dobre trawienie. Na deser pieczono w tym samym żarze ognisk różne owoce i warzywa. Było dużo radości, śmiechu i śpiewania. A od strony rozległych łąk, od Zębratu, Kulichy, Okręgliczy – śródleśnych uroczysk, biegł ku nam krzyk żurawi i innego ptactwa szykującego się do odlotów dalekich. Wsłuchiwaliśmy się wtedy wszyscy w te ptasie pożegnalne wołania i nagle smutnieliśmy, bo razem z tym wołaniem biegła ku nam refleksja, że coś przemija nieuchronnie i bezpowrotnie, coś nieuchwytnego a tak bardzo ważnego. Rodził się i chwytął za serca nieokreślony żal, że oto tracimy jakąś część siebie, że nie ma już wiosny i lata, które jeszcze przedwczoraj, wczoraj... Jakaś dziwna świadomość wraz z tym krzykiem docierała do naszych myśli i serc, że ucieka tak szybko każda chwila życia, że coś przemija, niedoścignione, nie zatrzymane, coś odlatuje od nas razem z tym pożegnalnym krzykiem żurawi, razem z tymi ptakami...

I było żal, aż bolały serca.

Ale krzyk dzikiego ptactwa cichł w przestrzeni, nad nami świeciło wciąż jeszcze gorące słońce, rozpościerał się czysty błękit nieba. Ktoś rzucił na ognisko kilka gałązek jałowca, ogień już trząskał wesoło i sypał iskrami, mijała chwila zadumy i nostalgii, wokół ogniska znów robiło się gwaro i wesoło, radosne śmiechy już krążyły nad ogniskiem razem z dymem i podchwyconą piosenką: "...Więc póki młode lata, póki pogodne dni..."

A domy też już pachniały jesienią i suszonymi grzybami, zbieranymi w obfitych ilościach przez domowników wczesnymi porankami (ze świtem), oraz ulęgałkami – owocami zbieranymi spod rosnących na miedzach polnych grusz (z nich mama i inne gospodynie robiły wspaniałe kompoty na wigilijną wieczerzę i przez całą zimę). Dzieci szły do szkoły, po zrudziałych rżyskach i kartofliskach snuły się

poranne mgły, dymy ognisk i pajęczyny babiego lata. Żurawie, odlatując, krzyczały boleśnie, gorzko pachniały piołuny w przydrożnych rowach. Noce i poranki stawały się coraz chłodniejsze, sady ocieężały nadmiarem owoców. I te pełne uroku strzeliste dziewanny ze złotymi jak słońce kwiatami, końskie szczawie rozkładające szeroko czerwono – rude kiście, rozłożyste szerokolistne łopiany, podbiały, pachnące rumianki, mięty i piołuny, nawet zwykłe pokrzywy przy płocie za rowem. Wszystko to tworzyło barwy i klimat jesieni.

Wieś przygotowywała się do nadciągającej nieuchronnie zimy. Orano i siano, sprzątano z pól jarzyny i warzywa. Dokopki kartofli, docierki lnu (po okolicy niesło się łoskotanie cierlic), stwarzały również okazję do wspólnej pracy, a na zakończenie prac – do wspólnych zabaw. Tak powoli ziemia przekazywała rolnikom syty ciężar płodów, pustoszały pola, milkły na nich pieśni i świerszcze, słoty chmurzyły niebo, mokły wrony zbierające pędraki na świeżo wyoranych skibach ziemi, a zimny wiatr tułał się po miedzach, to znów na Wszystkich Świętych rozniecał w cmentarnych zniczach ludzką pamięć, rzucał na groby bliskich i dalszych wiązanki modlitw i garście zeschniętych liści.

W czas Wszystkich Świętych i Zaduszek rodzice z całą najbliższą rodziną jeździli na cmentarz parafialny w Ostrołęce, gdzie są groby wszystkich naszych bliskich i najbliższych. Zabierali i nas, dzieci, ze sobą. Z okresu dzieciństwa zapamiętałem jedynie rzędy żebraków, obsiadających główną aleję cmentarną po obu jej stronach od samej bramy aż do kaplicy. Dawali im rodzice – tak było wówczas w zwyczaju i tak czynili wszyscy – jakieś jedzenie zabrane z domu (pieczone przez mamę pszenne ciasto (placek), chleb i coś do chleba: ser, wędzoną słoninę itp.) oraz drobne sumy pieniędzy. Obdzielali zawsze kilkunastu żebrzących, prosząc przy tym o modlitwę za duszę kogoś z rodziny, oczywiście już nieżyjącego. Żebak przyjmując jałmużnę głośno rozpoczynał Zdrowaś Maryjo...”, ale zaraz ktoś inny podawał mu kolejną, z prośbą o modlitwę za inną duszę, więc rozpoczynał kolejne „Zdrowaś Maryjo...”.

W długie jesienne wieczory, o czym już wspominałem, organizowano w domach także różne prace zbiorowe, jak dokrajki kapusty, do-prządkowanie lnu, darcie pierza itp., podczas których śpiewano, dokazywano, opowiadano o najprzeróżniejszych rzeczach i wydarzeniach, szczególnie o duchach pokutujących i spotkaniach z nimi. Głównie opowiadali

o tym więcej gawędziarze, którzy byli bardzo szanowani w społeczności wiejskiej, zapraszani i bardzo mile widziani na różnych spotkaniach sąsiedzkich, zastępowali bowiem radio i telewizję, których na wsi nie było, opowiadali o tylu ciekawych rzeczach i wydarzeniach, wesołych i smutnych, budzących śmiech, współczucie, gniew, lęk i grozę na przemian. Pamiętam z tamtych lat dwóch wspaniałych gawędziarzy z naszej wioski (a zapewne było ich więcej): Józefa Wiktorka – mojego dziadziusia po kądzieli i Rocha Marzewskiego. W ogóle gawęda była wówczas nieprzebranym źródłem, z którego czerpał zarówno lud polski, jak i dwór, a także pan na zamku siedzący. Były w niej zawarte dzieje narodu naszego, kara za zło, nagroda za dobro czynione, była opowieść o dalekim świecie, o życiu, miłości, nienawiści, szczęściu, cierpieniu... Gawęda lubiła ciepły kominek i piec w długie wieczory jesienne, gdy za oknem szaruga a wiatr jęczał okrutnie w kominie, w chacie zaś od paleniska ciepło przyjemne płynęło i, iskrami sypiąc, mile ogarniało. Gdy odchodziła już zima, cichła i gawęda. Bo gdy tylko kukułka zakukała wiosennie i krzyk ptactwa po mokradłach słyszeć się dało, skowronek zaśpiewał i roboty w polu otworzył, czasu wolnego od świtu do późnego wieczoru nie było, roli trzeba było doglądać, by pięknie zakwitła, płody wydała obfite. A kiedy święty Marcin na białym koniu znów porę późnojesienną i zimę przywoził, razem i gawęda powracała, przy kominku, przy piecu ciepłym siadała wygodnie, sypała nowinkami jak iskrami ogień, przy którym się grzała, śmiechu, lęku i łez pełna. Śmiechu – bo czasem uciechą była, łez – bo czasem serce z żalu pękało i lęku – bo tyle niesamowitości w sobie miała.

Te domowe schodzenia się w jesienne wieczory – tłukami nazywane – były imprezami mniejszymi, prace wykonywano przez kilka godzin wieczornych, i kończyły się jedynie poczęstunkiem.

Tak niespostrzeżenie zbliżał się koniec roku i okres świąt Bożego Narodzenia, rozpoczynający się adwentem – czasem, w którym natura przygotowuje się na nadejście mrozów, ludzie zaś wchodzą w okres radosnego i ufego oczekiwania na przyjście Zbawiciela. Na Boże Narodzenie.

Adwent – znak, że Gody już blisko – wesołe święta – narodiny Dzieciątka Bożego. Ludzie spieszyli do ostrołęckiej fary na roraty, organista odwiedzał chaty z opłatkami. Na tydzień przed wigilią wzmagala się krzątania w domach i obejściach. Gospodynie robiły

porządki w izbach i w całym domu, prały, myły, szorowały, czyściły, sprzątały, gospodarze obejścia omiatali, porządkowali, słomę na sieczkę cieli dla zwierząt, by na cały czas świąt starczyło, drewna rąbali, by na opał nie zabrakło i ogrzanie domów. Tylko dzieci, niecierpliwe, nie mogły doczekać się świąt, a mróz ostrzejszy i śniegiem sypało, co zmuszało je do przebywania w domu. Ale adwent był to także czas refleksji, zadumy, oczyszczenia sumień i serc, czas wyciszenia w sobie i wokół siebie, uprzątnięcia natłoku i zamętu codziennych spraw. Czas cierpliwości do wszystkiego i do siebie nawzajem, czas spowolnienia na chwilę biegu rwącego potoku spraw ludzkich, lawiny problemów, które przytłaczają nas swoim ciężarem.

Tak przynajmniej powinno być.

Taka jest istota adwentu.

Pamiętam, że wtedy mieszkańcy wioski z zasady jej przestrzegali.

Jak czynimy to dziś?

Czy wnিকamy w jej głębokie oczyszczające treści?

Z okresu adwentowego z tamtych lat zapamiętałem też kilkakrotne wyjazdy „do dnia”, czyli jeszcze nocą, przed świtem, z rodzicami furmanką na roraty do ostrołęckiej świątyni. Pamiętam poranny półmrok budzącego się dnia i głębokie modlitewne przeżywanie tych pięknych chwil przedświt... I ten wprost magicznie tajemniczy, cudowny czas Wigilii, najpiękniejszej nocy, w którą niebo łączy się z ziemią i otwierają bramy raju, nocy – cudu, bo oto dotknęło serca i „wśród nocnej ciszy” narodziła się Dobra Nowina. A różne przedziwne wydarzenia dzieją się w czas tej nocy. Wydarzenia wprost niepojęte. Bo na przykład w Ostrołęce – co wiem na pewno – spotkali się w tę noc dwaj od lat zaciekli wrogowie i... uśmiechnęli się do siebie nawzajem, z zakłopotaniem, bo w żaden sposób nie mogli – żaden z nich – przypomnieć sobie, o co właściwie im poszło. I uściśnęli sobie dłonie. To znów mąż przypomniał sobie, że na dzień jego serca leży od dawna zapomniane uczucie i z uśmiechem radości wyznał je –nieoczekiwanie – swej żonie, że bardzo ją kocha, a ona, że jego też bardzo... – i też uśmiechnęła się do niego tak pięknie jak nigdy dotąd. A najdziwniejsze w tę noc pełną wydarzeń niepojętych, wprost cudownych, stało się to, że pijak zamiast gorzałki, przez pomyłkę, napił się zwykłej wody i... nie zaszkodziła mu, absolutnie nic mu się nie stało! Uśmiechnął się z radością i postanowił, że od teraz pił będzie tylko wodę!

Matka Teresa z Kalkuty powiedziała niegdyś tak bardzo pięknie: „Ilekcroć uśmiechniesz się do drugiego człowieka lub podasz mu pomocną dłoń, zawsze wtedy jest Boże Narodzenie!”.

I tak w tę jedną, cudowną noc gotowi jesteśmy uwierzyć, że nigdy nie zdążyły nas dopaść troski i cierpienia, że człowiek człowiekowi nigdy nie był wilkiem, że wilk i wszystkie zwierzęta w tę noc mówią ludzkim głosem, że wciąż trwa nasze dzieciństwo i młodość nasza, ognisko domu najdroższe, w którego cieple i blasku wyrastaliśmy, do którego zawsze powracaliśmy ze wszystkich ścieżek i dróg naszego życia.

Dom mój zawsze był domem religijnym i patriotycznym, domem tradycji. A moje gwiazdki, moje wigilie, te z lat dzieciennych i wczesnej młodości, spędzane w domu rodzinnym, w wiosce Durlasy – są mi do dziś najbliższe, mają w sobie niezapomniany urok. Zawsze było tyle ciepła wśród nas w tę zimową, wigilijną noc, tyle wzruszeń. Widzę wciąż tamten czas... Lasem i zimą pachnie świerkowe drzewko, symbol wiecznego życia, przyniesione przez tatę o poranku wigilijnym. Zawsze biegliśmy do niego, by podotykać gałązek, powdychać żywicznej woni: dawało to szczególną siłę życia na cały nadchodzący rok i oddalało wszelkie zło.

Ale oto już i wigilia przybiegła, cała wieś rozbudziła się sporo przed świtem, przeróżne zapachy biegają po gościńcu, po zagrodach i domach, po wiosce całej, a to ciasta słodkiego, a to wędzonki dobrze odymionej jałowcowym czy olchowym albo jabłoniowym dymem. Trwa pośpieszna krzątania, gorączkowe ostatnie przygotowania. Nawet my, dzieci, w tym dniu staraliśmy się być grzecznymi i pomagać rodzicom, bo kto dzień wigilijny spędzi na lenistwie czy kłótniach, taki będzie miał cały rok następny.

I wieczór wigilijny nadciąga już powoli. Niebo granatowieje coraz mocniej. Już i wioska wycisza się w swej krzątanie. Jeszcze za sadzawką i gajkiem, za dąbrową, dogasają ostatnie zorze zachodu, jeszcze gościńcem pędzą sanki, dzwonkami radośnie rozśpiewane: może gość spóźniony jakiś znać daje, że jest już blisko. A może Święty Mikołaj wjeżdża do wioski uroczyście?

Tymczasem na zachodzie dogasa już ostatni blask i lada chwila gwiazda zamruga nad wysokim grabem, stojącym w sadzie stróżem naszego domostwa i zagrody całej. Już żywym ogniem płoną świeczki na choince, bo elektrycznych nie ma jeszcze, światła elektrycznego

też jeszcze nie ma. Stół nakryty białym, lnianym obrusem, specjalnie na tę okazję przez mamę wybielanym, przechowywanym, krochmalonym i prasowanym. Rozchodzi się zapach wigilijnych potraw. Zbliża się uroczysta chwila wigilijnej wieczerzy. Na twarzy mamusi śliczne, jeszcze nie ostygłe zarumienienie od żaru chlebowego pieca. Stajemy wokół wigilijnego stołu: rodzice, babcia Władzia, obie ciocie – Wiktoria i Jasia, nas trzech Jaśko, Stach i ja, najstarszy z nich. Siostry Ala i Henia, najmłodsze z naszego rodzeństwa, trwają jeszcze solidarnie na swym posterunku przy oknie. Z rozpląszczonymi na szybie nosami pilnie wypatrują pierwszej wigilijnej gwiazdy. Jeszcze chwila wyczekiwania i nagle: – Jest! – obie wołają jednocześnie i rozradowane biegną do stołu. Mama pospiesznym gestem poprawia kosmyk włosów. Tato znakiem krzyża znaczy stół... Widzę jego ciężką, spracowaną dłoń, zbliżającą się uroczysto do kruchej bieli opłatka. Szorstkie od pracy i wiatru palce delikatnie, z namaszczeniem dotykają tej bieli, podnoszą ją, *rozłamują*. Tato najpierw podaje opłatek swojej i naszej matce. Potem dzielimy się nim już wszyscy razem, serdecznie, ze wzruszeniem, z życzeniem sobie nawzajem zdrowia i wszystkiego co najlepsze. Bo dzieląc się opłatkiem jednocześnie dzielimy się tym, co najlepsze i najpiękniejsze w kruchości ludzkiego losu. Mamie dziwnie zwilgotniały oczy, jej cudownie piękne oczy! Czuję jej dobrą i ciepłą dłoń na swojej twarzy, serdeczny uścisk, potem zaraz ogarnia mnie bezpieczna szorstkość dłoni ojca. Babcia i ciocie, jak my wszyscy, są ogromnie wzruszone. Mama skrajem fartucha wyciera wypływającą z oczu łzę... Łzę radości, wzruszenia, rodzinnego szczęścia... Bo wigilijna wieczerza to nie tylko stół zastawiony postnymi potrawami, to przede wszystkim wybaczenie sobie wzajemnie najdrobniejszych nawet urazów i życzenie nawzajem wszystkiego najlepszego, szczerze i serdecznie. To symbol pojednania się wszystkich ze wszystkimi, który daje siłę na przetrwanie pięknie nowych dni, kolejnych różnych przeciwności i kryzysów. To najlepszy przepis na rodzinną radość i szczęście... I tak, pochyleni nad opłatkiem przełamanym w rękę, pochylamy się nad własnym losem, własną godnością i ułomnościami. W blasku tej krótkiej, wigilijnej chwili widzimy też dobre i złe swoje czyny, bo w tej kruchej bieli opłatka, w tym symbolu miłości, nadziei i pojednania odbija się nasze sumienie... I tak w tę pełną cudów noc, wigilijną noc, Bóg się rodzi, a w sadzie zakwitają stareńkie tatowe jabłonie i śliwy, i kwiaty w ogródku

mamy, woda w studni w wino się zamienia, a ptaki i zwierzęta ludzkim głosem gadają... – i my dzieci wierzyliśmy w ten cud wigilijnej nocy, w tę chwilę jedną, kiedy niebo z ziemią się brata i stanowi jedno...

Rodzice mówili nam też, że przy wigilijnym stole zawsze przez chwilę należy zadumać się nad pustym przy nim miejscem i nad tymi, dla których jest ono przeznaczone, którzy już przekroczyli próg wieczności...

A wieczór powoli okrył już wigilijną tajemnicą cały świat i roziskrzyły się wszystkie gwiazdy na mroźnym niebie, strażniczki i piasunki Narodzenia Bożego Dzieciątka, radując ludzkie dusze. Bo oto symbolicznie stając u wrót stajenki, stajemy naprzeciw miłości i nadziei. A miłość i nadzieja to siły potężne, potrafiące z rozpaczliwej ciemności nocy stworzyć gwiazdę. Otrzymujemy więc siły do zmagania z samymi sobą, z wieloma przeciwnościami.

A po wigilijnej wieczerzy, zawsze pod przewodnictwem mamy, to wspólne, niezapomniane i radosne „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...” i „Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan niebiosów obnażony. Ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony...”, a kończyliśmy: „...Podnieś rączkę Boże dziecię, błogosław Ojczyznę miłą...”. Kolędy są tklive i serdeczne. Bóg się rodzi! Na skrzydłach kolędy unosi się Dobra Nowina. Wśród ludzi prostych i dobrych rodzi się Zbawiciel. W chaosie krzywdy i cierpienia, wraz ze światłem nadziei przychodzi Moc Życia. Uroda kolęd, ich bogactwo, zachwyca i zdumiewa, bo tyle w nich poetyckiego piękna, czułości i miłości, tyle mądrości i głębokiej, ale i ufnej wiary. W życiu wszystkich narodów chrześcijańskich najradośniejszym świętem jest Boże Narodzenie. Nic więc dziwnego, że i melodie z tego okresu należą do najradośniejszych, najweselszych ze wszystkich, które na chwałę Bożą śpiewane są w kościołach i domach przez cały rok.

I przyznać trzeba, że w żadnym kraju kolędy nie są tak liczne i tak urokliwe jak nasze, polskie. Lud nasz, cały naród, zawsze je śpiewał. Towarzyszyły nam mimo różnych dziejowych dramatów i burz na całej przestrzeni wieków. Nadal towarzyszą i nic nie jest w stanie usunąć je w cień.

Tu jednak chwila refleksji:

Jak wyglądała siemniężność czasu świąt w PRL-u wiemy. I pamiętamy, jakie czyniono starania i wysiłki, by je zbagatelizować, a ze świętego Mikołaja zrobić Dziadka Mroza. Ale i dzisiejsze czasy niosą

konkretne zagrożenia dla tego niepowtarzalnego piękna świąt Bożego Narodzenia i innych świąt katolickich oraz nierozzerwalnie z nimi złączonej tradycji religijnej, naszej polskiej. Na różne sposoby usiłuje się pomniejszyć to piękno i tradycję, lub całkiem je zastąpić konsumpcją. Czynione są usilne starania, by człowiekowi, oczekującemu Bożego Narodzenia, wypełnić wyobraźnię i czas euforią kolorów, smaków, zapachów, stworzyć wokół niego szczelny świat rzeczy, by tylko oddalić od niego właściwe znaczenie tego wydarzenia.

Gdy w latach osiemdziesiątych ubiegłego XX wieku byłem przez krótki czas w Stanach Zjednoczonych (głównie w Nowym Jorku), dziwił mnie ogromnie i przerażał wprost natłok przeróżnych akcentów pseudo bożonarodzeniowych, już od Halloweenu, stanowiących krzykliwą oprawę konsumpcyjno-rozrywkową tego wydarzenia i w rzeczywistości mających niewiele wspólnego z duchowym przeżywaniem przyjścia na świat Bożej Dzieciny. A gdy nadszedł już ten czas właściwy, gdy trzeba było pokłonić się przed Nowonarodzonym i oddać należną mu cześć, wszyscy byli już tak sfatygowani zabiegami gromadzenia tych produktów dla ciała, że na duchowe przeżywanie niewiele było już sił i czasu.

Teraz dokładnie tak zaczyna dziać się u nas, w Polsce. Myślę, że następowało to z coraz mocniejszym nasileniem od roku 1989, od tak zwanej transformacji ustrojowej. Już się tak nie czeka tych świąt we właściwym wymiarze duchowego z tym wydarzeniem złączenia. U nas – co prawda – nie od Halloweenu, ale od Dnia Zadusznego (co na jedno wychodzi) supermarkety usuwają znicze, a na ich miejsce trafiają bombki, światełka i przeróżne błyskotki, choinkowe ozdoby coraz wymyślniejsze, uśmiechnięte i tańczące Mikołaje... Cieszy różnorodność coraz większa ozdób choinkowo-świętecznych, ale coraz wcześniej i natarczywiej atakuje nas gwiazdkowy wystawny show na ulicach naszych miast. I coraz częściej stajemy się uczestnikami komercyjnego przedstawienia, bez pogłębionej refleksji nad sensem tego bożonarodzeniowego wydarzenia, bo i z roku na rok coraz mniej miejsca dla jego głównego Bohatera, coraz mniej miejsca na jego skromny żłóbek. I właśnie w tym przedświątecznym zgiełku i zabieganiu za produktami gubi się również u nas istota niezwykłej tajemnicy Bożego Narodzenia. „Nie było miejsca dla Ciebie...” – śpiewamy w jednej z kolęd, wspominając czas narodzin Bożego

Dzieciątka. I dziś go nie ma w człowieczej duszy, tego miejsca dla Niego tylko przeznaczonego, bo coraz bardziej uwodzeni, oślepiani sztucznymi światłami, błyskotkami, gasimy nieświadomie i niezauważalnie to światło, które powinno płonąć w naszym wnętrzu za sprawą tego jedyne, najważniejszego i niepowtarzalnego wydarzenia w dziejach ludzkości.

I tak ten coraz bardziej rozbudowany show coraz bardziej oddala nas od prawdy tych przeuroczych świąt. Tworzy się bezrefleksyjne, pełne pozorów zachowanie religijnej tradycji, ubogiej w duchowym wymiarze, w przeżywaniu. Ba, nawet w samym określeniu tego ze wszech miar historycznego dla świata i ludzi wydarzenia. Dziś – według unijnej poprawności – nawet nazwy: spotkania opłatkowe, czy też spotkania wigilijne nie są nazwami „właściwymi” i powinny być to na przykład „spotkania świąteczne” lub „spotkania noworoczne”. Według tychże unijnych zaleceń nawet obecność kapłana na takich spotkaniach też nie jest wskazana, bo wszystko to może naruszyć – uwaga! – neutralność religijną! Kto więc niby miałby przybywać na takie spotkania i w jakim celu?!

Z ogromnym niepokojem i bólem należy stwierdzić, że obecnie obserwujemy nie tylko odrzucanie wiary i tradycji ale także stały i postępujący w coraz szybszym tempie upadek wartości i autorytetów moralnych, bezsilność współczesnych systemów wychowawczych, głęboki kryzys rodziny, która we współczesnym świecie przestała odgrywać swą tak bardzo ważną rolę przekazywania właśnie tej wiary i tradycji, uczenia zgodnego współżycia, zasad moralnych, patriotycznych, społecznych – kultywowania tego wszystkiego, co w naszym narodzie było najważniejsze, najpiękniejsze, najtrwalsze, dawało siłę przetrwania i nadzieję przy tylu zawirowaniach dziejowych, tylu klęskach i upadkach. Bo przecież nasza historia to ciąg nieustannych zmagania i walk o Ojczyznę, a patriotyzm z polskością jest nierozłączny, gdyż jest to kształt miłości, oparcie o nieheblowany krzyż, o boleść i doznanie boleści. Patriotyzm – to wszystko co płynie prosto z serca, z najtajniejszego ludzkiego wnętrza.

Współcześnie przyjaźń, dobroć, życzliwość, bezinteresowność, miłosierdzie – wszystkie te uczucia giną, niewolone siłą brutalności. Ludzie toczą dramatyczne wojny, zamiast wznieść się ponad poziom wrogości, wspólnymi siłami ratować siebie wzajemnie, swoje otoczenie.

A przecież winniśmy pamiętać o tym, co tak pięknie wyraziła w swej powieści *Krzew tamaryszku* znana polska pisarka Krystyna Nepomucka: „Życie to pociąg, śpieszący w kierunku wieczności. Pasażerowie wsiadają i wysiadają, a on pędzi przez wieki z tą samą prędkością. Jedyнным bagażem, jaki można ze sobą zabrać w tę podróż jest tylko to, co uczyniło się dobrego dla drugiego człowieka”.

Czym okażemy się, gdy już wysiądziemy z tego pociągu na przystanku nam przeznaczonym? Myślę, że będziemy musieli rozliczyć się i to nie tyle może z błędów naszych, bo w swej ludzkiej ułomności po prostu pobłądziliśmy na tyłu różnych ścieżkach życia. Ale rozliczyć się będzie trzeba z naszego dobra właśnie dla drugiego człowieka! Tego dobra, którego nie uczyniliśmy! A mogliśmy, lecz zamknęliśmy je w sobie!

Powróćmy do głównego tematu.

Po kolacji wigilijnej i śpiewie kolęd, młodzież zbierała się w umówione wcześniej grupy i szła na pasterkę do kościoła w Ostrołęce. Starsi jechali saniami lub wozami żelaznymi, w zależności od pogody. W kościele ciche rozmodlenie przy żłóbku z ułożonym na sianku Nowonarodzonym i nagłe rozkołysanie dzwonów oraz potężne – z gardeł wszystkich wiernych szczerlnie wypełniających świątynię i cmentarz-plac przykościelny – „Wśród nocnej ciszy...”, „Bóg się rodzi, moc truchleje...” i „Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi, ciemna noc w jasnościach promienistych brodzi...” – ...biegła w mroźną przestrzeń nocy radosna wieść, oznajmiając światu, że cud znów się dopełnił... I Bóg naprawdę się rodził, a wszelka moc naprawdę truchlała! Bo taka była to chwila i taka moc Bożej Dzieciny. Takie było też wychowanie, według starych dobrych zasad i obowiązków.

Pełna cudownych przeżyć, emocji i wzruszeń Pasterka!

Szybko mijały święta, w czasie których goszczono się wzajemnie po sąsiedzku, w rodzinach czy też po koleżeńsku, zastrzegając pierwszy dzień Bożego Narodzenia głównie do spędzenia z swymi najbliższymi.

Wesołą atrakcją okresu świątecznego były Herody. Zespół Herodów – jak pamiętam – chodził w naszej wiosce tuż po świętach w pierwszych latach powojennych. Tworzyli go młodzi ludzie ze wsi Płoszyce. Byli mile widziani przez wszystkich mieszkańców naszej wioski. Czylni zawsze wiele harmideru i zamieszania. Wywoływali dużo radości, zarówno wśród osób starszych, jak i młodzieży oraz dziatwy, biega-

jącej z wrzaskiem za nimi po całej wsi, wołając głównie za diabłem i śmiercią, którzy z widłami i kosą ganiłi ich po gościńcu, co było dla nich wielkim i niezapomnianym, radosnym przeżyciem. Zespół, poza diabłem i śmiercią, tworzyli: król Herod ze świtą dworską żołnierzy, Anioł, Święta Rodzina i jeszcze inne osobistości, wszyscy w odpowiednich strojach. Razem trzynastu przebierańców, chętnie przyjmowanych i goszczonych przez kolejne rodziny. Bo tradycja „Herodów” istniała tu od dawna. Wszystko to tylko w ludzkiej pamięci pozostało.

Kończył się stary rok. Kolejny rok. W życie wioski wkraczał rok nowy.

Tak życie i odchodzenie, radość i smutek, znoyny trud i chwile wytchnienia, tradycja i obyczaj, splecione były ze sobą nierozłącznie, tworzyły jeden pulsujący rytm wioski Durlasy, jej pejzaż, jaki w sobie noszę, jaki zapamiętałem, jaki już tylko we wspomnieniach pozostał. Ludzie tu żyjący przejawiali potężną siłę moralną, a dobre duchy nieba i dobre duchy ziemi, złączone przymierzem, czuwały nad nimi, nad wioską całą. Więzy sąsiedzkie, przyjaźń, życzliwość wobec siebie i innych – to były podstawowe elementy życia, a wzajemna współpraca i zaufanie tworzyły tę społeczność spójną i trwałą. Tu ludzie miłością do Boga leczyli wszelkie swe rany, zadawane im przez życie i przez pezetpeerowską, robotniczo – chłopską władzę (i może dlatego nie poczyniła ona tu, jak w innych rejonach, całkowitego spustoszenia, choć pozostawiła po sobie wielu pokaleczonych i kalekich). Uboga lecz zachwycająco piękna w swym smutku ta ziemia i żywotność ludu tu żyjącego miały i mają swą urokliwość. Wśród tej przyrody, ludzi zwyczajnie znoszących swą dolę, uczyłem się miłości życia, pokory, szacunku dla bliźnich, poznawania Boga, jego bliskości i chwały. Bo tu był on i blisko i zawsze, na każde uderzenie serca, na każde jego wezwanie.

Dziś, w trudnych chwilach życia, umęczony nieraz życia ciężarem, szukam wyciszenia i uspokojenia właśnie tam, u moich źródeł. Zamykam oczy i już snuję się z porannymi mgłami w leśnej przestrzeni durlaskiego boru, odnajduję dróżki, tropy, dukty, poręby i przestrzeliny, czuję żywiczne wonie sosen i świerków, w wrzosowiskach się nurzam, nagrzanych słońcem, miodnym zapachem kuszących..., wśród pól już jestem, wierzb rosochatych przy gościńcu, skrzypienia żurawia przy studni słucham, porykiwania krów i koni parskania –

na zdrowie, na pomyślność, już cały jestem pośród domu naszego, wśród klekotów bocianich, świergotu jaskółek pod strzechą i szumu wiatru w dąbrowie. Już czuję rodzącą się radość i ogromniejącą we mnie słoneczność... I widzę, jak wielkie koło zatoczyło to moje życie. Wychodziłem przed laty ze swego domu rodzinnego, z błogosławieństwem Rodziców, z serdecznymi uściskami moich młodszych siostr i braci, z radością, że poznam wreszcie tajemniczy dla mnie świat, rozłożony poza horyzontem naszej wioski. Dziś tęsknię za tamtym światem, który został u mych rodzinnych źródeł, który wciąż funkcjonuje w przestrzeni mego życia. Bo wszystko było w nim takie zwyczajne, prawdziwe i proste. Ziemia, która narzucała swój czas i pracę, wymagając, by wykonać ją jak najlepiej. Bóg, który był na każde drgnienie serca. Nawet zmęczenie, które po ciężkiej harówce od przedświt do nocy zwałało z nóg, też było prawdziwe i takie zwyczajne. Lęk też był naturalny, bo lękano się tego, co było z woli Bożej, wszelkich żywiołów i chorób. Tamta moja wieś nie bała się człowieka! Nie zamykała przed nim domów, obór i stodół, nieznajomych witała chlebem i mlekiem, miała w sobie wiele życzliwości.

I choć dziś trudno odnaleźć nawet szczątki tamtego pejzażu w życiu mojej wioski, to niezmiennie trwa on we mnie, w moich wspomnieniach, które na rzeczy pamiątkę tutaj spisuję. A czyniąc to, słyszę szum przelewającego się czasu, z którym niespostrzeżenie ale i nieodwracalnie odpłynęło dzieciństwo, cała cudowność chłopięcych dni. Czasu, w którym znajomi, przyjaciele i najbliżsi rozproszyli się po tym i po tamtym świecie. I choć tak daleko tamte lata, powracają teraz we wspomnieniach, pełne zapachów i barw naszej wioski Durlasy, mojej Rodziny i mojego starego, kochanego Domu Rodzinnego...

Tu sercem potwierdzam słowa Juliusza Słowackiego, który we wrześniu 1833 roku pisał do matki w liście z Genewy: „Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść zwiędły padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł...”.

Tak więc wspomnienia z przeżytego dzieciństwa, młodości, pierwszych zauroczeń i porywów, w ogóle wspomnienia – to wspaśniały dar od losu. Bo do czego byśmy powracali, kiedy już dni późnej jesieni nadciągną, szare, jednostajne, kiedy szaruga po oknach spływać będzie, po twarzach i sercach naszych, a starość przytuliska – swego kąta – szukać w nas będzie?

Nie wyrzuca się snów wyśnionych i przeżytych wzruszeń.

Jest grudniowa głęboka noc. Dopełnił się kolejny rok, który dane mi było przeżyć. Tak nieuchronnie zbliżam się coraz bardziej do końca wędrówki po pięknej Ziemi naszej, tak, jak zbliżyło się do niej i już ją zakończyło tyle milionów Ziemian przede mną i po mnie czynić to będzie. A gdy los wskaże właściwy czas, samotnie – jak wszyscy inni – będę musiał przejść przez smugę cienia, opuszczając najbliższych, przyjaciół, kolegów... Bo – jak mówiła Maria Dąbrowska – człowiek jest tajemnicą, z tajemnicy przybywa i w tajemnicę odchodzi.

Siedzę więc i myślami sięgam głęboko, aż do lat dzieciństwa, do rodzinnego domu. I gdy tak sięgam pamięcią i sercem do wspomnień mojego życia, gorąco dziękuję Bogu za wszystkie przeżycia i doznania, jakich dane było mi doświadczyć, oraz – już w tym moim dorosłym, miejskim życiu – za piękną, dobrą, mądrą, gospodarną i opiekuńczą żonę Danusię, za wszystkie lata wspólnie przeżyte. Były w tym naszym życiu chwile nielekkie – jak w każdym życiu – ale i niezwykle, niesamowicie wspaniałe, radosne i słoneczne. Dziękuję za nasze kochane dzieci, Ewunię i Adasia, że oboje dali nam tyle radości, tak pięknie dorośli, dojrzeli, stali się samodzielni, obdarzyli najwspanialszymi wnukami: Martusią, Oleńką i Maciusiem.

Ostrołęka–Durlasy 2012–2014

PS. I niech te moje wspomnienia z wioski Durlasy, z mego Domu Rodzinnego, zakończą piękne słowa, dziś już – od 27 kwietnia 2014 roku – świętego Jana Pawła II, którymi wspominał swój dom rodzinny, w czasie pielgrzymki do Ojczyzny, w Wadowicach 16 czerwca 1999 roku: „Z synowskim oddaniem całuję próg domu rodzinnego, wyrażając wdzięczność Opatrzności Bożej za dar życia przekazany mi przez moich rodziców, za ciepło rodzinnego gniazda, za miłość moich najbliższych, która dawała poczucie bezpieczeństwa i mocy, nawet wtedy, gdy przychodziło zetknąć się z doświadczeniem śmierci i trudami codziennego życia w trudnych czasach”.

Durlasy–Ostrołęka 2013–2014

Henryk Karczewski

starszy kolega Czesława Parzycha

i bliski jego sąsiad z Durlasów

W S P O M N I E N I A

Urodziłem się w 1928 roku. Gdy miałem siedem lat poszedłem do szkoły do Lelisa. W naszej wiosce szkoła powstała dopiero po wojnie. Cała wieś pracowała przy jej budowie, ja też pracowałem. Będzie służyć wszystkim przyszłym pokoleniom.

Szkoła w Lelisie była w prywatnym domu Pysków, nauczycielem był Aleksander Gontarzewski. Miałem jeden zeszyt do polskiego i drugi do rachunków. Tornister wyglądał jak torba obrokowa dla konia. Razem z zeszytami nosiłem w nim 25 patyków z bzu uciętych, oskrobanych z kory i związanych sznurkiem. Służyły do nauki liczenia. Długopisów nie było. Do pisania miałem pióro (stalówkę), które wkładałem w rozcięty u dołu patyk (stanowiący obsadkę) i wiązałem nitką żeby nie wypadło. Pióra maczaliśmy w atramencie i pisaliśmy. Moje buty to były drewniaki, robione przez Franciszka Woźniaka. Odzienie też było liche, robione w krosnach i szyte ręcznie. Nie było za co kupić innego. Gdy matka uszyła mi ubranie to aż do góry skakałem z radości, było dla mnie takie ładne.

W 1932 roku pobudowali gminę w Lelisie. Wójtem był Piersa ze wsi Nasiadki i funkcję tę pełnił jeszcze po wojnie. Gdy w 1939 roku weszli Niemcy szkołę i polskie urzędy zamknęto.

10 marca 1943 roku zabrali nas do Niemiec na przymusowe roboty, z Durlasów, Lelisa, Siemnochy i innych wiosek sąsiednich i z Ostrołęki. Do Ostrołęki zawieźli nas na wozach, oddzielnie starych i młodych. W Ostrołęce spędzili nas wszystkich na jedną salę. Jedni się śmiali, drudzy płakali, bo nie wiedzieli gdzie pojedziemy i co z nami zrobią. Badali nas czy jesteśmy zdrowi i wypędzali przed budynek, ustawili w czwórki. Do Grabowa szliśmy piechotą. Tam wsad-

dzili nas do wagonów: oddzielnie młodych i starych. Ja zaliczony byłem do młodych, miałem 16 lat. Wagony z nami zamknęli, wcześniej Niemiec ogłosił, że kto będzie uciekał dostanie z miejsca kulę w łeb.

W Szczytnie młodszych zostawili a starszych powieźli dalej. Zaprowadzili nas na salę, gdzie przyszli niemieccy gospodarze i wybierali do roboty tych, którzy im odpowiadali. Potrafili mówić i po polsku. Ja trafiłem do dobrego Niemca, nazywał się Gustaw Gruszka, miał 38 lat. Jego żona już nie była dobra, miała w sobie krew niemiecką. Razem ze mną z „arbeitscamtu” Niemiec wziął Władkę, która obok mnie siedziała. Wcześniej jednak spisano wszelkie nasze dane.

Wieś, w której mieszkał nasz gospodarz nazywała się Duże Szymony. Gdy przyjechaliśmy do jego domu było już ciemno, około godziny 22. Na kolację dał nam chleba z margaryną oraz herbatę na pół z mlekiem, wyglądała i smakowała mi jak pomyje. Całą noc wtedy nie spaliśmy tylko się martwiliśmy, co z nami będzie. Po półtora roku pracy przyjechałem do domu na urlop na cztery dni. W tym czasie wywożono pociągami z Grabowa do obozów więźniów przetrzymywanych w ostrołęckiej farze. Gdy jechałem na ten urlop Niemiec-gospodarz dał mi ubranie, koszulę, krawat i kapelusz. Gdy wróciłem zabrali mnie do kopania okopów na trzy i pół miesiąca. Byłem pod nadzorem niemieckiego wojska. Sypialiśmy w stodole. Pracowaliśmy w okolicy Suwałk, Grajewa i Barczewa, w czterech grupach, po dziesięciu w grupie. W Kętrzynie zakończyliśmy kopanie i zostaliśmy rozwiezieni do gospodarzy, u których wcześniej pracowaliśmy. W tym czasie mojego gospodarza brali do wojska i płakał jak odjeżdżał. Gdy front stanął jesienią 1944 roku na Narwi, on ze swą grupą stał w Ostrołęce: oni po jednej stronie rzeki Rosjanie po drugiej. Z Durlasów wysiedlili wtedy wszystkich i zostali tylko sami niemieccy żołnierze. Tak też było w Lelisie, Łodziskach i innych wioskach w pasie nad-rzeczynym. Niemcy cofali się i do wioski, w której pracowałem przybywało coraz więcej wojska. Wszyscy szli na Olsztyn. Nam kazali uciekać za Odrę, opowiadali, że Rosjanie, gdy przyjdą, będą zabijać wszystkich.

Mieliśmy w gospodarstwie dwa konie i wóz, pojechaliśmy do Szczytna. Niemka chciała koleją wyjechać za Odrę lecz jej się nie udało, gdyż nadleciały rosyjskie samoloty i ostrzelały miasto. Ja chwyciłem z wozu małe dziecko gospodarzy i wpadłem z nim do pobliskie-

go bunkra. Zdążyłem ledwie zamknąć drzwi za sobą, gdy kula w nie uderzyła, uratowało nas to, że były one metalowe. W bunkrze było dużo ludzi, Niemców i Polaków. Był luty 1945 roku. Gdy nalot minął wyszliśmy z bunkra. Jeden koń nasz został zabity. Dalej jechaliśmy tylko w jednego. Wszystkich kierowano na Olsztyn. Jechaliśmy całą noc i dzień, razem cywile i wojsko. Na wieczór przyjechaliśmy do Pasymia i tam zanocowaliśmy. O północy weszła tu pierwsza linia frontu Rosjan. Pytali o Germańca. Do rana już nie spaliśmy.

Przez tydzień było spokojnie. Później Ruskie łapali Niemców i Polaków i wywozili do Rosji. Łapali w dzień, a nocą dostarczali do wagonów. Mnie też złapali lecz nocą im uciekłem, zaprząłem konia, załadowałem na wóz co mogłem i nocą wyjechałem do Polski. Na południe byłem już w Chorzeliach. Stała tam policja i nie chcieli mnie przepuścić. Miałem ze sobą osiem skrzynek wódki, więc ich poczęstowałem, napili się, aż się przewracali, mówili że „charozi Paliak” i mnie przepuścili. Jechałem z Jasińskim z Lelisa, po drodze spotkaliśmy idącą kobietę, wzięliśmy ją na furę. Zaproponowała byśmy u niej przenocowali, mieszkała w Jednorożcu za Baranowem. Rano, gdy się zbudziliśmy, kobiety z koniem i wozem nie było. Miała męża w partyzantce. Dalej poszliśmy pieszo. Gdy doszliśmy do Durlasów na drodze stał Walenty Marzewski. Od niego dowiedziałem się, że moi rodzice są w Gibałce. Poszedłem tam i ich spotkałem, ale jeść nie było co, więc poszedłem na Prusy. Chciałem tam omłócić trochę żyta. Miałem przy sobie pistolet i jeden chłop oskarżył mnie. Był to młody partyjniak. Miałem sprawę sądową w Lik (Barczewo). Dostałem pięć lat więzienia. Było to w marcu 1947 roku. Siedziałem rok czasu pod całą. Razem ze mną siedział Czesław Bednarczyk, Czesław Gromek i inni, oni mieli po osiem lat odsiadki. Gdy była amnestia zmniejszyli nam o połowę. Kto chciał mógł jechać do kopalni, tam liczono dwa dni odsiadki za jeden dzień pracy. Zgłosił się m. in. Czesław Gromek (z Lelisa). Mnie zabrano na Gęsiówkę do Warszawy, sam się zgłosiłem, woziłem cegły do budowy ośrodka. Do domu wyszedłem wiosną 1949 roku. Lato przesiedziałem w domu, we wrześniu poszedłem do wojska (artyleria przeciwlotnicza) do Jeleniej Góry. Przysięgę składałem w grudniu, a w lutym 1950 roku pojechaliśmy na poligon koło Poznania na zimowe manewry. W kwietniu 1951 roku zostałem zwolniony do cywila. W domu żyło się biednie, w czasie wojny



Henryk Karczewski

wszystko co posiadaliśmy zostało zniszczone, pracy zarobkowej żadnej nie było.

Gdy chodziłem w kawalerkę poznałem pannę z Długiego Kątu i zaręczyliśmy się, dając na zapowiedzi w kościele w Kadzidle. Gdy doszło do rozmowy o weselu, jej ojciec zażądał, bym swój majątek przepisał na nią. Nie zgodziłem się na to, gdyż chodziło im nie o mnie tylko o majątek.

Kiedyś byłem na zabawie w Szafarni i tam wyraiono mi pannę z Dylewa. Nazywała się Mieczysława Nurczyk. Pojechałem do niej w sobotę, zapoznaliśmy się bliżej i przypadliśmy sobie do gustu. Gdy ja byłem w wojsku ona pracowała dwa lata w Jeleniej Górze, lecz zachorował jej ojciec i musiała wrócić do domu. Zapracowane pieniądze odkładała, lecz przyszła wymiana i oszczędności przepadły. W kwietniu 1950 roku pobraliśmy się.

19 września 1971 roku mój brat stryjeczny miał wesele. Po weselu ktoś podpalił jego stodołę, spaliła się i wszystkie nasze obory poszły z dymem. W 1972 roku odbudowaliśmy obory, które stoją do dziś.

1 września 1960 roku wzięli mnie znów do wojska do rezerwy w Orzyszu. Stały tam wówczas trzy jednostki związane z artylerią

(haubice, armato-haubice i moździerz) oraz samodzielna obsługa poligonu. Po upływie półtora miesiąca pojechałem na urlop do domu. Tam dowiedziałem się, że mój sąsiad, Czesław Parzych, też służy w artylerii w Orzyszu, tylko w służbie czynnej. Wziąłem numer jednostki od jego matki i gdy wróciłem z urlopu do koszar, poszedłem do niego. Stali w dwuszeregu, gotowi do przejścia do stołówki do obierania kartofli. Zameldowałem kapralowi cel swych odwiedzin i Czesław Parzych wystąpił z szeregu. Poszliśmy na świetlicę i siedzieliśmy do godziny 22. Wypiliśmy ćwiartkę, pogadaliśmy. Chodziłem codziennie do niego. W grudniu 1960 roku powróciłem do cywila. Ponieważ w domu nie przelewało się, zacząłem rozglądać się za jakąś robotą. Józef Marzewski z Durlasów pracował w tym czasie – ze swym bratem Stefanem – jako robotnik w Rejonie Dróg Publicznych. Namówił mnie do pracy w tym zakładzie. Kierownik Owczarek przyjął mnie i razem z nimi pracowałem w tym zakładzie ponad 10 lat. Pracowała nas cała spora grupa ludzi z różnych wiosek. Sadziliśmy drzewa przy drogach, poszerzaliśmy i prostowaliśmy drogi, kładliśmy na nie nawierzchnię asfaltową i dbaliśmy o stan techniczny szos na wyznaczonych odcinkach. Prowadziliśmy też naprawy mostów i układanie chodników w różnych miejscowościach. Zimową porą jeździliśmy ciągnikami i rozwoziliśmy piasek do posypywania nawierzchni dróg. Woziliśmy też różne materiały potrzebne do budowy i naprawy jezdni. Tak przez ponad 10 lat pracowałem na całym terenie podległym Rejonowi Dróg Publicznych w Ostrołęce. W tym czasie gospodarstwo prowadziła moja żona Miccia, a gdy wracałem z pracy jeszcze jej pomagałem. Tak oboje ciężko pracując uskładaliśmy pieniędzy i przez dwa lata pobudowaliśmy dom, który stoi do dzisiejszego dnia i w nim mieszkamy. W 1981 roku przeszedłem na rentę. Miccia też była już na rencie i majątek przekazaliśmy na syna Stasia. Teraz już nie mamy biedy. Miccia ma lat 88 a ja 72, mamy po 4,5 miliona renty. Jest za co nawet kielicha wypić. Mamy dwoje dzieci, syna i córkę, które się już usamodzielnili (dwoje dzieci nam nie żyje). Mamy dwie wnuczki, Agnieszkę i Ewę, i jednego wnuka Michała. Teraz, gdy stanęliśmy na nogi, życie zrobiło się za krótkie.

Henryk Karczewski

Tom prozy wspomnieniowo-dokumentacyjnej Czesława Parzycha jest w jego pisarskim dorobku pozycją ważną, odzwierciedlającą te składniki życia, zjawiska i procesy, które miały wpływ na kształtowanie się osobowości pisarza, kształtowanie jego świadomości i poglądów, i które decydowały o przyjęciu określonego systemu wartości. Jest więc oczywiste, że zawartość treściową *Z odległości lat* określają dwie kategorie bytu – miejsce i czas zdarzeń.

Miejsce to Durlasy, wieś położona w pobliżu Ostrołęki, wśród piasków i lasków potężnej niegdyś Puszczy Kurpiowskiej. Czas to okres dzieciństwa autora wspomnień, życia niełatwego po wojennej dewastacji kraju, czas nie przez wszystkich akceptowanych przemian ideologicznych i polityczno-ustrojowych. Równocześnie czas – dla dziecka właśnie – pełen zauroczenia, olśnienia i słońca, czas rodzicielskiego ciepła i miłości.

Ten czas dzieciństwa i wczesnej młodości doznał swego wypełnienia z końcem lat pięćdziesiątych XX wieku, kiedy to po złożeniu egzaminu dojrzałości opuścił przyszły durlaski piewca swoją ojcowiznę osiadając na stałe w Ostrołęce. Ale ta jego ojcowizna, ta jego Durlaska Ziemia, „serdeczna, puszczańska, nasyciona potem ojców i dziadów, krwią okupiona” i ten dziecięco-młodzieńczy czas – wszystko to na trwale zamieszkało w pamięci i sercu autora prezentowanych czytelnikowi wspomnień. W części wstępnej tych wspomnień napisał: „Z tej wioski, spośród tych ludzi, którzy ją zasiedlali, wśród których żyłem, z tej kultury, obyczajów wyrosło moje widzenie i odczuwanie świata. Tam są korzenie mojego życia, tam więc odnajduję siebie: swą wiedzę, swą radość i smutek, swoją nadzieję (...). Dlatego jest to miejsce tak bardzo ważne, do którego wracam i będę wciąż, póki życia mego”.

I wracał. Wracał! Do wszystkiego co zamieszkało „w rozległej przestrzeni serca” – do domu, w którym doznał „szeptów najczulszych”, ciepła „otwartych szeroko (...) matczynych ramion”, do domu, który tulił go dobrocią ojca, domu, który porывał w wieczorne rozmowy i gawędy w „przestrzeń gwiazd i wspomnień dalekich”. Wracał, by pokłonić się czule ziemi rodzinnej, by tej ziemi powiedzieć: „moja ty czuła, moja tkliwa kurpiowska ziemi”.

Odwiedzał osobiście Durlasy i swój rodzinny dom, kiedy tylko mógł. A gdy nie mógł, pamięcią i słowem, jak Mickiewicz, przynosił „swą duszę utęsknioną” do kraju lat dzieciennych. Z utęsknienia zrodziła się Mickiewiczowska Inwokacja do *Pana Tadeusza*, z miłości i tęsknoty do swojej ziemi rodzinnej powstało wiele pięknych wierszy Czesława Parzycha, zawartych w tomie *W pajęczynie życia*.

Książka *Z odległości lat* powinna znaleźć swoje miejsce w każdym, zwłaszcza, kurpiowskim domu, wszędzie, gdzie ceni się wzorce uznane za wartości najważniejsze, niezbędne do zachowania ładu naturalnego, piękna, szczęścia, miłości i wielu innych wyznaczników dobra ogólnego. Jest to książka przydatna zarówno dla celów poznawczych, jak i wychowawczych, może bowiem kształtować i utrzymywać tak wzorce osobowe jak i społeczne, umacniać związki międzyludzkie, utrzymywać narodową dumę czy gotowość poświęcenia dla ojczyzny.

Wspomnienia *Z odległości lat* pozwalają także głębiej wnikać w twórczość durlaskiego poety, poznać historyczne, społeczne, polityczne czy obyczajowe uwarunkowania, które legły u genezy całej jego twórczości.

Zagłębmy się więc w te wspomnienia, bo coś ważnego ocalał autor od zapomnienia, bo z żywej pamięci i potrzeby serca stworzył interesujące obrazy życia chłopskiego, zaświadczone w określonej przestrzeni czasowej. Utwór ma dzięki temu wartość dokumentalną. Walorem jest także wartość literacka przekazu, zwłaszcza żywy, nasycony uczuciem sposób językowej relacji. Wiele stron tej książki jest bardzo pięknych, wiele urzekających swoją ciepłą aurą, znieśławiających swoim uwielbieniem piękna i dobra.

Warto więc mieć tę książkę w swoim domowym zbiorze książek wartościowych.

Leopold Szwedowski

ISBN 978-83-64200-22-9